KO i PiS – reaktywacje • Czy cenzurować internet? • Sport klasowy • Trunki Chopina
Upadek dewelopera • Ukraina – reportaż z frontu • Esej: śmierć wiecznie żywa

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 44 (3538), 29.10–4.11.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA **MARTA RÓŻA ŻAK**

Nowy internetowy szał: biologia totalna



Terapia wszystkiego

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

9 770032 350503 44

Wydanie w sprzedaży do 4.11.2025

eprasa.pl 11d96109c5

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!

Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa









Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze



Już od 10,75 zł / wydanie

Kupuj nasze książki w cenie promocyjnej





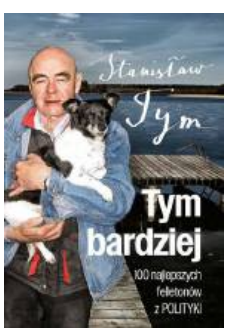

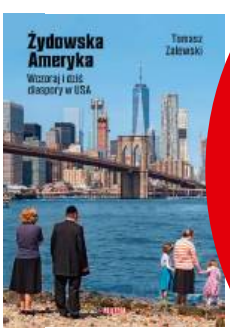

Wszystkie książki z 40% rabatem

* Od ceny detalicznej

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 11d96193c5

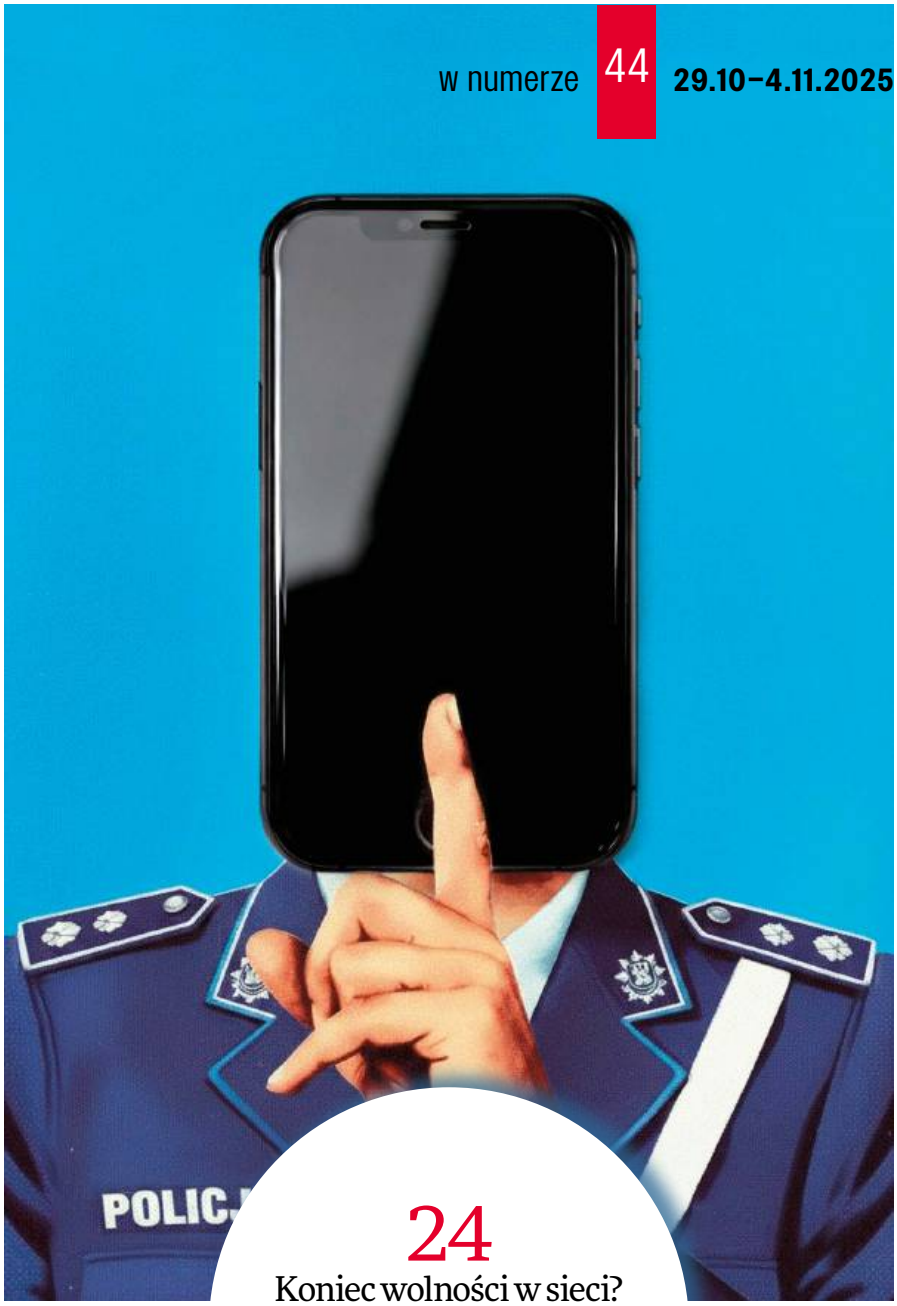

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

24
Koniec wolności w sieci?

Temat tygodnia

10 Joanna Cieśla
Totalna biologia: nowa niebezpieczna moda

Polityka

14 Michał Danielewski
Koalicja Obywatelska – stare siły w nowych szatach
17 Wojciech Szacki
PiS się mierzy
20 Anna Dąbrowska, Joanna Sawicka
Maciej Berek, superminister Tuska

Społeczeństwo

24 Sylwia Czubkowska
Politycy biorą się za internet: walka z mową nienawiści czy cenzura?
28 Adrian Burtan
Sport jako zjawisko klasowe
32 Rozmowa z prof. **Katarzyną Wojnicką** o tym, czy mężczyźni są dziś dyskryminowani
35 Paweł Walewski ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Gdzie umieramy**

Rynek

38 Adam Grzeszak
Co musi Wisła
41 Marcin Piątek
Deweloper za kratkami

Świat

44 Paweł Reszka UKRAINA
Relacja z frontu: walki pod Kupiańskiem
48 Piotr Buras POLSKA-NIEMCY
Piki i uniki
52 Piotr Podemski WŁOCHY
Jak Giorgia Meloni próbuje budować jedność narodową

Nauka/projektpulsar.pl

54 **Paul Ham** o tym, jak i kiedy człowiek wymyślił duszę i co mu z niej zostało
58 Rozmowa z dr hab. **Mariolą Paruzel-Czachurą**, laureatką Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki społeczne

Historia

60 Tomasz Targański
Grób Nieznanego Żołnierza: patriotyzm z polityką w tle
63 PROSTO Z KSIĄŻKI
64 Rozmowa z **Shimonem Shevesem** o tym, jak śmierć premiera Icchaka Rabina zmieniła Izrael
67 Adam Krzemiński ESEJ
Targowanie się ze śmiercią

Kultura

74 Janusz Wróblewski
Świat według Lanthimosa
78 Justyna Sobolewska
Mann po nowemu
82 Piotr Sarzyński
Twórcy niedoceniani
85 Rozmowa z **Włodzimierzem Nahornym** o jazzie po polsku, nowej płycie i długim artystycznym życiu
88 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97 • **Wyprzedaże po zmarłych** • **Po napadzie na Luwr** • **Tajemnica 67** • **Turecki pępek** • **Trunki Chopina**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **37**, **92**, **98** Galeria POLITYKI • **70** Afisz
• **89** Chutnik i Plebanek • **90** Orliński
• **91** Koziołek • **92** Mizerski
• **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 11d96193c5

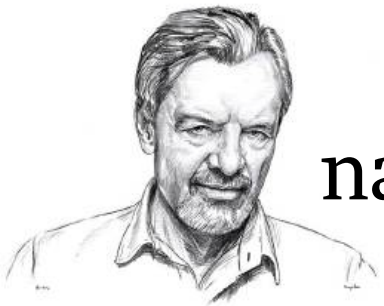

Kto chce nam zabrać państwo

Jerzy Baczyński

Mieliśmy polityczny superweekend. Czy mądry – to inna sprawa, ale dużo się działo i dużo wyszło na jaw. W jednym czasie zbiegło się kilka spektakularnych zdarzeń (nasze relacje na s. 14 i 17): konwencja programowa PiS w Katowicach, gdzie – jak z dumą podkreślał prezes partii, odbyło się 128 „merytorycznych paneli"; w Warszawie – zjazd zjednoczeniowy Koalicji Obywatelskiej, plus następnego dnia kilka paneli zorganizowanych pod patronatem Rafała Trzaskowskiego; wreszcie Igrzyska Wolności w Łodzi, czyli doroczny, imponujący rozmachem, „festiwal idei" środowisk demokratycznych – tu 170 paneli i kilkuset prelegentów, z George'em Clooneyem jako honorowym gościem.

Dla ponadprzeciętnie zainteresowanych polityką było w czym wybierać i przebierać, choć sieciowe powodzenie tych „eventów" okazało się raczej umiarkowane. Kiedy podłączałem się do kilku paneli w Katowicach, byłem jednym z ledwie 5–6 oglądających; znacznie większą publiczność miały łódzkie, częściowo tylko polityczne, Igrzyska. Ale, w sumie, przebiło się to, co miało, czyli deklaracje prewyborcze liderów obu dominujących sondażowo partii, a jeszcze wyraźniej – różnice ideowe, programowe i mentalne między polskimi „Republikanami", jak chciałby być dziś postrzegany PiS, a polskimi „Demokratami", których reprezentantem ma być nowa, zjednoczona KO.

W PiS-ie wybrzmiało to samo, co zawsze, tylko bardziej. Sam prezes był raczej w złej formie, retorycznie splątany, całych fragmentów jego przemówień nie szło zrozumieć, ale do annałów przejdzie fraza, że „Niemcy, a Francuzi razem z nimi, chcą nam zabrać państwo". Przy pomocy Unii ma bowiem powstać w Europie niemieckie imperium; a Polska może obronić swoją suwerenność tylko „w nowej wersji Pax America", czyli w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi Donalda Trumpa, bo „one nie chcą nam zabrać państwa". Zwracano uwagę, że w wystąpieniach prezesa PiS w zasadzie nie było mowy o zagrożeniu rosyjskim czy wojnie w Ukrainie – w roli wroga polskiej niepodległości jednoznacznie został obsadzony „niemiecko-brukselski hegemon".

Donald Tusk, odnosząc się do mów Kaczyńskiego, kpił, że „PiS chciałby budować zapory nie na naszej granicy wschodniej, ale zachodniej", że przejmuje propagandowe narracje Rosji, a suwerenność rozumie jako samowolę swojej władzy, „koncesję na bezkarną kradzież" państwowego majątku. Podobne w tonie interpretacje dorzucili politycy, politolodzy i publicyści występujący w Łodzi, m.in. Radosław Sikorski i Aleksander Kwaśniewski (polecam rozmowę z byłym prezydentem na polityka.pl). Po stronie Demokratów jest konsens, że dla kraju tej wielkości i takiego położenia jak Polska nie ma lepszej gwarancji suwerenności niż aktywna obecność w Unii Europejskiej, bo Unia powstała właśnie po to, by mniejsze państwa mogły równoważyć i wykorzystać siłę europejskich potęg (w tym Niemiec, o czym więcej na s. 48) oraz wspólnie budować globalne mocarstwo gospodarcze, polityczne, militarne i moralne – co zresztą pozostaje wiecznym wyzwaniem. Odnowienie tej starej, geopolitycznej osi podziału PiS-KO jest dziś jednak korzystne przede wszystkim dla partii Tuska. Ale PiS tak robi, bo musi.

Wiadomo, że głównym domyślnym adresatem katowickiej konwencji PiS był elektorat Konfederacji i Grzegorza Brauna. Sondaże są tu dla Kaczyńskiego bezwzględne: bez przejęcia czy neutralizacji znacznej części sympatyków tych formacji PiS wyborów w 2027 r. nie wygra; nie wiadomo też, czy zdoła – nawet przy dużej pomocy Nawrockiego – zbudować (i kontrolować) większościową, prawicową koalicję. Widać, jak Kaczyński próbuje grać: przesuwa swoją formację daleko na prawo, w rejony polexitu, braunowskiej ksenofobii, „ukrainosceptycyzmu", jednocześnie kokietując (stąd zapewne „pakiet uproszczający podatki") biznesową część Konfederacji. Lęk przed konfederackimi oskarżeniami „o socjalizm" paraliżował działaczy PiS; w Katowicach w sprawach krajowych na ogół przedstawiali recepty w typie zaklęć (opisywanej w tym numerze na s. 10) cudownej „biologii totalnej".

Dla ciężko poturbowanej przegraną Trzaskowskiego KO to wreszcie polityczna szansa. Tusk, organizując pozorowane zjednoczenie z faktycznie nieistniejącymi partiami, demonstrował, że KO jest gotowa rozszerzać się na lewo i na prawo, rozciąga skrzydła nad całym centrum. To zaproszenie do przyszłej wspólnej listy dla „Lewicy Czarzastej", resztek Polski 2050 i PSL. Jest jednoczący i czytelny temat (cóż, że ten sam), czyli zagrożenie ze strony PiS. Coraz brutalniejsze antyzachodnie filipiki Kaczyńskiego, obsadzenie w Katowicach w roli heroldów przyszłości takich postaci jak Kurski, Lichocka, Przyłębska, Obajtek, Ziobro, Błaszczak, Macierewicz i inni (dla wyborców 15 października to istny poczet halloweenowych upiorów) – jest fantastycznym bodźcem do mobilizacji sfrustrowanego elektoratu. Hasło budowy wspólnego „antyfaszystowskiego frontu" przeciw – chcącej zawłaszczyć, „zabrać" państwo – skrajnej prawicy daje Koalicji Obywatelskiej przestrzeń na zbieranie głosów po Trzaskowskim, czyli nawet w okolicach 45–50 proc. i realną szansę wygranej w wyborach. Weekend trzystu paneli nie przyniósł żadnych programowych rewelacji, ale pokazał, że na starcie długiej kampanii wyborczej siły i szanse się wyrównują. Przebłysk wiosny jesienią?

eprasa.pl 11d96193c5

Albatros travel



Koleją przez stepy:
Z Mongolii do Chin

3 posiłki dziennie

Wyrusz pociągiem w niezwykłą podróż od rozległych, dzikich, mongolskich stepów po tętniący życiem Pekin przez dwa fascynujące światy i kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przyjazd do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta w tym Narodowe Muzeum Historii i Plac Niepodległości. **Dz. 3** Ułan Bator. Klasztor Gandan i Pałac Króla Bogd-chana. **Dz. 4** Ułan Bator – Elsen Tasarkhai. Zakwaterowanie w jurtach, możliwość przejażdżki konnej lub na wielbłądach i czas wolny. **Dz. 5** Elsen Tasarkhai – Karakorum – Elsen Tasarkhai. Stolica Czyngis-chana, w tym klasztor Erdenne Zuu. **Dz. 6** Elsen Tasarkhai – Ułan Bator. Wizyta u rodziny nomadów i kolacja pożegnalna w stolicy. **Dz. 7** Ułan Bator – Pekin. Przejazd Trans-mongolską Koleją. **Dz. 8** Pekin. Przyjazd do chińskiej stolicy, czas na odpoczynek i kolacja powitalna. **Dz. 9** Pekin. Starożytne Chiny. Cesarski Pekin: Zakazane Miasto, Świątynia Nieba, ceremonia parzenia herbaty i kaczka po pekińsku. **Dz. 10** Pekin. Całodzienna wycieczka na Wielki Mur Chiński, wizyta w sklepie z jedwabiem oraz zwiedzanie hutongów i przejażdżka riksza. **Dz. 11** Pekin. Nowoczesne Chiny, wizyta w Strefie Sztuki 798 i kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Pekin – Warszawa. Powrót do domu.

12 dni
Wyloty z Warszawy
19/06, 04/09 2026

12.998,-

NOWOŚĆ

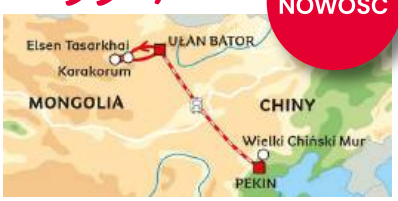



4 kolacje w cenie

Południowa Anglia i Kornwalia

Fantastyczna wycieczka przez malownicze zakątki Anglii ze spektakularnym wybrzeżem, urokliwymi wioskami i owianymi legendami zamkami i skarbami kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Londyn. Winchester i Bournemouth. **Dz. 2** Bournemouth – skamieliny na Wybrzeżu Jurajskim – Lyme Regis – wrzosowiska w Dartmoor – Torbay. **Dz. 3** Pociąg parowy z Paington do Kingswear. Rejs statkiem do Dartmouth Agathy Christie. **Dz. 4** Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance – Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives – Newquay. **Dz. 5** Ogród botaniczny Eden Project – wizyta na farmie cydru. **Dz. 6** Newquay – Zamek Tintagel – Bristol. **Dz. 7** Bristol – Bath z listy UNESCO. Podróż powrotna z Londynu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 12/05, 28/07 2026 | od 6.798,-



NOWOŚĆ





Zimowa przygoda na Islandii

Zimowa wyprawa w fascynującej scenerii gorących źródeł, zamarzniętych wodospadów i zorzy polarnej.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Przylot do Keflavíku i przejazd do Selfoss. **Dz. 2** Selfoss. Zwiedzanie miasta, wizyta w muzeum Skyr oraz wycieczka do Secret Lagoon. **Dz. 3** Selfoss – Seljalandsfoss – Skógafoss – Vík – Selfoss. Fantastyczna przyroda południowego wybrzeża z czarnymi plażami, imponującymi wodospadami i gejzerami. **Dz. 4** Selfoss – Gullfoss – Þingvellir – Reykjavik. Złoty Krąg, fabryka wełny i przyjazd do stolicy Reykjaviku. **Dz. 5** Reykjavik. Zwiedzanie miasta i czas wolny lub safari na wieloryby (dodatkowo płatne). **Dz. 6** Przylot do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 15/01, 05/03 2026 | od 6.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL41**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opeike polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 11d96193c5



Miliardy na armię wewnętrzną

W trwającej „niby-wojnie" Rosji z Zachodem na pierwszej linii wcale nie stoją żołnierze. Granicę w czasie pokoju chroni, a czasem i jej broni, Straż Graniczna. System ratownictwa i obrony cywilnej to domena straży pożarnej. Nawet gdy spadnie jakiś dron, pierwsi na miejscu są zwykle policjanci. Funkcjonariusze służb zwanych mundurowymi to „armia wewnętrzna", której modernizacja przebiega bez takich emocji, jakie towarzyszą wydatkom zbrojeniowym. Zamiast czołgów i samolotów – terenówki, radia czy nowy posterunek. Rzeczy zwykłe, bez których codzienne bezpieczeństwo nie działa. MSWiA co trzy lata ustala pakiet potrzeb, a rząd szuka funduszy na program, uchwalany w formie ustawy.

Nie może dziwić, że najbliższy program, na lata 2026–29, jest rekordowo zasobny: opiewa na **13 mld zł**. Poprzedni liczył 10 mld, wcześniejszy – 9. Policja jako największa służba dostanie najwięcej – ponad 7 mld zł. Licząca **100 tys. funkcjonariuszy** formacja jest pod względem stanu technicznego trochę jak wojsko: ma oazy nowoczesności i parkingi pełne nowych aut, ale równolegle także posterunki, których od dekad nawet nie odmalowano. Dlatego Komenda Główna wyda najwięcej na remonty i nowe budynki. Drugim priorytetem są pojazdy, trzecim – broń. Kolejna na liście Straż Graniczna za **2,8 mld zł** kupi śmigłowce (kilka już ma) i radary dozoru morza, poprawi łączność i zatrudni więcej ludzi. Podobnie do policji ma to wyglądać w straży pożarnej, która dostanie **2,4 mld zł** na nowe strażnice, wozy ratowniczo-gaśnicze i etaty. **Pół miliarda zł** trafi do Służby Ochrony Państwa na systemy szkolenia, pojazdy i sprzęt – można się domyślać, że chodzi m.in. o zabezpieczenia antydronowe.

Krajowy budżet czasem wspierają europejskie pieniądze. Morski Oddział Straży Granicznej sfinansował za nie okręt patrolowy zdolny do misji nie tylko na Bałtyku. 70-metrowy „Generał Józef Haller" to gabarytowo największa inwestycja sprzętowa w procesie modernizacji służb, ale równie ważne są te, których nie widać. Mająca ostatnio pełne ręce roboty z wyłapywaniem sabotażystów Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego otrzyma z rezerwy budżetowej **70 mln zł**, a działająca za granicą Agencja Wywiadu – **40 mln zł**. Ich „modernizacja" opisana jest zdawkowo; w przypadku kontrwywiadu chodzi o doposażenie w nowoczesny sprzęt, zakup technologii, wydatki bieżące i majątkowe. Wywiad zaś ma dostać więcej na fundusz operacyjny, czyli pozyskiwanie informacji. To też kosztuje. (MŚ)

Kryptogry Piesiewicza

Polski Komitet Olimpijski ma nowego sponsora – Zondacrypto, czyli platformę umożliwiającą wymianę kryptowalut. Pod tym szyldem działa od 2021 r. jako następczyni firmy BitBay, wpisanej trzy lata wcześniej na listę ostrzeżeń Komisji Nadzoru Finansowego za działanie bez zezwolenia. Jej ówcześni właściciele nie zamierzali jednak zwijać żagli i przenieśli biznes do Estonii.

Umowa z PKOl to dalszy ciąg marketingowej ofensywy Zondacrypto, z wykorzystaniem sportowców oraz znanych polskich aktorów, m.in. Janusza Chabiora i Borysa Szyca. Firma była też sponsorem niedawnej konferencji konserwatystów CPAC w Rzeszowie, w której uczestniczyła wierchuszka PiS. Za Zondacrypto ciągnie się mroczna przeszłość. Założyciel i szef BitBay Sylwester Suszek, nazywany „polskim królem bitcoinów", epatujący luksusowym stylem życia, zaginął w marcu 2022 r. Wcześniej dziennikarze „Superwizjera TVN" ujawnili, że wśród udziałowców BitBay są członkowie śląskiego półświatka z wyrokami za sutenerstwo, rozboje, wyłudzanie podatku VAT – jeden z nich odsiedział kilka lat za współudział w porwaniu i zabójstwie biznesmena z Tychów. Podczas prac nad materiałem Michał Fuja z Superwizjera otrzymał propozycję odstąpienia od tematu w zamian za 1 mln zł łapówki. Powiadomił policję, a gdy sprawa wyszła na jaw, Suszek oznajmił, że nie ma z tą „ofertą" nic wspólnego.

Los Suszka do dziś jest nieznany. Jedna z teorii głosi, że miał czymś narazić się gangsterom stojącym za kryptowalutowym biznesem. Po jego zniknięciu stery firmy przejął chodzący za nim jak cień prawnik **Przemysław Kral**. To on w imieniu firmy podpisał umowę z PKOl. Doszło do tego w Monako, gdzie Kral od dawna rezyduje i zarządza biznesem. Do Polski nie wraca, bo ma postawione zarzuty utrudniania śledztwa w sprawie przekupstwa i zastraszania Michała Fui.



Podpisanie umowy z wielką pompą ogłosił prezes PKOl **Radosław Piesiewicz**, którego chciwość, arogancja i brak transparentności skutecznie zniechęciły biznes do wspierania olimpijskiej centrali. Piesiewicz obiecał, że nagrody dla medalistów zbliżających się igrzysk zimowych w Cortina d'Ampezzo zostaną podwojone (500 tys., 400 tys. i 300 tys. odpowiednio za: złoto, srebro i brąz – z czego połowa w bliżej niezidentyfikowanych tokenach), a nowy sponsor zostanie uhonorowany obecnością w oficjalnej nazwie Centrum Olimpijskiego. Nie raczył jednak dodać, co z dotychczasowym patronem, którym od dwóch dekad jest Jan Paweł II. (MP)

© PAP/GRZEGORZ MOMOT, PKOL, DAWID ZUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 11d96193c5

Limity na władzę



Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Choć projekt ustawy znoszącej dwukadencyjność wójtów, burmistrzów i prezydentów został złożony w parlamencie przez PSL jeszcze w lipcu tego roku, dopiero teraz pojawiła się realna szansa na przekonanie do niego partnerów z koalicji. Oto bowiem Lewica, słowami Włodzimierza Czarzastego, poinformowała kilka dni temu, że partia poprze tę inicjatywę. Czarzasty, całkiem na poważnie, uzasadnił zmianę zdania Lewicy w tej sprawie, powołując się na „naszych prezydentów miast", którzy przekonali go, żeby się (a dokładnie – ich) nie ograniczać do dwukadencyjności. Lider Lewicy szybko uświadomił sobie chyba, że ta rozbrajająca szczerość może partii zaszkodzić, bo w kolejnych dniach wspominał już tylko o prawie obywateli do samodzielnego decydowania o tym, kto nimi rządzi.

Dwukadencyjność organów wykonawczych gmin została wprowadzona za rządów PiS w 2018 r., co oznacza, że dla „starych" wójtów, burmistrzów i prezydentów miast kadencja rozpoczęta w 2024 r. powinna być ostatnia.

Gra toczy się o wysoką stawkę, zwłaszcza dla tych członków koalicji 15 października, którzy notują spektakularne spadki w sondażach i dla których utrata władzy może okazać się nieodwracalna. PSL, partia od zawsze silnie nadreprezentowana w samorządach, może stracić najwięcej, jeśli szybko nie zniesie dwukadencyjności – jej przedstawiciele w wielu miejscach w Polsce sprawują rządy już od dawna, a wielu z nich wkrótce osiągnie dziesięcioletni limit. Zabetonowanie władzy w samorządach może się obecnie wydawać kuszące także dla KO, choć wcześniej politycy tego ugrupowania wielokrotnie deklarowali poparcie dla rozwiązań ograniczających powstawanie lokalnych układów. Jeśli tym razem ustąpią ludowcom, konsekwencje będą podwójnie bolesne. Po pierwsze, sprzeniewierzą się poglądom własnego elektoratu, świadomego zagrożeń wynikających z nieograniczonego czasowo sprawowania władzy, zwłaszcza w małych społecznościach, gdzie łatwiej o tworzenie zamkniętych systemów klientystycznych. Po drugie zaś, wzmocnią PSL, które coraz bardziej – i to szczególnie na poziomie samorządowym – flirtuje z prawicą.

W brew pozorom sprawa nie dotyczy jedynie samorządów, sprowadza się bowiem do filozofii rządzenia. Na poziomie ogólnopolskim nadmierną miłość własną władzy ogranicza działanie wolnych mediów, które pełnią funkcję uważnego krytyka piętnującego przejawy rozhamowania polityków. Jednak na poziomie samorządowym, przy słabości mediów lokalnych uzależnionych od wsparcia finansowego spółek miejskich i gminnych, nie ma wystarczających mechanizmów kontrolowania rządzących. Ograniczenie władzy w czasie – o czym wiedzieli już starożytni Ateńczycy – przyczynia się zatem nie tylko do ograniczenia demoralizującego wpływu na sprawujących ją ludzi, lecz także zwiększa przejrzystość procedur i powstrzymuje megalomańskie ekscesy rządzących.

Kadencyjność przeciwdziała także kumulowaniu się negatywnych dla społeczeństwa efektów długotrwałego sprawowania władzy przez te same osoby. Nic tak bowiem nie hamuje destrukcyjnego wpływu władzy na jednostkę, jak przekonanie, że po jej utracie może zostać rozliczona za swoje czyny.

Braun znów straszy

W ostatni weekend października we Wrześni miały się odbyć uroczystości upamiętniające urodzonego w tym mieście w 1821 r. Louisa Lewandowskiego, wybitnego kompozytora pochodzenia żydowskiego. Ich częścią miał być koncert w kościele farnym z udziałem okolicznych chórów dziecięcych. Honorowy patronat nad wydarzeniem objął prymas Polski abp Wojciech Polak. Ale Grzegorz Braun uznał, że sytuacja, gdy polskie dzieci w kościele katolickim śpiewają po niemiecku pieśń chanukową, jest nie do przyjęcia. Uruchomił falę antysemickiego hejtu, za nią zaś poszły groźby i zapowiedzi zakłócenia imprezy. Fundacja Dzieci Wrzesińskich, która była organizatorem przygotowywanej od roku imprezy, odwołała ją ze względów bezpieczeństwa.

„Autorami hejtu są osoby nieznające historii naszego miasta, które bezpodstawnie połączyły koncert i osobę Louisa Lewandowskiego z wydarzeniami strajku Dzieci Wrzesińskich" – podkreśla zarząd fundacji. „Szkoda, że Louis Lewandowski i jego wspaniała twórczość na tę chwilę zostanie schowany do szuflady, oczekując innych czasów".

„Brak reakcji władz samorządowych jest zatrważający. To niepojęte, że Braun i inni narodowcy, a raczej faszyści, decydują o wydarzeniu kulturalnym" – piszą komentujący w sieci. Kolejne osoby podpisują się pod listem otwartym z apelem do samorządowców, duchownych i ludzi dobrej woli, by pomogli doprowadzić do realizacji wydarzenia, a także podjęli działania edukacyjne, które przybliżą mieszkańcom postać Lewandowskiego oraz znaczenie dialogu międzykulturowego, pokoju i pojednania (można się dopisywać mailowo: listwrzesnian@gmail.com).



To kolejny z licznych ekscesów Brauna – po ataku gaśnicą na świece chanukowe w Sejmie, zerwaniu wykładu prof. Jana Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym czy próbie „obywatelskiego zatrzymania" ginekolożki w Oleśnicy. Od maja nie chroni go już immunitet europosła. Prokuratura postawiła mu zarzuty.

Według Piotra Kwapisiewicza, prezesa Żydowskiego Stowarzyszenia Czulent, Braun powinien zostać ukarany od razu po tym, jak latem br. powiedział w Radiu Wnet, że „Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fake". – *Problem w tym, że państwo reaguje niewystarczająco lub zbyt wolno. Braun dostaje promocję we wszystkich mediach. Postępuje radykalizacja i wzmagają się konflikty międzygrupowe. Czy policja ma odtąd ochraniać wydarzenia kulturalne?* – pyta. (J. HALC)

Daleko do Nobla

Przyjęcie planu Donalda Trumpa w sprawie Strefy Gazy i późniejsza zapowiedź spotkania z Władimirem Putinem w Budapeszcie sprawiły, że prezydent USA mógł realnie myśleć o pokojowym Noblu. Zakończenie dwóch najkrwawszych wojen byłoby tu silnym argumentem. Jednak w zeszłym tygodniu pojawiły się problemy. Najpierw odpadł Budapeszt – nie wiadomo do końca z jakich powodów: technicznych (ryzykowny przelot Rosjanina



do jednej z unijnych stolic) czy geopolitycznych (Moskwa nie zgadza się na żadne ustępstwa). Trump znów nie lubi Putina i w najbliższym czasie nie widać szans na zawieszenie broni w Ukrainie. Dlatego Waszyngton stara się uratować „sukces" w Gazie.

Tam prawie zakończyła się pierwsza faza planu Trumpa. 20 żyjących izraelskich zakładników odzyskało wolność, tak jak ok. 2 tys. Palestyńczyków wypuszczonych z izraelskich więzień. Ale Hamas, choć zobowiązał się również do oddania 28 ciał zakładników, do zamknięcia tego numeru POLITYKI przekazał tylko 16. Pozostałe są prawdopodobnie przywalone gruzami i potrzebny jest specjalistyczny sprzęt, który na miejsce wysłał Egipt. Działa on jednak w trudnych warunkach, bo Izrael zaczął wyznaczać tzw. żółtą linię pokazującą, dokąd wycofały się izraelskie wojska, które nadal kontrolują ok. 53 proc. terytorium Strefy Gazy. Dalsza ewakuacja zależy od realizacji kolejnych punktów planu Trumpa, o co będzie trudno. Największym problemem jest rozbrojenie Hamasu – nie wiadomo, kto i jak ma to zrobić. W samym Izraelu mówi się, że owa żółta linia na długo stanie się nową granicą państwa.

W takich okolicznościach Izrael próbuje wrócić do trybu pokojowego. Tym bardziej że na wiosnę muszą się odbyć wybory. Koalicja pod wodzą **Beniamina Netanjahu** chce odzyskać popularność, wracając m.in. do reformy sądownictwa w duchu PiS oraz sondując możliwą aneksję Zachodniego Brzegu Jordanu. Trump – świadom, jaką reakcję może to wywołać wśród jego kontrahentów znad Zatoki Perskiej – przez cały ubiegły tydzień wysyłał do Izraela swoich ludzi: najpierw zięcia Jareda Kushnera i negocjatora „od wszystkiego" Steve'a Witkoffa, potem wiceprezydenta **J.D. Vance'a**, a w końcu sekretarza stanu Marca Rubia. Izraelska prasa nazwała ich „Bibisitterami" – to połączenie Bibi (potocznego określenia Netanjahu) i angielskiego słowa babysitter (opiekunka do dziecka). Amerykanie mieli zagwarantować, że izraelski premier nie zrobi czegoś głupiego z punktu widzenia USA. Ten zaś tak się przejął tą sytuacją, że dwukrotnie publicznie zapewnił o „pełnej suwerenności" Izraela.

Jastrzębica

Sanae Takaichi została pierwszą premierką w historii Japonii. Jako pierwsza kobieta stanęła też na czele dominującej w japońskim krajobrazie politycznym konserwatywnej Partii Liberalno-Demokratycznej. Ugrupowanie mierzy się jednak z kryzysem, a Takaichi ma tym słabszą pozycję, że kieruje rządem mniejszościowym. Koledzy – rządzenie Japonią wciąż pozostaje zajęciem niemal wyłącznie męskim – wystawili ją na czoło, by radykalnie konserwatywną postawą wypracowała przeciwwagę dla rosnącej w siłę skrajnej prawicy. Ta łowi elektorat na wzburzonych wodach gwałtownych zmian społecznych, rozhuśtanych wzrostem kosztów życia, wyzwaniami starzenia się i kurczenia populacji, obawami przed napływem imigrantów oraz coraz bardziej mocarstwową pozycją pobliskich Chin.

Szefowa rządu ma 64 lata. Oddawała się nurkowaniu, lubi jazdę na motocyklach i sportowe samochody, w okresie studiów z zarządzania grała na perkusji w zespole heavymetalowym. Podczas występów zdarzało się jej często łamać pałeczki. Wciąż słucha metalu spod znaku Iron Maiden i Deep Purple, bębni też na rozstawionej w domu perkusji elektronicznej. Stażowała w Stanach Zjednoczonych w biurze Pat Schroeder, demokratycznej kongresmenki z Kolorado. Zmarła w 2023 r. Schroeder przed śmiercią wyraziła życzenie, by z jej prochów wykonać „cegłę, która innym kobietom przytrzyma uchylone drzwi".

Takaichi nie za bardzo nadaje się na kogoś, kto mógłby taką blokadę zatknąć. O ile zapowiada troskę o lepszą opiekę dla matek dzieci w wieku szkolnym i pacjentek zmagających się z objawami menopauzy, o tyle w jej gabinecie na 18 stanowisk ministerialnych kobietom oddała tylko dwie teki (finansów i ds. bezpieczeństwa ekonomicznego). Sprzeciwia się wprowadzeniu małżeństw osób tej samej płci, dziedziczeniu cesarskiego tronu przez kobiety i zniesieniu obowiązku przyjmowania wspólnego nazwiska przez pary małżeńskie. W praktyce niemal zawsze wybierane jest nazwisko męża. Tak zrobiła Takaichi



eprasa.pl 11d96193c5

Szczyt i czystki



30 października przywódcy Chin i Stanów Zjednoczonych spotykają się w Korei Południowej. **Xi Jinping** i **Donald Trump** przyjeżdżają na szczyt gospodarek Azji i Pacyfiku. Przy okazji, po sześciu latach przerwy, ustalą chemię osobistych stosunków i stan zaciętej rywalizacji między swoimi państwami. W przedszczytowych negocjacjach delegacje Pekinu i Waszyngtonu próbowały położyć podwaliny pod rozejm, który załagodziłby toczącą się wojnę handlową, eskalowaną rundami zaporowych ceł. Rozmowy dotyczyły m.in. zasad surowo ograniczonej sprzedaży chińskich metali ziem rzadkich, eksportu amerykańskiej soi, odpowiedzialności chińskich podmiotów za przemyt narkotyków do USA czy wysokości opłat w amerykańskich portach.

„Myślę, że dogadamy się w każdej sprawie" – przewiduje Trump. Wyraża też nadzieję, że w ramach „fantastycznego porozumienia" Chiny mogłyby „pomóc" w skłonieniu Rosji do zamrożenia wojny w Ukrainie, co się amerykańskiemu prezydentowi od miesięcy nie udaje. Xi swoich intencji nie zdradza. Dodatkową trudność w ich odgadnięciu przynosi jego polityka wewnętrzna, zwłaszcza ostatnie zaostrzenie kampanii antykorupcyjnej. Z łask wypadło właśnie, tracąc funkcje partyjne lub wojskowe, dziewięciu generałów (wśród nich – numer dwa w armii), a także komisarze polityczni marynarki i wojsk lądowych. Jeden był członkiem Biura Politycznego, ośmiu zasiadało w składzie Komitetu Centralnego, a dwóch – Centralnej Komisji Wojskowej, czyli najważniejszego organu dowodzącego siłami zbrojnymi.

Zarzuty o łapownictwo bądź przekroczenie uprawnień to znak firmowy Xi. Pewne wrażenie robi fakt, że strąceni generałowie zajmowali się sprawami tajwańskimi, a już jakiś czas temu Xi nakazał wojsku, by było gotowe do inwazji na Tajwan w 2027 r. Czystki dotknęły także cywili. Stąd dziesiątki pustych miejsc podczas czwartego plenum XX Komitetu Centralnego – czterodniowego spotkania, które poświęcono przygotowaniu 15. już planu 5-letniego. Będzie realizowany w latach 2026–30 pod hasłem innowacji, samowystarczalności w najwyższych technologiach, modernizacji wojska i pobudzenia niemrawego wzrostu gospodarczego przez zdopingowanie wewnętrznej konsumpcji.

Bezprecedensowe roszady personalne skłaniają do pytań o pozycję Xi. Zapewne był zaniepokojony sytuacją w wojsku, skoro zdecydował się nadszarpnąć swój autorytet i pośrednio przyznać do błędu, bo zwolnieni dowódcy zrobili przecież kariery za jego rządów. Jest i inne, psychologizujące objaśnienie. Xi idzie drogą Mao Zedonga, twórcy potęgi Chińskiej Republiki Ludowej. Też jest megalomanem, upaja się kultem jednostki, chce rządzić jednoosobowo i dożywotnio. Do pełni obrazu brakuje jeszcze okresowych czystek, wymuszających lojalność i utrzymujących żelazną dyscyplinę kadr.

przy pierwszym zamążpójściu, choć w pracy zawodowej – dziennikarki telewizyjnej i długoletniej parlamentarzystki – posługiwała się nazwiskiem panieńskim. Nazwisko męża porzuciła po rozwodzie, a gdy w 2021 r. ponownie wyszła za eksmałżonka, to on zrezygnował z własnego nazwiska.

Podczas ostatniej kampanii wyborczej zdradziła grupie uczniów, że marzy, by zostać japońską „żelazną damą". Nawiązanie do Margaret Thatcher nie jest przypadkowe. Pamiętnik brytyjskiej premierki z lat 1979–90 nazywa „swoim skarbem". Od Thatcher różni się poglądami na gospodarkę, jest zwolenniczką hojnych wydatków państwowych (dlatego jej wybór tokijska giełda powitała z entuzjazmem rekordowymi cenami akcji). Z idolką łączy ją jastrzębia wizja polityki zagranicznej. Takaichi chce rewizji pacyfistycznej konstytucji, zwiększenia wydatków obronnych i zapowiada konfrontacyjną postawę wobec Chin.



Becciu jak Dreyfus?

Miał być „proces stulecia", a zanosi się na kpinę z prawa. Tak media włoskie komentują zgrzyty towarzyszące rozprawie przed cywilnym watykańskim Trybunałem Odwoławczym. Chodzi o odwołanie się od wyroku skazującego na kary więzienia osoby oskarżone o spowodowanie poważnych szkód finansowych na niekorzyść budżetu państwa papieskiego. Doszło do nich wskutek nietrafionego nabycia nieruchomości w Londynie za 400 mln dol. Wśród dziesięciorga oskarżonych znalazł się włoski kardynał Angelo Becciu. Ponieważ nigdy dotąd kościelny purpurat nie trafił na ławę oskarżonych, proces nabrał wymiaru precedensu. Rozpoczął się za pontyfikatu Franciszka i miał być przykładem przejrzystości watykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Becciu wymierzono karę pięciu i pół roku więzienia. Jednak już podczas procesu pojawiły się ostre krytyki co do jego rzetelności i roli, jaką odgrywał w nim sam Franciszek. Do tego stopnia, że zestawiano go, słusznie czy nie, z procesem Dreyfusa.

Jeszcze gorzej sprawa ma się z rozprawą odwoławczą. Obrona zażądała wyłączenia prokuratora Alessandra Diddiego. Według niej miał on wraz z dwiema związanymi ze sprawą kobietami – jedna jest uwikłana w skandal „Vatileaks 2.0", druga miała w przeszłości pracować dla włoskich służb specjalnych – zmanipulować na niekorzyść kardynała treść zeznań głównego świadka oskarżenia. Sąd odwoławczy przychylił się do wniosku obrony. Co gorsza, oddalił także wniosek oskarżenia o ponowne rozpatrzenie wysokości zasądzonych już kar. Tak więc prokurator poniósł dwie porażki, a Becciu ma szansę poprawić swój wizerunek, choć kardynalskich przywilejów i dawnej pozycji w Watykanie raczej nie odzyska. Pytanie tylko, czy w państwie, w którym papież jest zarazem najwyższym władcą, prawodawcą i sędzią, w ogóle można mówić o niezależnym wymiarze sprawiedliwości.

© MARC ISRAEL SELLEM/ANADOLU/GETTY IMAGES, KYODO NEWS/GETTY IMAGES (2), ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 11d96193c5

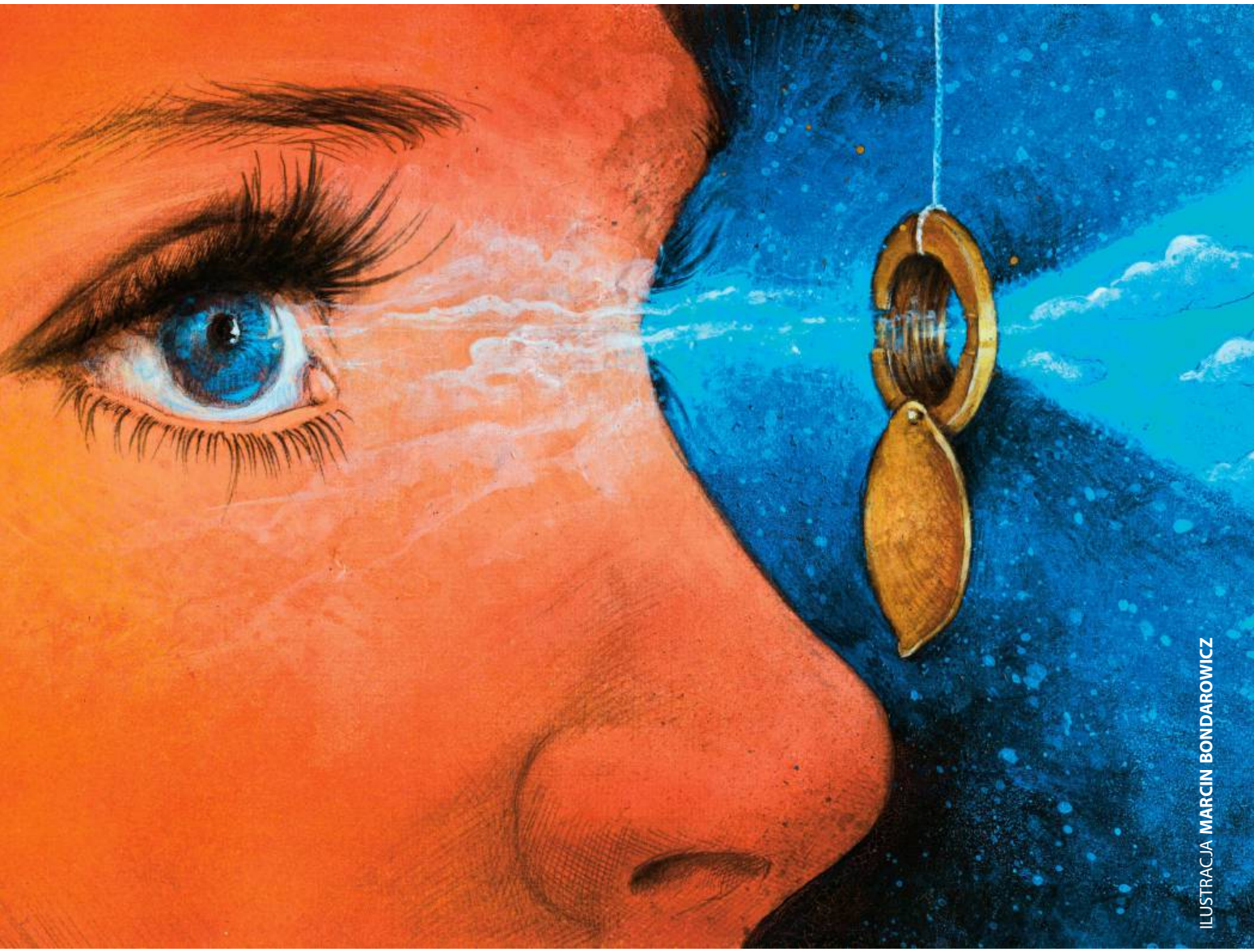

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Totalna szarlataneria

JOANNA CIEŚLA

Na sesjach terapeutycznych w nurcie totalnej biologii dowiedziałam się, że wypadanie włosów może być skutkiem kryzysu religijnego, ciasnoty w domu albo... lęku przed wypadaniem włosów. Oraz że ból pleców wynika z obaw o pieniądze, a katar nęka, bo „coś mi śmierdzi". Nowa pseudonauka podbija rynek.

eprasa.pl 11d96193c5

Pieprzyk na skórze lub nawet czerniak powstaje z powodu fundamentalnego konfliktu splamienia. Pojawia się na przykład u nastolatki podglądanej pod prysznicem. Choroba Gravesa-Basedowa, czyli nadczynność tarczycy, trafia tych, których dręczy „coś związanego z nagrobkiem". Na przykład nie uchronili bliskich przed przedwczesną śmiercią (bo *grave* to grób). Na zaburzenia koncentracji cierpią dzieci matek, które pod wpływem znieczulenia przy porodzie nie skupiały się na bólu. To już nie ustalenia z sesji, tylko streszczenie z leksykonu „Uzdrawianie przez świadomość. Recall Healing Totalna Biologia" kanadyjskiego terapeuty Gilberta Renaud.

Renaud to jeden z ojców Totalnej Biologii (TB) i Recall Healing – metod, które do naszego kraju przywędrowały niecałe 20 lat temu i mimo przestróg towarzystw lekarskich podbijają serca i umysły. – *To nurt medycyny alternatywnej i psychologii alternatywnej, który bazuje na bardzo kontrowersyjnych koncepcjach. Można ją klasyfikować jako pseudonaukę* – ocenia prof. Dariusz Jemielniak z Akademii Leona Koźmińskiego, psycholog badający ruchy antynaukowe. – *Żadne liczące się środowiska naukowe ani eksperci nie uznają założeń tej metody. Nie istnieją wiarygodne badania potwierdzające skuteczność tego podejścia. Jednocześnie usiłuje się ono podszywać pod teorie naukowe, między innymi używając paranaukowego języka*.

Co trafia także do wykształconych Polaków i – zwłaszcza – Polek. Ilustrują to niedawne plany Biblioteki Publicznej w Piasecznie. Na początek października zaproszono tam Sonię Ross, terapeutkę totalnej biologii i konsultantkę Nowej Medycyny. Ta decyzja zapadła w odpowiedzi na oczekiwania uczestniczek organizowanych w bibliotece spotkań „Kobiety – kobietom". Same wskazały oczekiwaną gościnię. Po fali oburzenia mieszkańców, lekarzy i przedstawicieli innych dyscyplin nauki dyrektorka biblioteki spotkanie odwołała. Kilka osób i tak w nadziei na wykład przyszło. Sonia Ross, w przeszłości dziennikarka poważnych mediów, w pełnym żalu opisie sytuacji na facebookowym fanpage'u przy okazji przypomniała niektóre zalecenia praktykowanej metody. Choćby te, by przy objawach zawału serca przykładać lód nad prawe ucho. Ponieważ „tam właśnie znajduje się neuroprzekaźnik wolnego bicia serca" (w rzeczywistości neuroprzekaźniki to substancje chemiczne, przenoszące sygnały między komórkami nerwowymi i innymi komórkami).

Rozżalenie Soni Ross jest zrozumiałe o tyle, że kilka lat wcześniej gościła już w filii piaseczyńskiej biblioteki w Józefosławiu i nikt nie zgłaszał sprzeciwu. Życzliwość Piaseczna wobec biologii totalnej nie jest zresztą wyjątkiem. Centrum Kultury Dworek Białoprądnicki, instytucja kultury miasta Kraków, także popularyzowało jej założenia w transmitowanej na specjalnym kanale Dworek TV rozmowie z Andreą Bnin-Bnińską, kolejną z grona słynnych konsultantek tej metody (Bnin-Bnińska, z wykształcenia politolożka, była wykładowczynią na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie). Ekspertki i – mniej liczni – eksperci tej dziedziny gościli też w telewizji publicznej („Pytanie na śniadanie") oraz w Polskim Radiu.

Fora tematyczne metody, liczące setki tysięcy członków, płoną od dyskusji o terapii i sensie różnorakich objawów. Na przykład o tym, co może stać za odruchem wymiotnym odczuwanym w trakcie mycia zębów. „Czy było wymuszone fellatio?" – naprowadza autorkę pytania administratorka; „Nie" – odpowiada użytkowniczka; „Pewnie było w poprzednich pokoleniach" – rozstrzyga inna uczestniczka. W kolejnym wpisie Laura, absolwentka socjologii, prosi o podpowiedź, „Co może oznaczać w TB zwichnięcie kostki panny młodej dwa tygodnie przed ślubem?". „Kostka to kierunek. Nie jestem pewna, dokąd zmierzam" – pada wyjaśnienie. Socjolożka na razie czeka na odpowiedź: „Czy jest różnica, czy to prawa albo lewa noga?".

Totalnie się kuruj

Założenia totalnej biologii głoszą, że choroba jest oznaką zdrowienia, „najlepszym rozwiązaniem mózgu na utrzymanie organizmu przy życiu". „Choroby są przejawem konfliktów, których doświadczamy na co dzień w głębi swojego umysłu i swojej istoty" – pisze Gilbert Renaud w „Uzdrawianiu przez świadomość". Gdy zachodzi właściwy konflikt, czyli silne przeżycie emocjonalne, nie odczuwa się dolegliwości. Pojawiają się one, gdy konflikt zaczyna być rozwiązywany – właśnie przez „reakcję w ciele". Na przykład „białaczka to faza zdrowienia po bardzo poważnym konflikcie obniżonego poczucia własnej wartości". W tej fazie nie należy skupiać się na likwidowaniu dolegliwości, ale na pracy ze świadomością, zrozumieniem istoty konfliktu i traum. Gdy poukłada się w głowie, dolegliwości ustąpią (choć na stronach internetowych części terapeutów można znaleźć asekuracyjne zapewnienia, że konsultacja u nich nie zastępuje diagnozy lekarskiej).

„Totalność" totalnej biologii odnosi się do całościowego – *holistycznego* – podejścia do zdrowia i organizmu człowieka. Przy ustaleniach, co się z nim dzieje, uwzględnia się doświadczenia z odległej przeszłości, a nawet poprzednich pokoleń.

Zręby tego podejścia wymyślił w latach 80. XX w. niemiecki teolog i internista Ryke Geerd Hamer. Jak pisze kulturoznawczyni Ewa Kozik z Uniwersytetu Śląskiego w pracy doktorskiej „Mity jako źródło poczucia bezpieczeństwa w świecie postprawdy. Medycyna i zdrowie", Hamer zachorował na nowotwór krótko po tragicznej śmierci syna. Następnie zaczął pytać własnych pacjentów chorujących na raka, czy zanim zaczęły się dolegliwości, spotkało ich coś traumatycznego. I doszedł do wniosku, że każdy z chorych takie wydarzenie przeżył. Hamer stworzył teorię diagnozy i leczenia, którą nazwał Nową Medycyną Germańską. Nie sposób było jednak zweryfikować jej w badaniach naukowych. W pracach lekarza zaczęły się pojawiać stwierdzenia, że „naukowa medycyna to narzędzie stworzone przez Żydów przeciwko nie-Żydom".

Ostatecznie Hamer stracił uprawnienia do wykonywania zawodu, a prokuratura 70 razy składała wnioski o badania psychiatryczne mężczyzny. Zdołał jednak zgromadzić wokół siebie grupy pacjentów, którzy uznali tę teorię za jedyną prawdziwą „boską naukę o zdrowiu", a jego darzyli niemal religijnym kultem. Rezygnowali na przykład z leczenia onkologicznego, często umierając po kilku miesiącach.

Według części źródeł teorię Hamera rozwinął francuski lekarz Claude Sabbah. W innej wersji po prostu splagiatował dorobek Niemca. Z pewnością natomiast Sabbah stworzył nazwę „Totalna Biologia Organizmów Żywych", upowszechnioną w skróconej ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ formie „Totalna Biologia". Wykładając w Kanadzie, wychował kolejnego w sztafecie – Gilberta Renaud, który nazwał metodę ulepszoną o własne pomysły Recall Healing, choć trudno stwierdzić, czym od totalnej biologii się różni.

Zdaniem twórców tego nurtu przeżywane przez ludzi konflikty znajdują odbicie w pracy konkretnych organów. Określone traumy zostawiają ślady w ściśle określonych strukturach mózgu „sterujących" poszczególnymi narządami. Zatem np. na konflikt emocjonalny, gdy ktoś czuje się odrzucony lub zdradzony, wskazują problemy z sercem i ciśnieniem. Konflikt terytorialny, gdy ktoś narusza czyjeś granice albo coś komuś odbiera, ujawnia się w chorobach oskrzeli lub układu moczowego. Konflikt oddzielenia, w następstwie przeprowadzki, rozstania lub śmierci odbija się w problemach ze skórą (np. łuszczycą lub łupieżem), a konflikt obniżenia wartości, powstały w następstwie krytyki lub porażek – w dolegliwościach kości, stawów lub mięśni.

Do Polski te rewelacje zwieźli z zagranicznych podróży między innymi przedstawiciele działającego w Poznaniu Instytutu Wiedzy Waleologicznej („całościowo wyjaśniającej i badającej istotę zdrowia"), Irena Galińska-Musioł, „wirtuozka gry na gongach i muzykoterapeutka", oraz Piotr Pałagin, jak pisze o sobie – lekarz, homeopata, psychoterapeuta i astrolog, absolwent Akademii Medycyny w Moskwie. Na stronie instytutu zapewniają, że jest on jedyną placówką w Polsce certyfikowaną do nauki metody Recall Healing®/Totalnej Biologii®.

Totalnie płać

Z dostępnego na stronie IWW nagrania webinaru „Problemy szkolne" dowiaduję się, że dzieci poczęte w wyniku pomyłki przy prowadzeniu kalendarzyka małżeńskiego często mają kłopoty z matematyką. – *Kalendarzyk jest metodą antykoncepcyjną, przy której o pomyłkę nietrudno. Dla dzieci, które w jej następstwie się rodzą, błąd jest rzeczą dobrą, bo dzięki niemu przyszły na świat. Będą liczyć źle, jak długo nie zostanie wyjaśnione źródło konfliktu* – referuje Maria Diaczkowa, prowadząca wykład po rosyjsku, z symultanicznym tłumaczeniem na polski.

Diaczkowa jest przedstawiana jako psycholog. I w wielu momentach rzeczywiście mówi jak doświadczony psycholog, odwołuje się do naukowych faktów o wczesnych etapach rozwoju człowieka. A pomiędzy tymi odwołaniami opowiada, tym samym pełnym fachowego opanowania głosem, że opóźnienie w rozwoju mowy dziecka może mieć źródło w problemie matki, by ogłosić światu wiadomość o ciąży. – *Znam dziecko urodzone w wyniku romansu matki, które zaczęło mówić dopiero w wieku kilku lat, gdy kobieta ujawniła, że jego prawdziwym ojcem jest nie mąż, ale kochanek.* Diaczkowa informuje też, że dzieci urodzone w wyniku cesarskiego cięcia mogą wzrastać w przekonaniu, że nic w ich życiu nie zależy od nich i ich pracy. A te z kolei, które nękają biegunki przed egzaminami, prawdopodobnie ponoszą konsekwencje przeprowadzenia lewatywy u matki w trakcie porodu.

Aby lepiej zrozumieć źródła popularności biologii totalnej, zapisuję się na dwie sesje indywidualne. Stacjonarną, u Kamili, w bloku na warszawskiej Chomiczówce, i online u Agaty z miasteczka pod Łodzią. Zgłaszam, zgodnie z prawdą, że niepokoi mnie wypadanie włosów. Kamila (35 lat, hollywoodzki uśmiech, uważne spojrzenie; według ewidencji jej działalność to doradztwo biznesowe, ale też sprzedaż motocykli oraz prowadzenie wesołych miasteczek) zaprasza mnie na wiklinowy fotel, w pomalowanym na seledynowo pokoju.

Zaczynamy od omówienia, jak u mnie z religią, bo włosy symbolizują kontakt z absolutem. – *Nawet w Biblii jest opis historii Samsona, któremu obcięto włosy za karę* – podkreśla Kamila, trochę mijając się z prawdą. Ale wątek religii za bardzo u mnie nie rezonuje. Więc Kamila pyta o najsilniejszy stres przeżyty w ostatnich latach. Mówię, że był to początek pandemii. A widząc zrozumienie, dodaję, że w tamtym okresie w ciągu miesiąca schudłam kilka kilo. Niechęć do jedzenia przy stresie może się wiązać z obozowymi doświadczeniami przodków. Moi przodkowie, szczęśliwie, nie mieli obozowych doświadczeń, więc wracamy do wypadania włosów. Może być spowodowane życiem w otoczeniu nadpobudliwych członków rodziny – tak dają mi do wiwatu, że „rwę włosy z głowy". Powinno to minąć, gdy znajdę sobie własną spokojną przestrzeń. Albo gdy przestanę się włosami przejmować, bo często wypadają właśnie dlatego, że człowiek za bardzo się tym martwi.

Agata (50 lat, z wykształcenia socjolożka, kilka lat temu sama poważnie zachorowała i, jak mówi, dopiero biologia totalna pomogła jej wyzdrowieć) przed sesją online przesyła mi do wypełnienia kwestionariusz. Mam opisać przebieg ciąży mojej mamy, wydarzenia z jej życia przed i rok po moim narodzeniu, wszelkie przypadki poronień i aborcji w rodzinie, wyjawić najgłębiej skrywane tajemnice, doświadczenia traumy i lęku. Agata z mojej pracy nie jest zadowolona. Test wypełniłam nie dość dokładnie. Nie przekonuje jej też informacja o silnym stresie w pandemii ani o tym, że moje najdotkliwsze negatywne odczucia na co dzień to zmęczenie i ból pleców. Chociaż akurat ból pleców może być związany z lękiem na tle finansowym i ogólnie o przyszłość. Fakt, że nie chcę się do tej emocji przyznać, wskazuje, że jestem zamknięta i nie mam dostępu do swojego wewnętrznego świata. Nawracający katar zdradza: moja podświadomość wie, że coś mi nie gra – nos zatyka się, bo wokół śmierdzi. A włosy wypadają dlatego, że ktoś mnie po nich głaskał, a teraz już tego nie robi.

Za 75 min sesji online z Agatą płacę 260 zł. Spotkanie u Kamili to koszt 350 zł – wyższy niż cena standardowej wizyty u psychoterapeuty, ale niższy niż u gwiazd nurtu takich jak Joanna Kaszuba (mgr psychologii, a także zarządzania i marketingu), u której opłata za 90-minutową sesję wstępną to aż 750 zł. No i u Kamili można wykupić Pakiet Diamond, dziesięć sesji w cenie dziewięciu. Żeby leczyć się w nurcie biologii totalnej, trzeba mieć zdrowie pozwalające przyzwoicie zarabiać.

Leksykon Gilberta Renaud „Uzdrawianie przez świadomość", opublikowany nakładem wydawnictwa Wena (właścicielką jest szefowa Instytutu Wiedzy Waleologicznej, wirtuozka gongów Irena Galińska-Musioł), 270 stron w miękkiej oprawie, to inwestycja od 170 zł do ponad 210 zł, w zależności od księgarni. W materiałach wielu praktyków nazwy Totalna Biologia i Recall Healing opatrzone są literką R w kółku. Na stronie IWW sformułowano zastrzeżenie, że jego szefowa posiada wyłączne prawo do tych znaków towarowych i że Instytut „jest jedyną placówką certyfikowaną do nauczania metody Recall Healing® w Polsce".

Promocyjna cena za trzystopniowe szkolenie online (trzy weekendy) wynosi 2990 zł, ale by móc prowadzić terapię i treningi, należy przejść kolejny kurs i zdać egzamin, a wcześniej zapłacić 9 tys. zł. Wyszkolić się w mniej więcej tym samym obszarze i za podobne stawki, a w dodatku w formule stacjonarnej, można też u Joanny Kaszuby. Być może ze względu na prawne ograniczenia szkoli ona jednak nie z Totalnej Biologii, tylko

eprasa.pl 11d96193c5



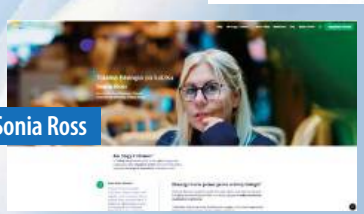





Promocyjna cena za trzystopniowe szkolenie online (trzy weekendy), wynosi 2990 zł, ale by móc prowadzić terapię i treningi, należy przejść kolejny kurs i zdać egzamin, a wcześniej zapłacić 9 tys. zł.

z PsychoBiologii. Ale też umożliwia uzyskanie zaświadczenia i tytułu trenera. Kursy są otwarte dla każdego.

Totalnie pomyślmy

Haluks powstaje u osób, które próbują uwolnić się od matki, ale nie potrafią. Borelioza oznacza głębokie poczucie obniżonej wartości i żal z powodu rozstania. Problemy z biodrami zwykle mają podłoże seksualne, np. „nie zgadzam się na pozycję seksualną, której chce mężczyzna".

Jak to możliwe, że podobne stwierdzenia przekonują osoby, które ukończyły studia i rozumieją większość praw rządzących światem? Prof. Dariusz Jemielniak tłumaczy, że wykształcenie w jednej dziedzinie czasem daje fałszywe poczucie kompetencji w innych. – *To paradoks, ale właśnie osoby cechujące się dociekliwością, samodzielnością i gotowością do pogłębiania wiedzy często tworzą obiegi nazywane pseudonauką.* Poza tym medycyna akademicka bywa krytykowana za fragmentaryzację i uprzedmiotowianie pacjentów. – *Totalna biologia oferuje pozornie kompleksowe wyjaśnienia, spójnie tłumaczące cierpienie, co psychologicznie satysfakcjonuje osoby przyzwyczajone do myślenia w kategoriach humanistycznych.*

Najczęstsze błędy poznawcze entuzjastów totalnej biologii mieszczą się w katalogu tych typowych. – *To między innymi efekt potwierdzenia – tendencja do poszukiwania wyłącznie faktów zgodnych z posiadaną opinią, i pomijanie tych, które ją kwestionują. Zwolennicy TB selektywnie dobierają przykłady „uzdrowień", ignorując przypadki niepowodzeń. Zazwyczaj przyjmują też, że jeśli poprawa nastąpiła po tej terapii, to musiała być jej efektem. Nie biorą pod uwagę możliwości spontanicznych remisji czy działania efektu placebo.* Wśród wyznawców totalnej biologii większość stanowią kobiety, co może wynikać z tego, że częściej zmuszone są stawiać czoła wyzwaniom związanym z chorobami podopiecznych. Częściej przeżywają rozczarowania i złość na niewydolność systemowej opieki zdrowotnej. Ogólne założenia teorii Hamera, Sabbaha czy Renaud są przy tym spójne z codzienną obserwacją. Każdy przy silnym stresie lub krótko po nim czuje się fizycznie gorzej, nikt dziś nie przeczy, że psyche łączy się z somą.

Pseudonaukowy nurt wciąga też medycznych profesjonalistów. Jeden z takich przypadków to dr Marzanna Radziszewska, doświadczona laryngolożka, która zrzekła się prawa wykonywania zawodu, by szerzyć wiedzę o psychobiologii. Ale wielu jej kolegów niczego się nie zrzeka. Rada Organizacji Pacjentów działająca przy Ministerstwie Zdrowia w ubiegłym roku apelowała do Naczelnej Izby Lekarskiej o interwencje wobec medyków korzystających z niezweryfikowanych metod. Pacjenci skarżą się, że trafiają na nich, wcale nie szukając tzw. medycyny alternatywnej. Po prostu idą do lekarza, a ten w gabinecie zaczyna zadawać dziwne pytania („Bolą nerki? To znak, że czegoś pani się lęka. Czego?").

Na polskim gruncie (a także rosyjskim czy ukraińskim) pseudonaukowe nurty przyjmują się lepiej niż w krajach Zachodu, przynajmniej tych europejskich. – *Może to być skutek wieloletnich deficytów edukacji naukowej, gdy w szkołach nie tłumaczono mechanizmów błędów poznawczych, nie uczono podstaw krytycznego myślenia, weryfikacji źródeł, podstaw statystyki czy elementów metodologii naukowej* – ocenia prof. Dariusz Jemielniak. Swoje robią też warunki polskiego rynku – trudny dostęp do fachowej opieki psychologicznej przy kompletnym chaosie ustaleń, co nią właściwie jest, i braku regulacji rynku terapeutycznego, gdzie praktycznie każdy może prowadzić „warsztaty uzdrawiania emocji" i reklamować je w mediach społecznościowych.

Taki ekosystem wypracowaliśmy sobie przez ostatnie dekady, ignorując też promocję nauki, zaniedbując jakość usług publicznych i autentyczne potrzeby emocjonalne pacjentów. Totalna biologia i inne pseudonaukowe nurty wlały się w te wszystkie wyrwy i stały trwałą częścią naszego krajobrazu. Być może w jakiś sposób ucywilizują to przygotowywane przez resort zdrowia przepisy tzw. lex szarlatan, nakładające wysokie kary finansowe za uprawianie pseudomedycyny. Ale nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Można się jednak spodziewać, że nawet na gruncie surowszych przepisów szarlataneria znajdzie sposób, żeby się odbić. Będzie to robić tak długo, jak długo w systemowych gabinetach, poradniach i szpitalach ludzie nie będą się czuli wystarczająco bezpiecznie, nie będą traktowani z troską i powagą. Taki jest zarys fundamentalnych konfliktów do rozwiązania u podstaw totalnej biologii w wersji polskiej.

JOANNA CIEŚLA

© SHUTTERSTOCK, MP (4)

eprasa.pl 11d96193c5

Silni razem



Donald Tusk wykorzystał zjednoczenie Koalicji Obywatelskiej do zbiorowej psychoterapii. Symbolicznie zakończył stypę po porażce Trzaskowskiego, zarządzając dyktaturę wiary i nadziei.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Jeden ze sceptycznych wobec premiera lokalnych działaczy KO z pokolenia 40-latków ironizuje: – *Donald brzmiał momentami, jakby motywował nas Ted Lasso, czekałem tylko, aż na ekranie pojawi się wielki napis „Wiara". Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyśmy byli w jakimś momencie przełomowym i zaczęli wygrywać wszystkie mecze, ale zawsze to miło przez chwilę poczuć się lepiej.* Ale zostawiając na boku drobną złośliwość, jego metafora jest całkiem trafna. Przemowa Donalda Tuska na kongresie zjednoczeniowym PO, Nowoczesnej oraz Inicjatywy Polskiej miała dużo z motywacyjnego *speechu*: przekaz emocjonalny i mobilizujący górował nad merytorycznym konkretem.

Ted Lasso to postać fikcyjna, główny bohater serialu o trenerze futbolu amerykańskiego, który niesamowitym splotem wypadków zostaje trenerem drużyny piłkarskiej i mimo początkowych kłopotów prowadzi ją do sukcesów, głównie dzięki ponadprzeciętnym umiejętnościom komunikacyjnym. W szatni wywiesza transparent ze słowem „Believe" (Uwierzcie) i mówi do swoich podopiecznych: „Fundamentem jest wiara, że może być lepiej, że ja mogę być lepszy, że my wszyscy możemy być lepsi, fundamentem jest wiara w siebie i wiara w drugiego człowieka".

„Uwierzcie w to: jesteście stworzeni do rzeczy wielkich. Nikt was w tym nie zastąpi. Polska zasługuje na silnych, zdecydowanych ludzi zjednoczonych tą wielką ideą: Polski dobrobytu, Polski suwerennej, Polski wolnych Polaków. To wy jesteście tego gwarantami, nikt tego za was nie zrobi" – to z kolei już Donald Tusk mobilizujący swoich „zawodników" na konwencji KO.

Trzymając się metafory piłkarskiej, premier w sobotę zebrał drużynę po pierwszej połowie meczu, która została dość wyraźnie przegrana i próbował natchnąć ją do *remontady*: odrobienia strat i walki o końcowe zwycięstwo.

Jak otworzyć niebo

– *Tak jak małopolskie Biadoliny są symbolicznie mentalną stolicą Polski, tak duża część członków i elektoratu KO mocno*

eprasa.pl 11d96193c5



Konwencja Koalicji Obywatelskiej w Warszawie, od lewej: **Adam Szłapka, Donald Tusk, Barbara Nowacka**

w biadolenie wsiąkła. Bo też rzeczywiście, gdy patrzymy na sondaże CBOS, oceny tego rządu są rozpaczliwie dołujące. Natomiast jeśli w tych samych badaniach spojrzymy na samooceny poziomu życia, te może nie są na poziomie 2019 r., gdy osiągnęły apogeum 30-lecia, ale na pewno jest lepiej niż trzy lata temu. Ludzie nie mają powodu, żeby szczególnie rozpaczać, sytuacja ekonomiczna, wskaźniki dotyczące gospodarki są na co najmniej niezłym poziomie. Problemem są zawiedzione nadzieje, bo przecież po rządach PiS miało być nie tylko nieźle, ale po prostu dużo, dużo lepiej – wskazuje prof. Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Gdy spojrzeć głębiej w badania CBOS, widać, że nastroje są rozchwiane nawet wśród elektoratu wiernego rządowi: więcej niż co trzeci wyborca Lewicy ocenia działania rządu źle lub nie ma zdania na ten temat (czyli ocenia źle, ale niechętnie się do tego przyznaje), podobnie ma co piąty zwolennik KO. A trudno choćby marzyć o wyrównanej walce wyborczej, gdy twardy elektorat zaczyna się kruszyć i popadać w polityczną depresję.

– Dlatego komunikat, że nie jest wcale tak beznadziejnie, jak te okropne media i opozycja ciągle gadają, był potrzebny działaczom i wyborcom. Jak mówi arabskie przysłowie, przebłysk nadziei wystarczy, żeby otworzyło się niebo. Tym bardziej że nie jest tak, by PiS miał 40 proc. w sondażach i świetnie dogadywał się z Konfederacją, więc istnieje szansa, że nie wszystko stracone. Mija też żałoba po przegranej Rafała Trzaskowskiego i jest potrzeba, żeby się ruszyć w jakąkolwiek stronę – mówi prof. Flis.

Słowo „jakąkolwiek" wydaje się tu kluczowe. Symptomatyczny jest fakt, że Tusk podczas programowej części konwencji KO poinformował o „przywróceniu do życia" Instytutu Obywatelskiego, czyli w założeniu partyjnego think tanku. Rzeczywiście, rezurekcja wydaje się tu niezbędna, ponieważ – jak zauważył ostatnio dziennikarz Jacek Gądek – Instytut po wyborach parlamentarnych jest w stanie śmierci mózgowej, z ostatnimi publikacjami datowanymi właśnie na 2023 r.

Mimo uwiądu intelektualnego zaplecza największej partii rządzącej premier na konwencji starał się kreślić ambitną wizję przyszłości, która powinna się spodobać komentatorom apelującym o dalekosiężne, aspiracyjne i rozwojowe projekty. Było więc o inwestycjach w rozwój polskiej sztucznej inteligencji, o rozwoju sieci drogowej i kolejowej oraz zapowiedź stworzenia Centrum Operacji Satelitarnych. „Rozmawiamy o przyszłości, ale nie z głową w chmurach, tylko patrząc naprawdę odważnie w niebo i podejmując decyzję" – deklarował Tusk.

Postawienie na tę strategię narracyjną będzie dobrym testem, czy wyborcy rzeczywiście oczekują odważnych, dużych planów i wizji, tak kiedyś postponowanych przez szefa rządu, czy interesują ich bardziej problemy w skali mikro. Bo rozwojowe projekty mogą łatwo utonąć w prozie politycznego życia i słusznych zazwyczaj lamentach kolejnych grup społecznych: naukowców, nauczycieli, pracowników ochrony zdrowia. Przedsmak tego mamy już dziś podczas prac nad ustawą budżetową.

Wrogiem jest tylko PiS

Po konwencji KO między bajki można włożyć rozważania o potencjalnej zmianie premiera przed wyborami: nikt po wystąpieniu Tuska nie mógł mieć wątpliwości, że lider Koalicji jest jeden i to on poprowadzi ją do wyborów, zarówno jako przywódca partii, jak i szef rządu. Tusk nazwał się żartobliwie podczas konwencji „ukochanym przewodniczącym" i – sądząc po reakcjach sali – jak wiele żartów, także i ten nie był daleki od prawdy.

W głównym wystąpieniu premier odkurzył też po raz kolejny starą mapę politycznego sporu, pogrubił granice i podkreślił je węzykiem, aby absolutnie nikt z partyjnego aktywu nie miał wątpliwości, jaka jest obowiązująca stawka kolejnych dwóch lat. Słowa Tuska koncentrowały się na podtrzymywaniu osi polaryzacji między KO a PiS, czyli w tej opowieści o walce dobra ze złem: „Nie możemy dać sobie wmówić, że ta wielka konfrontacja, wielki spór o rzeczy fundamentalne się skończył albo stracił swoje znaczenie" – mówił szef rządu. W tym podziale KO reprezentowała rozwój gospodarczy, postęp, innowacje i bezpieczeństwo, polegające na ścisłym zakorzenieniu Polski w strukturach świata zachodniego, a PiS wschodnią oligarchizację, zimną wojnę z Zachodem i restaurację wszystkich patologii z lat 2015–23. Tutaj z pomocną dłonią przyszło Tuskowi samo Prawo i Sprawiedliwość.

Na równoległej konwencji PiS miała być burza mózgów, i to z piorunami, a wszystko spisane w formie książki, bo – jak ▶

© PLATFORMA X/ADAM SZŁAPKA

eprasa.pl 11d96193c5

▶ wyznał jeden z polityków PiS – dla prezesa jest to niebywale ważne, żeby była książka. Ale wyszło, jak wyszło: uwagę opinii publicznej przyciągnęły głównie słowa Jarosława Kaczyńskiego o tym, że Francja chce w sojuszu z Niemcami zabrać nam państwo (przy czym prezes przyznał, że nie wie, dlaczego tak jest, ale na pewno jest), szczyt bezczelności w postaci udziału Jacka Kurskiego w panelu o mediach publicznych i teza Bronisława Wildsteina z materiałów przygotowanych na konwencję, że Rosja została sprowokowana do ataku na Ukrainę „słabością Zachodu podmywanego ideologią emancypacji".

Tusk skorzystał z okazji: „Każdy ma czasem taką pokusę, żeby powiedzieć, co ten Kaczyński chrzani, coś się staruszkowi pomyliło w głowie. On widzi we Francji głównego wroga. No ktoś naprawdę mógłby pomyśleć, że coś tu nie gra" – stwierdził premier.

I dodawał: „Polska będzie tak długo pożądanym partnerem dla państw najbardziej ambitnych i gwarantujących nasze bezpieczeństwo wobec agresji rosyjskiej, jak długo my będziemy rządzić i wygrywać z tymi, którzy chcą to zrujnować".

Natomiast, co ciekawe, na dwubiegunowej mapie politycznej, rysowanej przez lidera KO, właściwie zabrakło Konfederacji (poza drobnymi uwagami o podlizywaniu się Kaczyńskiego do Mentzena). PiS jako przeciwnik występował sam, a jeśli padały odniesienia do skrajnej prawicy (zarówno u Tuska, jak i przemawiającej w sobotę po nim Barbary Nowackiej), w roli brunatnego symbolu faszyzacji życia publicznego pojawiał się tylko orbitujący wokół Prawa i Sprawiedliwości Robert Bąkiewicz. Ktoś podejrzliwy mógłby pomyśleć, że było to mrugnięcie okiem do partyjnego aktywu i koalicyjnych partnerów: wróg jest jeden, sojusznicy mogą być różni.

Nowa partia, stara gra

Samo połączenie w jedną partię PO, Nowoczesnej oraz Inicjatywy Polskiej komunikacyjnie wygląda dobrze, bo wyborcy zawsze wolą, gdy politycy się łączą, a nie dzielą. Ale w sposób oczywisty trudno jest tu mówić o porozumieniu równorzędnych graczy. Transformacja Koalicji Obywatelskiej z sojuszu w jedną partię to nie tylko prosty *rebranding* i zmiana szyldu, ale również nie zjednoczenie – to raczej proces akwizycji, przejęcie aktywów mniejszych podmiotów i podporządkowanie ich strategii oraz przywództwu dominującego partnera. Teoretycznie zarządzanie KO powinno stać się prostsze, zaczynając od samej góry, a kończąc na regionach.

Tak tę sytuację widzi prof. Flis: – *To po pierwsze, formalizacja stanu faktycznego, po drugie, powtórzenie tego, co zrobił Jarosław Kaczyński, wchłaniając wszystkich, którzy dali się wchłonąć, czyli ziobrystów i republikanów, a po trzecie, z punktu widzenia interesu Platformy, to neutralizacja fenomenu, który nazywam efektem jemioły: mniejsze partie na koalicyjnych listach wyborczych zaczęły ogrywać duże pod względem proporcji uzyskanych mandatów. Teraz Donald Tusk będzie miał nad tym większą kontrolę.*

– *W sensie taktycznym zjednoczenie w jedną partię to też rodzaj politycznej opieki paliatywnej ze strony Platformy* – mówi Flis. – *Nieuprzejmie byłoby oznajmić Nowoczesnej i Inicjatywie Polskiej, że są martwymi organizmami bez większego znaczenia, lepiej powiedzieć: słuchajcie, przyłączcie się do nas, jak nie będziecie bardzo podskakiwać, będziecie traktowani z szacunkiem jak nasi szeregowi posłowie z tylnych rzędów, a może nawet w wyborach załapiecie się na kilka jedynek.*

Kontynuując przenośnię prof. Flisa, trzeba podkreślić, że pacjenci polityczni, objęci opieką przez „doktora Tuska", czują się dobrze, a i cała konwencja KO przebiegała w zaskakująco dobrej atmosferze, zwłaszcza kiedy się ma w pamięci całkiem niedawne wisielcze nastroje w drugą rocznicę wyborów 15 października. W skuteczności tej zbiorowej psychoterapii na pewno pomogły ostatnie sondaże.

Sondaże, ach sondaże

Pytani publicznie politycy zawsze powiedzą, że nie zwracają uwagi na sondaże, ponieważ – ten banał słyszeliśmy już wszyscy po kilkaset razy – najważniejszym sondażem są wybory. To oczywiście bujda na resorach: na badania poparcia zwracają uwagę wszyscy, tworzą analizy, rosnące i spadające słupki potrafią być rozsadnikiem partyjnej euforii lub depresji.

A ostatnie dni przed konwencją przyniosły pod tym względem dobre informacje dla Koalicji Obywatelskiej. Ukazały się wtedy trzy sondaże i wszystkie dawały jej wyraźne prowadzenie nad PiS: 2,6 pkt proc. w badaniu Pollstera, 3,1 pkt proc. w CBOS i aż 8,3 pkt proc. w badaniu OGB. PiS wszedł za to w wyraźną stagnację, z trudem doskakując do granicy 30 proc. „Niektórzy z was pamiętają, że lata temu Platforma miała 12 proc., a ja powiedziałem: będzie 40. Było 42. Dziś mamy 35 proc., więc nikt nie ma prawa do zwątpienia i pesymizmu" – mówił Donald Tusk.

Kłopot w tym, że w żadnym z powyższych sondaży koalicja rządowa w obecnym kształcie nie ma najmniejszych szans na zachowanie większości: we wszystkich badaniach Polska 2050 i PSL znajdują się głęboko pod progiem wyborczym, a Nowa Lewica balansuje na jego granicy. I tak dochodzimy do widma, które od kilku lat krąży nad polską polityką: widma tzw. jednej listy. Pracownia OGB zrobiła nawet badanie, w którym hipotetyczna jedna lista koalicji rządowej uzyskuje prawie 47 proc. poparcia i utrzymuje sejmową większość. Ale z takimi sondażami jest zawsze taki kłopot, że trudno zmierzyć poparcie dla czegoś, co nie istnieje.

Litości nie będzie

Jednak można zaryzykować tezę, że jedna lista rządowa ma więcej sensu niż jedna lista opozycji, która była w grze przed wyborami w 2023 r. Strategiczny cel opozycji polegał na atakowaniu władzy PiS z różnych pozycji, analogiczny cel obozu rządowego polega na spójnej, dużej, dominującej w sondażach sile.

O tym, czy rzeczywiście Tusk postawił sobie za cel doprowadzenie do jednej listy przed wyborami w 2027 r., będziemy mogli powiedzieć więcej dopiero w nadchodzących miesiącach. Istotne też będzie, kto po Szymonie Hołowni zostanie liderem Polski 2050 i czy sondaże skłonią partię Razem do przychylniejszego spojrzenia na ewentualny sojusz wyborczy z Nową Lewicą. Ale pozostaje faktem, że przez aneksję Nowoczesnej oraz Inicjatywy Polskiej szef rządu właśnie oczyścił sobie przedpole przed ewentualnymi rozmowami dotyczącymi szerokiej koalicji: łatwiej negocjować kształt list kandydatów na posłów między czterema, a nie sześcioma partiami. Koalicja Obywatelska jako jedna zwarta formacja zyskuje zaś jeszcze bardziej hegemoniczną pozycję.

„W polityce dla słabych nie ma litości" – mówił podczas konwencji Tusk i można być pewnym, że to zdanie będzie jego mottem przez dwa lata, które zostały do wyborów.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 11d96193c5

Kręta ścieżka

Konwencja PiS w Katowicach okazała się z pewnych względów ciekawsza, niż można się było spodziewać. Co nie znaczy, że się udała. A Jarosław Kaczyński musi się dostosować do nowych, trudniejszych realiów na prawicy.

WOJCIECH SZACKI



W teorii pomysł dwudniowej konwencji programowej formacji walczącej o władzę jest sensowny. Partia może pokazać, że jest żywa intelektualnie, że przyciąga ciekawych ekspertów i ma pomysły, które można przekuć w projekty ustaw. Taki sygnał płynie do opinii publicznej.

Działacze dostają nieco dyskretniejszy komunikat: przegnamy rządzących, a wy wrócicie: do ministerstw, zarządów, rad nadzorczych, mediów publicznych, grantów i dotacji. To taka zbiorowa sesja terapeutyczna.

Biznes prywatny, lobbyści, piarowcy słyszą: warto się do nas zbliżyć, bo wkrótce znów będziemy rządzili. PiS na tym szczególnym polu nie ma silnej konkurencji. Koalicja Obywatelska przez długie lata sceptycznie podchodziła do idei, że partia powinna mieć program wyborczy, a pozostałe ugrupowania nie dysponują wystarczającymi zasobami, by podobną imprezę zorganizować.

W Międzynarodowym Centrum Konferencyjnym było 130 debat, kilkuset panelistów i parę tysięcy widzów. Wynajęcie MCK, oświetlenie, nagłośnienie, transmisje internetowe, catering, ochrona, wydanie książki – to jest minimum kilkaset tysięcy złotych, a mogło wyjść w okolicach miliona. I to nie były najlepiej wydane pieniądze w historii PiS.

Po pierwsze, Jarosława Kaczyńskiego zawiodło wyczucie czasu. Pomysł konwencji pojawił się parę miesięcy temu; wówczas mogło się wydawać, że zwycięstwo Karola Nawrockiego da PiS rozpęd, że jesienią obóz rządowy będzie w ciężkim kryzysie, a może nawet zamajaczą jakieś przyspieszone wybory. Nic z tych rzeczy – i to się dało wyczuć w salach i korytarzach MCK. Brakowało emocji.

Po drugie, PiS nie wykorzystał katowickiej konwencji, by sprzedać opinii publicznej dwa–trzy jasne postulaty. Czy PiS chce waloryzować co roku 800 plus? Czy chce dawać bon mieszkaniowy na 100 tys. zł dla par z trojgiem dzieci? A dochód podstawowy 500 zł dla każdego Polaka? To wszystko koncepcje poszczególnych panelistów, ale nie było jasnego komunikatu, że to cele ugrupowania.

Nie bardzo wiadomo, co właściwie Kaczyński chciał przekazać Polakom, poza tym, że rząd Donalda Tuska jest zły, Niemcy i Francuzi chcą zabrać nam państwo (a Amerykanie nie, choć bywają trudni), no i trzeba łożyć na bezpieczeństwo, uprościć podatki i zreformować ochronę zdrowia.

Zebrane w formie książki materiały konferencyjne to ponad 500 stron tekstów napisanych przez panelistów – polityków PiS oraz zaprzyjaźnionych z partią ▶

© ARTSERVICE/PAP

eprasa.pl 11d96193c5

▶ ekspertów i publicystów. Na okładce widnieje logo PiS, ale książka nie stanowi partyjnego programu – ten ma dopiero powstać. Trudno więc powiedzieć, co to właściwie jest, które koncepcje mają błogosławieństwo kierownictwa, a które nie. W kuluarach można było zresztą usłyszeć właśnie takie narzekania, a Kaczyński ze sceny udzielił delikatnej reprymendy Piotrowi Glińskiemu, który konwencję przygotowywał.

Frakcyjność
to największa zbrodnia

Impreza była jednak z pewnych względów ciekawa. Trochę senna atmosfera i liczne panele o gospodarce, finansach, programach socjalnych, demografii, mieszkalnictwie – było tam zresztą sporo sensownych wystąpień – to jedno. Ale obok tej bazy była też twarda pisowska nadbudowa. Kolejne rządy obozu Kaczyńskiego mają być jeszcze twardsze, bardziej konsekwentne, już zupełnie bez hamulców.

Z licznych wystąpień wynikało, że Unia Europejska niesie zagrożenie dla naszego bytu narodowego, że to nowa odmiana totalitaryzmu, że już jest bardzo źle, a reforma traktatów ostatecznie zabierze nam suwerenność. Dobrej odpowiedzi na to PiS nie ma, poza nadzieją, że w państwach Unii zatriumfuje w końcu pisopodobna prawica i wtedy będzie można cofnąć integrację.

PiS pragnie też w końcu zabrać się za media. Te publiczne – ponownie pod kontrolą Rady Mediów Narodowych – mają stworzyć Narodowy Holding Mediów Publicznych. Miałby też powstać fundusz misji publicznej, który dawałby pieniądze na działalność także mediom komercyjnym – pomysłodawcom chodzi o to, by za rządów PiS strumień dotacji płynął także do prawicowych mediów typu TV Republika. Jednocześnie PiS chciałby uderzyć w media liberalne – wracają idee polonizacji i dekoncentracji. Przy okazji dostało się Andrzejowi Dudzie za weto do lex TVN.

Były minister edukacji Przemysław Czarnek po dość dziwnym wywodzie o tym, że Włosi nie śmieją się z Włochów i we Włoszech nie wystawia się antywłoskich sztuk, powiedział: „Przestańmy się bawić w niczym nieograniczoną wolność. Także w sferze mediów. Nie oglądajmy się na tak zwane prawo unijne. Trzeba przyjąć ustawę, która zakaże naśmiewania się z Polski". Michał Woś – sam z zarzutami karnymi – wezwał do usunięcia z zawodu sędziów, którzy „wspierali demokrację walczącą".

Padły wreszcie pomysły zmiany konstytucji i wprowadzenia ustroju prezydenckiego, tak żeby był jeden prawdziwy narodowy przywódca; polskim Donaldem Trumpem miałby zostać oczywiście Nawrocki.

Katowicka konwencja pokazała wreszcie, że PiS nie wyciągnął lekcji z porażki w 2023 r. Jacek Kurski, były szef TVP, wprost powiedział, że jak on kierował telewizją publiczną, to PiS wygrywał (swoją drogą, trudno o lepszą definicję propagandzisty). Tymczasem Kurski i to, co zrobił z TVP, to był jeden z powodów rekordowej frekwencji przed dwoma laty. Oddawanie mu sceny w 2025 r. to ze strony PiS umysłowa ekstrawagancja – co nawet prawicowy elektorat myśli o Kurskim, pokazał jego nędzny wynik w zeszłorocznych eurowyborach.

Dość zabawnie brzmiało też wystąpienie Mariusza Błaszczaka, który po sześciu latach w roli ministra obrony opowiadał, co powinno się zmienić w tym resorcie.

Występy Kurskiego, Błaszczaka, ale też Antoniego Macierewicza czy Julii Przyłębskiej pokazują, że PiS wciąż tkwi w swojej bańce i mówi tylko do swoich wiernych, wieloletnich fanów. Do Katowic przyjechali głównie mężczyźni w wieku okołosenioralnym. Młodych była garstka.

Jesień 2025 r. to dla PiS niebezpieczna pora. Euforia po zwycięstwie Nawrockiego się skończyła. Notowania nie chcą rosnąć, partii zdarza się lądować poniżej 30 proc. i coraz częściej daje się wyprzedzać KO. Początek ofensywy – zapowiadany od wakacji wiec przeciwko nielegalnej imigracji – okazał się niewypałem. Demonstracji z 11 października nikt by dziś nie pamiętał – mało kto zresztą się na nią pofatygował – gdyby nie trochę straszny, a trochę głupawy występ Roberta Bąkiewicza, który wśród papierowych kos pokrzykiwał coś o wyrywaniu chwastów i potrzebie użycia napalmu w drodze na Grunwald. A walkę PiS z imigrantami wykpił nie tylko Tusk, lecz i Konfederacja.

Drugą obok Bąkiewicza twarzą PiS w okolicach półmetka kadencji był zaś Łukasz Mejza, który gnał 200 km na godzinę po drodze ekspresowej (ewidentnie potraktował tę nazwę zbyt dosłownie) i po złapaniu przez policję odmówił przyjęcia mandatu, zasłaniając się poselską legitymacją.

Nieudana konwencja w Katowicach, Bąkiewicz i Mejza to jednak tylko objawy większego kryzysu. Podmywane są same fundamenty podtrzymujące władzę Kaczyńskiego nad prawicą. Konstrukcja jeszcze nie runęła, prezes wciąż ma mocną pozycję i narzędzia, by ją zachować, ale być może nieodwracalnie zmienia się świat, który Kaczyński przez lata kształtował i w którym nauczył się żyć.

Prezes PiS ma za sobą krętą drogę; zmieniał poglądy, sojusze, wycofywał się z solennych deklaracji, składał fałszywe obietnice, wyrzucał ludzi i ich przywracał, w zależności od potrzeb zakładał różne maski i grał różne melodie. Były jednak pewne stałe. Kaczyński konsekwentnie dążył do tego, by PiS był monolitem, by nikt inny w jego obozie nie miał niezależnej pozycji oraz by nic nie wyrosło na prawo od jego partii („na prawo od PiS tylko ściana").

Prezes powtarzał więc za Stalinem, że frakcyjność to największa zbrodnia. Przez lata różnice poglądów kończyły się rozłamem (a potem uwiądem rozłamowców). To były losy Marka Jurka, Ludwika Dorna czy straceńców z PJN i Solidarnej Polski. Kaczyńskiemu nie przeszkadzały animozje w PiS, bawił się konfliktami, w których grał rolę superarbitra i wywyższał jednych, a poniżał drugich – a potem na odwrót. Przynajmniej tak długo, jak koterie te nie rościły sobie prawa do podejmowania kluczowych decyzji. Przez osiem lat rządów Kaczyńskiego istniały jedynie frakcje w formie satelickich partii Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina, tworzących z PiS tzw. Zjednoczoną Prawicę.

Prezes
zgubił swój pierścień władzy

Kaczyński był też długo jedynym podmiotowym politykiem PiS. Żaden premier – od zapomnianego Kazimierza Marcinkiewicza, przez Beatę Szydło, po Mateusza Morawieckiego – nie wyrósł na konkurenta prezesa. Marcinkiewicz i Szydło zostali szybko wymienieni, a Morawiecki jako szef rządu zawsze powtarzał, że podporządkuje się „kierownictwu politycznemu". Niezależnej pozycji nie wywalczył sobie też Andrzej Duda jako prezydent. Gdy tylko zaczął się odklejać od macierzystej partii, spotkały go drwiny; ani przez chwilę nie był zagrożeniem dla Kaczyńskiego jako przywódcy obozu.

eprasa.pl 11d96193c5

I wreszcie ta słynna „ściana". Kaczyński odbierał tlen prawicowym i populistycznym konkurentom. Dawno temu – LPR i Samoobronie, potem formacji Pawła Kukiza i różnym mniejszym ugrupowaniom. Konfederacja dwukrotnie weszła do Sejmu, ale za każdym razem ze słabym wynikiem, bez znaczenia dla układu sił w parlamencie. Te sukcesy PiS w walce o dominację na prawicy nie pozostały jednak bez konsekwencji – partia Kaczyńskiego robi się coraz bardziej nacjonalistyczna, antyunijna, radykalna w retoryce; na końcu tego marszu jest prezes wychwalający zalety pana Bąkiewicza.

Ta latami budowana konstrukcja w ciągu ostatnich kilku miesięcy się zachwiała. Prezes zgubił swój pierścień władzy.

Po pierwsze – w PiS wyrosły frakcje; Morawiecki jasno deklaruje, że chce być premierem, a jego wrogowie – byli ziobryści, Jacek Sasin, Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński czy Elżbieta Witek – domagają się, by szefem rządu został ktoś z ich grona. To już jest przedsmak wojny o sukcesję w PiS, choć żadna ze stron nie chce jeszcze tego tak nazwać.

Po drugie – Nawrocki. Prezydent jest od Kaczyńskiego 34 lata młodszy, popularniejszy, nieobciążony wprost rządami PiS, nie ma za sobą partyjnego bagażu i lubią go wyborcy całej prawicy. Ma też większą realną władzę od lidera opozycyjnej partii, bo może samodzielnie blokować rządową legislację. Nawrocki ma zadatki, by stać się przywódcą prawicy, choć wciąż jeszcze nie wiadomo, czy ma wystarczające polityczne kwalifikacje. Może pozostać sojusznikiem Kaczyńskiego, mają w końcu wspólnego wroga w Tusku, ale prezydent – jak się zdaje – nie chce być po prostu podwładnym prezesa.

Sondaże pokazują z kolei, że zasada „na prawo od nas tylko ściana" też już nie obowiązuje. Bo na prawo od PiS zęby szczerzy nie tylko Konfederacja, lecz także Korona Grzegorza Brauna. Skrajna antysemicka i prorosyjska partia regularnie przekracza próg wyborczy, a w październikowym badaniu CBOS doszła do 9,4 proc. W tym sondażu łączne notowania Konfederacji i Korony to ponad 20 proc.; PiS ma zaś raptem 23,6 proc. W innych pracowniach badań opinii publicznej wygląda to (jeszcze?) trochę korzystniej dla Kaczyńskiego, ale skrajna prawica od wyborów prezydenckich trzyma się mocno i często dobija do 18–20 proc., podczas gdy PiS ma ok. 30 proc. Co więcej – i co gorsza dla Kaczyńskiego – zarówno Konfederacja, jak i Korona przyjmują wobec PiS postawę wrogą, a na TikToku, X i Facebooku trwa regularna wojna na prawicy. Konfederaci i brauniści ręka w rękę atakują pisowców za hipokryzję, oskarżając ich o socjalizm, miękkość wobec UE, uleganie lobby szczepionkowemu czy wspieranie Ukrainy. Gdy PiS dyskutował w Katowicach, Sławomir Mentzen pisał na X: „Coroczna waloryzacja 800+, bony mieszkaniowe na 100 tys. zł za trzecie dziecko, dochód podstawowy 500 zł dla każdego, czterodniowy tydzień pracy dla seniorów, gwarancja wkładu własnego i wiele innych podobnych pomysłów znajduje się w pokazanym dziś socjalistycznym programie PiS. I jeszcze ktoś się dziwi, że nie chcę mieć nic wspólnego z tym planem ostatecznego zrujnowania naszego państwa?".

Badacz internetu Michał Fedorowicz szacuje, że ok. 80 proc. internetowych zasobów Konfederacji idzie na walkę z PiS, a tylko 20 proc. na krytykę rządu. To niewątpliwie nowość w historii prawicy – Konfederacja i Braun chcą się wybić na niepodległość, zyskać podmiotowość i podgryźć dotychczasowego hegemona.

Dlaczego PiS nie urósł na Nawrockim

Sukcesy Konfederacji i Korony – już po wygranej Nawrockiego – każą zaś zadać pytanie: dlaczego PiS nie dostał bonusu po zwycięstwie swego kandydata? Najprostsza odpowiedź brzmi: nowi wyborcy nie mieli skąd przyjść. Przepływy z obozu rządowego są raczej wykluczone, a zwolennicy Mentzena i Brauna (razem ponad 20 proc. głosujących), mimo że w większości poparli Nawrockiego w drugiej turze, pozostali fanami Konfederacji i Korony. Ta pierwsza partia zbiera elektorat młody, antysystemowy, liberalny gospodarczo, mający pretensje do wszystkich poprzednich rządów. Z kolei Korona celuje w tradycjonalistycznych, trochę starszych wyborców o poglądach antysemickich i antyunijnych, ludzi podatnych na teorie spiskowe.

– *W moim mieście młodzi ludzie wieczorami idą na kebab i piwo, nie mają wielelepszych opcji. Niewiele wiedzą o polityce, ale odrzucają wszystkich rządzących, nie czyniąc różnicy między PiS a PO. Jesteśmy dla nich establishmentem, a my nie mamy im wiele do zaoferowania, mówimy językiem, który do nich nie trafia* – ocenia pochodzący ze wschodniej Polski uczestnik katowickiej konwencji PiS.

Kaczyński nie ma wiele narzędzi, żeby odwojować elektorat Mentzena i Brauna. Samo eksponowanie Bąkiewicza i Czarnka nie wystarczy. PiS nie umie mówić do młodych; przestawienie zwrotnicy byłoby zresztą ryzykowne, bo groziłoby utratą bazy, czyli kilku milionów starszych wyborców trwających przy Kaczyńskim. Podział prawicy ma bardzo pokoleniowy charakter. Co gorsza dla Kaczyńskiego, przez najbliższe dwa lata na rynek wyborczy wejdzie ponad 500 tys. wyborców, z których zdecydowana większość będzie poza zasięgiem PiS, a znaczny odsetek zasili Konfederację. Jednocześnie z przyczyn naturalnych odejdzie część zwolenników starej prawicy. To nie będzie rewolucja, ale 2–3 pkt proc. (o których tu mówimy) wpłyną na balans sił na prawicy.

Oficjalnie Kaczyński wciąż mówi, że dąży do samodzielnej większości. Drogę do tego – jak tłumaczy jeden z pisowskich strategów – miałoby otworzyć obniżenie frekwencji wyborczej poprzez demobilizację elektoratu obozu rządzącego. PiS nie musiałby wtedy zdobyć wielu nowych wyborców; w 2015 r. partię wyniosły do władzy głosy zaledwie 5,7 mln osób (podobny wynik miał Nawrocki w pierwszej turze).

Tyle że w PiS mało który poseł wierzy w taki scenariusz. Panuje raczej przekonanie, że jeśli w ogóle jest szansa na powrót do władzy, to tylko z koalicjantem lub koalicjantami. Najczęściej mówi się o Konfederacji (w wersji huraoptymistycznej – tylko z narodowcami Krzysztofa Bosaka), ale nasi rozmówcy nie wykluczają też trójczłonowego sojuszu PiS–Konfederacja–Korona. A perspektywa takiej koalicji z udziałem partii antysemickiej, prorosyjskiej i optującej za polexitem mogłaby wspaniale mobilizować elektorat nieprawicowy, nawet jeśli nie miałby już wielkiego przekonania do Tuska. Niektórzy politycy PiS – ci bliżsi Morawieckiemu – zdają sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa; oni z kolei kreślą scenariusz, w którym powstaje partia umiarkowanie prawicowa i zarazem liberalna gospodarczo; byłoby to powtórzenie historii z Trzecią Drogą, tylko tym razem z korzyścią dla PiS.

Powrotna droga Kaczyńskiego do władzy, która po zwycięstwie Nawrockiego przez chwilę wydawała się niemal autostradą, teraz znów wygląda raczej jak kręta ścieżka przez mokradła.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 11d96193c5

Wicekierownik

Jest politykiem, sam to dziś przyznaje. Ale do polityki Maciej Berek wszedł z administracji, która go ukształtowała i mocno w nim tkwi. Został superministrem i prawą ręką premiera.

ANNA DĄBROWSKA, JOANNA SAWICKA



eprasa.pl 11d96193c5

Premier Donald Tusk mówił o nim jakiś czas temu, że jest „jednym z najbardziej kompetentnych ludzi w rządzie, jakich w ogóle w życiu spotkał". Minęły właśnie dwa miesiące, odkąd Maciej Berek dostał od premiera funkcję o nietypowej nazwie: „ministra nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu". O potrzebie istnienia takiego superministra sam mówił, kiedy jeszcze rządziło Prawo i Sprawiedliwość: „Jestem w stanie wyobrazić sobie osobę z prawem do decydowania o tym, co puszcza dalej, a czego nie, i które projekty idą jakim trybem. To wymagałoby bardzo silnej pozycji politycznej, bo klub sejmowy jest samodzielny, posłowie sprawują wolny mandat, ale musi być jakiś »kierownik procesu legislacyjnego«" („Dziennik Gazeta Prawna", luty 2023 r.). Dopytywany o to, kto mógłby nim być, dodawał: „Może powinien to być urzędnik, który jest bardziej polityczny i przychodzi i odchodzi razem z ekipą? Czy może polityk, który czerpie wiedzę z urzędów, które z nim kooperują? To jest do przemyślenia".



© ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Gen państwowca

Wygląda na to, że przemyślał sprawę i dlatego już pod koniec rządów PiS wrócił do współpracy z Donaldem Tuskiem. Znają się z Gdańska, skąd obaj pochodzą. Premier jest o 15 lat starszy. Przy jakiej okazji się poznali? W tej kwestii się spierają. Według Berka – gdzieś na początku lat 90. w Gdańsku, w Fundacji Integracji Europejskiej. Tusk, który zwykł wszystko pamiętać, uważa, że później, choć też w latach 90. i w Gdańsku. Pod koniec tych lat pracowali już razem w Senacie – Tusk jako wicemarszałek, a Berek, absolwent prawa na Uniwersytecie Gdańskim, jako zastępca dyrektora Biura Prawno-Organizacyjnego.

Młody prawnik w 1997 r. trafił do Senatu w drodze rekrutacji, odpowiedziawszy na ogłoszenie w „Rzeczpospolitej". Polska szykowała się do akcesji do Unii Europejskiej i Kancelaria Senatu miała w związku z tym pełne ręce roboty. Berek w rozmowie z POLITYKĄ zaznacza, że szacunek do służby państwowej wyniósł z domu. Mama pracowała w służbie zdrowia, tata był ekonomistą, najpierw w spółdzielczości, a w drugiej połowie życia zawodowego – na średnim szczeblu kierowniczym w jednym z urzędów w Trójmieście. – *Obserwowałem to z bliska. To tata mi pokazał, że można pracować w sferze publicznej, dla państwa, i odnajdywać w tym jakąś radość, mieć poczucie spełnienia.*

W 2004 r. Maciej Berek trafił do Najwyższej Izby Kontroli, gdzie pracował jako wicedyrektor w Departamencie Prawnym i Orzecznictwa Kontrolnego. W NIK poznał Mariusza Haładyja, od miesiąca obecnego prezesa NIK. Jak można usłyszeć w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, to Berek wymyślił Haładyja na nowego prezesa Izby. – *O nich dwóch najczęściej mówi się w rządzie, że to prawdziwi państwowcy. Chcą realnie i konkretnie wpływać na rzeczywistość i dlatego nie startują w wyborach do Sejmu, bo wiedzą, że posłowie stają się trybikami w maszynce do głosowania* – mówi jeden z wiceministrów. Berek raz w 2005 r., jako bezpartyjny, za namową Tuska startował z listy Platformy Obywatelskiej do Sejmu. Wtedy się nie dostał i już nie próbował. Dziś pytany o swój największy sukces zawodowy mówi: – *To miejsce, do którego udało mi się dojść wyłącznie moją pracą, bo nie stoją za mną żadne rodzinne tradycje prawnicze.*

Ze swoich poglądów raczej się nie zwierza. Przez cały okres poprzedniego rządu PO-PSL był szefem Rządowego Centrum Legislacji. Do jego głównych zadań należało techniczne i merytoryczne nadzorowanie prac legislacyjnych rządu i przygotowywanie posiedzeń gabinetu. W drugiej kadencji za jego sprawą wdrożono reformę całego procesu stanowienia prawa. Zanim jakiś minister stworzył ustawę, musiał przedstawiać jej założenia do akceptacji szefowi RCL, co nieraz skutkowało konfliktami. W KPRM blisko współpracował z jej szefem Jackiem Cichockim i tę współpracę kontynuuje w obecnej kadencji, z Cichockim już jako szefem Kancelarii Sejmu.

Poczucie sprawczości

Kiedy PiS w 2015 r. przejął władzę, Berek mocniej zaangażował się w pracę naukową. U konstytucjonalisty i sędziego Trybunału Konstytucyjnego prof. Marka Zubika obronił pracę doktorską „Rada Ministrów jako organ inicjujący postępowanie ustawodawcze". Pracował jako adiunkt na UMCS w Lublinie i na Uniwersytecie Warszawskim. Później, gdy ówczesna opozycja w 2019 r. odzyskała władzę w izbie wyższej, został dyrektorem Centrum Informacyjnego Senatu. Po roku odszedł, bo jak ujawnił w 2024 r. (przesłuchiwany jako świadek przed sądem w sprawie mobbingu, którego ofiarą miał paść jeden z pracowników Kancelarii Senatu), on także nie chciał dłużej wytrzymywać złej atmosfery pracy. W 2021 r. do współpracy zaprosił go rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek, były podwładny z RCL. Wiącek w rozmowie z POLITYKĄ podkreśla, że Berek – jako dyrektor generalny biura – sprawnie przeprowadził wielką inwestycję: remont zabytkowej siedziby Rzecznika. – *A co najważniejsze, tak uporządkował funkcjonowanie biura,* ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ *że dziś możemy pracować skutecznie. On w pełni poświęca się instytucji, w której pracuje, a szefowie mogą mieć do niego bezgraniczne zaufanie i spokój, taki jaki ja miałem* – mówi Marcin Wiącek.

W 2022 r. Maciej Berek otworzył własną kancelarię radcowską. Obsługiwał Krajową Radę Diagnostów Laboratoryjnych, był głównym legislatorem Pracodawców RP i ekspertem Krajowej Rady Radców Prawnych. – *Szczycę się pracą dla tych organizacji. Współpraca z Pracodawcami RP wzmocniła moje zrozumienie perspektywy przedsibiorców jako adresatów prawa, a to bardzo pomaga mi dziś w deregulacyjnych zmaganiach* – mówi. Tutaj też poznał Rafała Brzoskę, który Berkowi – już jako ministrowi – zgłaszał propozycje deregulacji, by ten przekładał je na projekty ustaw. Sporo z nich parlament już zdążył uchwalić, a niektóre nawet doczekały się podpisu prezydenta.

Długo swojej Kancelarii nie prowadził, bo zadzwonił Tusk. – *Z jednej strony Maciej cieszył się tak po ludzku, że ma swoją kancelarię, że wreszcie zarabia większe niż na państwowym pieniądze. Ale z drugiej strony nie chciał odmówić Tuskowi, więc rzucił kancelarię* – mówi jego znajomy. Jako minister zarabia ok. 18 tys. zł brutto, ma dwa kredyty we frankach szwajcarskich (z datą końcowej spłaty za ok. 15 lat), które zaciągnął razem z żoną na zakup nieruchomości.

W KPRM po wygranych przez KO wyborach zaangażował się przede wszystkim w naprawę procesu legislacyjnego. Wprowadził jasne reguły pracy nad ustawami i zanim coś trafi na posiedzenie rządu, musi zostać przez niego doprecyzowane i zaaprobowane na posiedzeniach zespołu planowania prac rządu i stałego komitetu Rady Ministrów. Maciej Berek odpowiada też za legislację na poziomie politycznym. Uczestniczy w obradach przedstawicieli koalicji, koordynuje prace różnych resortów. Tak było m.in. w przypadku ustaw budżetowych, a ostatnio np. w przypadku ustawy „o statusie osoby najbliższej".

Bez teki, ale z władzą

Lipcowa rekonstrukcja rządu dała mu awans – pozostał na stanowisku ministra bez teki, ale stał się odpowiedzialny za wdrażanie polityki rządu. W KPRM mówi się, że jego urząd został utworzony na wzór brytyjskiego Prime Minister's Delivery Unit, a ministrowie – sfrustrowani panującym poczuciem braku sukcesów rządu – pokładają w Berku sporą nadzieję. W nowej roli wzywa on do siebie kolejnych ministrów, z którymi na parogodzinnych posiedzeniach ustala kierunek, priorytety i zakres prac w najbliższych tygodniach. Zarysowuje możliwe zagrożenia i sprawdza, gdzie konieczna jest współpraca z innymi resortami. Zapowiada też cokwartalne kontrole prac każdego ministra.

W sierpniu nakazał wszystkim ministrom sporządzić listę kilku priorytetów, czyli najistotniejszych projektów, które zamierzają dowieźć do końca kadencji. Pozbierał je, wybrał najważniejsze i przedstawił opinii publicznej. 19 września zorganizował konferencję z udziałem rzecznika rządu Adama Szłapki i opowiedział o 58 priorytetach. Na konferencji nie pojawił się premier, co złośliwi skomentowali, że dla Tuska priorytety jego własnego rządu nie są aż tak ważne. Te priorytety mają cztery filary: bezpieczeństwo, gospodarkę, cyfryzację i sprawne państwo.

– *Bardzo dobrze oceniam współpracę z ministrem* – mówi POLITYCE szef resortu energii Miłosz Motyka, który odbył już z Berkiem spotkanie programujące pracę swojego ministerstwa. –*Szczególnie pomógł nam w przygotowaniu ustaw, które miały być odpowiedzią na prezydenckie weta, gdzie liczył się czas i precyzja, np. w sprawie bonu energetycznego.*

Czy ma jakieś narzędzia kontroli pracy ministrów? – *Telefon* – odpowiada Motyka. Formalnych narzędzi skutecznego egzekwowania zadań Berek nie ma. Ale jest wystarczająco blisko premiera, żeby mieć posłuch u szefów resortów. – *Nie ma sytuacji, żebym musiał zadzwonić do premiera i mówić, że ktoś coś zawalił, ale rozmawiamy z premierem regularnie o tym, jak nam prace nad różnymi projektami przebiegają* – mówi Berek.

Nikt inny nie ma takiego rozeznania w kwestii ministerialnych projektów i związanych z nimi wyzwań i perspektyw. Widać to, kiedy już (niezbyt często) pojawia się w mediach i sypie szczegółami z rozmaitych dziedzin: od gospodarki, po bezpieczeństwo, edukację i kulturę.

Jednak według naszych źródeł miewa też bardziej polityczne zadania. – *Jest obecny na większości ważnych spotkań politycznych z udziałem premiera, gdy ten zaprasza do siebie któregoś z szefów partii. Doradza mu nie tylko w kwestiach ustaw, ale też czysto politycznie* – przekonuje nasz rozmówca. Mocno zaangażował się w sprawę rozliczeń kampanijnych wydatków PiS.

Berek mawia, że jeśli premier ma mniej problemów, to oznacza, że on dobrze wykonuje swoją robotę. Czasem bierze na siebie sprawy, w których niekoniecznie zawinił. Latem, rok temu, Tusk podpisał zgodę, aby neosędzia Sądu Najwyższego Krzysztof Wesołowski został komisarzem do przeprowadzenia wyboru prezesa Izby Cywilnej SN. Wpadka była ewidentna, Tusk wskazał winę Berka, jako że podsuwając premierowi dokument do podpisu, „nie dostrzegł jego polityczności". Mało kto w to uwierzył.

Człowiek Tuska

Na Parkowej – gdzie premier spotyka się z doradcami w nieco bardziej towarzyskiej atmosferze – Berek bywa niezbyt często. Z Tuskiem łączą go za to pasje sportowe, Berek też jeździ na nartach i też biega w Łazienkach (mieszka niedaleko stamtąd), ale nigdy w towarzystwie premiera.

Maciej Berek jest człowiekiem Tuska, dość mocno od niego zależnym, nie ma własnego politycznego zaplecza. Z ministrami utrzymuje poprawne relacje, nie wchodzi w bliższe przyjaźnie. – *Ale najbardziej po drodze mu z tymi, którzy zajmują się gospodarką: Andrzejem Domańskim, Krzysztofem Gawkowskim, Miłoszem Motyką, nieźle dogaduje się też z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz* – mówi jeden z wiceministrów. Tę ostatnią, choć wielu uważa, że jest trudna we współpracy, Berek ceni za przygotowanie merytoryczne i pracowitość.

O swoich poglądach mówi niechętnie. W kwestiach gospodarczych bliżej mu do liberalizmu, bo wierzy, że swoboda działalności gospodarczej napędza państwo. Ale uważa też, że ingerencja państwa jest potrzebna, a w niektórych obszarach ta potrzeba ostatnio szczególnie rośnie, np. w kwestii bezpieczeństwa.

Do Sejmu nie zamierza startować: – *Poświęcenie się pracy w strukturze rządowej bardziej pasuje do mojego temperamentu, daje możliwości jednoosobowego osiągania rezultatów, bardziej niż członkostwo w parlamencie.* Dodaje, że nigdy nie satysfakcjonowała go praca od ósmej do szesnastej. Nie sypia zatem wiele. – *„Trenuję" mój organizm i zacząłem schodzić poniżej sześciu godzin snu, ale wiem, że długodystansowo to niebezpieczne* – przyznaje Berek. Misja ma przecież potrwać co najmniej dwa lata, a wybory w 2027 r. będą sprawdzianem także dla ministra Berka.

ANNA DĄBROWSKA, JOANNA SAWICKA

eprasa.pl 11d96193c5

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Listopadowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 11d96193c5

Ich korpo, nasze racje

SYLWIA CZUBKOWSKA



ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

Po jednej stronie: walka z mową nienawiści i bat na samowolę big techów. Po drugiej: zarzuty o cenzurę internetu. Obie rozdzielone krajową polityką i amerykańskimi interesami. Kto tu chce dokonać zamachu na wolność słowa?

„Rząd Donalda Tuska zdecydował, że w Polsce ma obowiązywać cenzura internetu. To nie sąd, ale urzędnik podległy rządowi ma decydować, co jest prawdą, a co prawdą nie jest” – grzmiał w Sejmie Dariusz Matecki, poseł PiS. „Nadchodzi cenzura internetu” – ostrzega w sieci Konfederacja. „W praktyce mamy do czynienia z przepisami, które bardziej przypominają rozwiązania znane z państw totalitarnych niż z państwa prawa. Decyzja zapada natychmiast i wydaje ją urzędnik, a sprzeciw można złożyć w sądzie, co jest żartem wobec obywatela w związku z procesami trwającymi długie lata i kosztującymi czas i pieniądze”. Janusz Cieszyński, minister cyfryzacji za rządów Mateusza Morawieckiego, dodaje z kolei, że „decyzje o tym, co należy zdjąć z Facebooka czy X-a, ma podejmować wskazany przez Donalda Tuska Przemysław Kuna”, urzędnik NASK.

Kafka 2.0

Wszystko to są bardzo poważne zarzuty, dotyczące ważnego aspektu życia społeczno-politycznego, czyli wolności słowa w internecie. Konkretnie odnoszą się do projektu nowelizacji Ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną, autorstwa Ministerstwa Cyfryzacji. Tymi przepisami rząd chce wdrożyć w Polsce unijny akt o usługach cyfrowych. Zarzeka się, że dzięki nowemu prawu „ochrona przed nielegalnymi treściami w internecie będzie skuteczniejsza”. Co więc faktycznie nas czeka? Kolejna ACTA (już chyba 3.0), przed którą ostrzega opozycja wespół z rządem USA i big techami? Czy skuteczne przyciśnięcie platform cyfrowych – tak, by ich użytkownicy byli lepiej chronieni?

Skąd potrzeba prawa dotyczącego relacji platform z ich użytkownikami? Są przecież regulaminy, zasady społeczności

eprasa.pl 11d96193c5

i różne wewnętrzne regulacje. Tyle że ponad 20 lat od powstania Facebooka i dekadę, odkąd ByteDance uruchomiło TikToka, widać, że autoregulacje nie chronią użytkowników w zderzeniu ze znacznie silniejszymi korporacjami.

Jacek Dehnel razem z Piotrem Tarczyńskim od lat publikują książki pod pseudonimem Maryla Szymiczkowa. Jedna z tych powieści ma być niedługo wydana po ukraińsku, więc Dehnel chciał się tym dokonaniem pochwalić na Facebooku. Do wpisu dołączył okładkę nowego wydania książki. Platforma wpis zablokowała. „Zdjęcie może obejmować treści, które zachęcają do przemocy i niosą ze sobą ryzyko krzywdy fizycznej lub stanowią bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa" – taki komunikat odebrał pisarz.

Zdjęcie to obrazek kobiety w kapeluszu i sukni z lupą w dłoni. Postać stoi na tle kościoła Mariackiego. Nawet bez lupy widać, że nie ma na nim „treści zachęcających do przemocy" i to nie one stały za banem, tylko najazd antyukraińskich trolli, które masowo zgłaszały ten wpis do algorytmicznych moderatorów Mety.

Do Krzysztofa Jabłońskiego, dziennikarza TVP, trafił podobny komunikat na X. Jabłoński algorytmom podpadł wpisem: „To jest jednak bomba atomowa te ai slopy (wygenerowane w AI bezwartościowe, śmieciowe treści – przyp. red.). Firmy technologiczne ostatecznie się wypisały z tworzenia świata »dla ludzi«. Najpierw hołd lenny na inauguracji Trumpa i posypanie głowy za fact-checkerów, teraz to". Tym razem poszło o słowo „bomba". Kara ta sama – obcięcie wpisowi zasięgów.

Kolejny dziennikarz Mateusz Witczak (pisuje także do POLITYKI) również trafił pod pręgierz algorytmów. Pod koniec września na Facebooku opisywał swoje doświadczenie: „Od wczorajszego popołudnia czuję się niczym bohater powieści kafkowskiej. Kilka dni wcześniej opublikowałem post, w którym pochwaliłem się prowadzeniem zajęć na UAM-ie. Użyłem w nim kontrowersyjnego (jak się okazuje) zwrotu »osoby studenckie«, co zaowocowało zmasowanym atakiem botów i trolli na moje konto".

W zaciekłej dyskusji z komentującymi Witczak ironicznie zripostował, że czas, jaki zaoszczędzi na pisaniu „osoby studenckie" zamiast „studenci i studentki", wykorzysta na uczenie „czterolatków masturbacji". Algorytm nie wyczuł ironii, zadziałał szybko i ostro. Korporacja poinformowała Witczaka, że przez miesiąc jego posty nie będą się wyświetlać w aktualnościach, a jak się nie poprawi, to grozi mu nawet utrata konta.

– *Oczywiście, że próbowałem się od tego wyroku odwołać. Tyle że ta procedura jest koszmarem* – mówi Witczak i tłumaczy, że w teorii ma prawo odwołać się od restrykcji z poziomu platformy. Takiej opcji nie mają jednak konta, które wiele razy „naruszyły zasady" lub w przypadku których minęło 180 dni od momentu nałożenia ograniczeń. – *Mnie taka kara dotknęła po raz pierwszy, ale i tak okazało się, że ta ścieżka pozostaje dla mnie zamknięta. Powód? Bo tak.*

Kolejne kroki, jakie mógłby podjąć, to pisemne odwołania do irlandzkiej siedziby Facebooka oraz zaangażowanie jednego z kilkunastu europejskich organów ds. rozstrzygania sporów.

Z drugiej strony mamy sprawę prof. Jerzego Szaflika. Ten okulistyczny autorytet nie może się doprosić tego, by jego wizerunek był z platform usuwany. A przestępcy w kolejnych falach oszustw wykorzystują go do reklam – zrealizowanych w technologii *deep fake* – suplementu mającego przywracać wzrok. Takie problemy ma więcej uznanych lekarzy, a na oszustwach platformy internetowe zarabiają, bo za wprowadzające w błąd reklamy ktoś im płaci.

Jeszcze głośniejsza była walka Rafała Brzoski i jego żony Omeny Mensah z Metą w sprawie oszukańczych reklam wykorzystujących wizerunek Mensah. Teoretycznie wygrana, bo prezes UODO nakazał Mecie wstrzymanie wyświetlania treści reklamowych z Mensah i Brzoską, a korporacja ostatecznie wycofała się ze skargi do sądu na tę decyzję. Tyle że nie zatrzymało to procederu kradzieży wizerunków i tożsamości osób publicznych do kolejnych scamów. Co więcej, nagle okazało się, że moderacje platform, oparte na zasilanych AI algorytmach, nie są w stanie automatycznie wyłapywać takich treści i – jak zwykle – niech sobie użytkownik indywidualnie wskazuje takie przypadki.

Konstytucja dla internetu

Z jednej strony mamy więc plagę wlepianych jak popadnie banów, a z drugiej – ślepotę tych samych platform na łamanie prawa. Ich samowolnym działaniom względem użytkowników prawnicy nadali nazwę „prywatnej cenzury", a Unia Europejska zabrała się za próbę uporządkowania bałaganu.

Najpierw przyjęto rozporządzenie nazwane Aktem o usługach cyfrowych (Digital Services Act, czyli DSA). Ważne na tyle, by czasem nazywać je na wyrost „konstytucją dla internetu", ale na tyle skomplikowane, że z miejsca założono wdrażanie go etapami, z pełnym zastosowaniem od połowy lutego 2024 r.

DSA dotyczy bardzo dużych platform cyfrowych (z ang. VLOP, czyli Very Large Online Platforms), docierających do co najmniej 45 mln użytkowników w Unii. A reguluje dwa wyzwania: nielegalne treści, takie jak nawoływanie do przemocy i mowa nienawiści, oraz sprzedaż nielegalnych dóbr i usług. Szczególnie gdy ich sprzedaż wspierają reklamy internetowe. Skoro te platformy (nie tylko społecznościowe, bo także handlowe, jak chińskie Temu czy Shein) są tak wielkie, to i ryzyko rozpowszechniania za ich pośrednictwem na masową skalę szkodliwych treści jest wysokie.

Dlatego też Unia uznała, że to big techy mają ponosić większą odpowiedzialność za moderację treści oraz zapewnić przejrzystość stosowania algorytmów i reklam internetowych. – *A to oznacza choćby obowiązek skuteczniejszego usuwania nielegalnych treści i większą ochronę praw użytkowników. Jednocześnie DSA wprowadza rozwiązania, które mają ograniczyć nadmiarowe, nieuzasadnione blokowanie przez platformy* – tłumaczy Dorota Głowacka, prawniczka w Fundacji Panoptykon, gdzie zajmuje się zagadnieniami związanymi z ochroną praw człowieka w kontekście nowych technologii, w szczególności kwestią regulacji platform internetowych.

Tyle mówią ogólne przepisy. Ale – jak to z regulacjami unijnymi bywa – i tak kluczowe jest ich krajowe wdrażanie. Więc gdy prace nad DSA trwały w Brukseli, interesowały co najwyżej prawników i obserwatorów świata technologii. I dopiero gdy za przepisy zabrał się polski rząd, zaczęła się burza.

Cenzura ustawy

Gabinet Mateusza Morawieckiego nawet nie kiwnął palcem w kwestii implementacji tego aktu. Raz, że to regulacja unijna, a te z założenia nie miały pierwszeństwa w pracach rządu PiS. Dwa – dotykała big techów, a z nimi ekipa Morawieckiego miała bardzo ciepłe relacje.

Rząd Donalda Tuska zabrał się do implementacji, ale już na starcie był spóźniony i bez szans, by dotrzymać terminu lutego 2024 r. W pośpiechu, na początku 2025 r., przedstawił plan wdrożenia unijnych regulacji. – *Co nie tłumaczy Ministerstwa* ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ *Cyfryzacji z tego, jak wadliwe przepisy przygotowało w tym pierwszym rozdaniu* – podkreśla dr Iga Małobęcka-Szwast, radczyni prawna oraz ekspertka w dziedzinie prawa nowych technologii.

Te wadliwe przepisy to była nowelizacja wspomnianej Ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną. – *Początkowo mechanizmem rozstrzygania sporów o to, czy jakaś treść powinna, czy nie powinna zostać usunięta z platformy była szybka ścieżka sądowa. Większość takich decyzji, czy to dotyczących skargi na zablokowanie, czy wręcz przeciwnie – wniosku o usunięcie, miała być podejmowana przez sądy powszechne. Bardzo szybko okazało się jednak, że w praktyce takie rozwiązanie w Polsce nie jest możliwe. Powód: niewydolny system sądowy* – wyjaśnia kulisy prac legislacyjnych Głowacka. Ministerstwo Sprawiedliwości w swojej opinii jasno wyłożyło sprawę: nie ma szans na szybkie sądy. Reakcją resortu cyfryzacji była nowa wersja nowelizacji.

Już po konsultacjach społecznych do projektu dopisano nowy pakiet przepisów. A w nim: zamiast szybkiej ścieżki sądowej szybka ścieżka urzędowa. Rozstrzyganie sporów miało należeć do Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Do niego miały kierować nakazy usuwania treści policja, usługobiorca lub „zaufany podmiot sygnalizujący". Zgłaszać można było także treści naruszające prawo własności intelektualnej, czyli prawo autorskie i dóbr osobistych. – *Właśnie ten rozbuchany katalog nielegalnych treści był naprawdę i kontrowersyjny, i potencjalnie niebezpieczny. Wynikało z niego, że gdyby jakiś polityk poczuł się urażony ostrą krytyką na platformach, to mógłby się poskarżyć, co byłoby podstawą do nakazu wydawanego przez UKE* – tłumaczy Małobęcka-Szwast.

> Wraz z powrotem Trumpa nastąpił potężny zwrot w układzie sił i we wzmocnieniu amerykańskich cyfrowych korporacji.

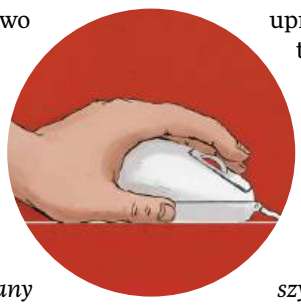

Skąd się wziął w tym wszystkim Urząd Komunikacji Elektronicznej, czyli regulator rynku telekomunikacyjnego? To DSA nakazało, by każdy kraj wskazał swojego Koordynatora ds. Usług Cyfrowych, który miałby się zająć wdrożeniem DSA, negocjacjami z platformami i dbaniem o interes użytkowników.

W Polsce urzędy bynajmniej nie ścigały się o ten zaszczyt. – *Nic dziwnego: dużo dodatkowych, trudnych zadań i niekoniecznie odpowiednie na to środki – tak ludzkie, jak i finansowe* – rozkłada ręce Małobęcka-Szwast. Także ówczesny prezes UKE Jacek Oko nie wydawał się zachwycony nowymi zadaniami. Tym bardziej że miały być bardzo szerokie: to UKE miało oceniać, co jest na platformach cyfrowych legalne, a co nie. Owszem, od jego decyzji można się było odwoływać do sądu administracyjnego, ale odwołanie nie oznaczało wstrzymania nakazu. Co więcej, nie przewidziano żadnego informowania autora wpisu o tym, że takie decyzje zapadają, nie zapewniono też ludziom prawa do wysłuchania.

Wniosek, jaki wyciągnięto z tych przepisów, był druzgocący: oto rząd przygotował szybką ścieżkę urzędowej cenzury. I to nie był wniosek tylko opozycji czy korporacji technologicznych. Te przepisy jako pierwsza nagłośniła Fundacja Panoptykon, która od lat broni praw obywateli w świecie wielkich technologii. Jej ekspertki gorzko pisały: „W efekcie zamiast arbitralnej decyzji platformy możemy mieć arbitralną decyzję urzędnika lub urzędniczki. Nie o taki nadzór nad platformami walczyliśmy".

I choćby Ministerstwo Cyfryzacji, na czele z wicepremierem Krzysztofem Gawkowskim, tłumaczyło się, że każde państwo wdrażające DSA musi wskazać jakiś urząd/instytucję na koordynatora nowych przepisów, że decyzje UKE aż takie ekspresowe nie będą (bo mogą być wydawane nawet w ciągu 21 dni i jest przewidziane odwołanie do sądu), to mało kogo to przekonywało. Przeciwnie – awantura rozlewała się coraz szerzej. A że zbliżały się wybory prezydenckie, premier Tusk wdrożenie DSA, generujące tak silne kontrowersje, kazał schować.

Lepsza zmiana

Po wyborach prezydenckich DSA wróciło. W nowej, poprawionej przez resort cyfryzacji wersji. Wciąż to UKE ma być koordynatorem, wciąż chodzi o kontrolę nad tym, jak i co platformy usuwają lub nie usuwają, ale przepisy dopracowano. Dodatkowo to prezes KRRiT ma nadzorować treści na platformach wideo oraz rozpatrywać wnioski o blokowanie nielegalnych treści w tym obszarze. A UOKiK – jako instytucja chroniąca konsumentów – ma odpowiadać za platformy handlowe. Nowe uprawnienia w zakresie wnioskowania o blokowanie treści mogą być przyznane m.in. prokuraturze, policji, KAS (Krajowa Administracja Skarbowa), Straży Granicznej i certyfikowanym „zaufanym podmiotom sygnalizującym".

– *Przede wszystkim znacząco ograniczono rodzaje spraw, w których prezes UKE i prezes KRRiT będą mogli wydawać szybkie nakazy usunięcia treści z sieci, do wąskiej grupy jasno określonych, najpoważniejszych przestępstw* – podkreśla dr Małobęcka-Szwast. Najpoważniejszych, czyli gróźb, oszustw, propagowania pedofilii, tzw. *porn revenge* (zemsty pornograficznej) czy nawoływania do nienawiści o charakterze dyskryminacyjnym. – *Nie ma za to już zniesławienia czy ochrony dóbr osobistych, które generowały największe ryzyko* – dodaje prawniczka.

Nie ma też w tym katalogu blokowania „dezinformacji" jako takiej, co mogłoby wzbudzać obawy ze względu na nieostry zakres tego pojęcia. – *DSA przede wszystkim koncentruje się na walce z nielegalnymi treściami, więc taka dezinformacja, która stanowi np. zwykłą teorię spiskową, w ogóle pod te przepisy nie podpada. Jeżeli chodzi w ogóle o walkę z dezinformacją, to narzędzia, które to prawo wprowadza, są znacznie bardziej ograniczone i mniej bezpośrednie* – tłumaczy Głowacka. I dodaje, że nowe przepisy to kompromis: – *Prezes UKE nie będzie mógł decydować o usunięciu każdej bezprawnej treści, która może być szkodliwa. Jego kompetencje będą ograniczone jedynie do najpoważniejszych przypadków nadużyć. To minimalizuje ryzyko ingerencji tego organu w wolność słowa, a przy okazji ryzyko sparaliżowania pracy organu ogromną liczbą spraw* – dodaje ekspertka Panoptykonu.

Drugą kwestią, która budziła kontrowersje i została zmieniona, jest przywrócenie do całego procesu sądów powszechnych. Nie jako szybkiej ścieżki, ale jednak jako instytucji kontrolnej, bo to do nich, a nie do sądów administracyjnych, ma przysługiwać odwołanie od decyzji UKE. – *To naprawdę lepsza zmiana w porównaniu z poprzednim projektem. Nieidealna, wciąż można by dyskutować, czy kwestie łamania praw autorskich nie są za szerokie. Wciąż też można by doprecyzować terminy odwołań do sądów, ale widać tu wsłuchanie się w krytykę i poszukiwanie*

eprasa.pl 11d96193c5

takiej ścieżki, która będzie i skuteczna, i bezpieczna – podkreśla Małobęcka-Szwast. – *Dlatego teraz wołanie o cenzurze to już tylko populistyczna, upolityczniona walka.*

USA vs UE

Część z kontrowersji wokół ustawy można uznać za typową polityczną wojnę polsko-polską. – *Tyle że w tle są interesy big techów, mocno wspierane przez Donalda Trumpa* – podkreśla Głowacka.

Bo przecież w międzyczasie odbyły się nie tylko wybory prezydenckie w Polsce, ale także w Stanach zmieniła się władza. Wraz z powrotem Trumpa nastąpił potężny zwrot w układzie sił i we wzmocnieniu amerykańskich cyfrowych korporacji. Hołdy lenne na inauguracji prezydenckiej czy obiady z najważniejszymi prezesami Doliny Krzemowej mają efekt w postaci wsparcia dla tych firm – przeciwko unijnym regulacjom i karom.

Każde podejście Unii do uregulowania big techów zderza się z amerykańską administracją, która o europejskich prawach mówi „cenzura w stylu sowieckim". Tak choćby można przeczytać w liście przewodniczącego Federalnej Komisji Handlu (Federal Trade Commission) Andrew Fergusona do największych big techów. FTC, przez lata będąca ostrym regulatorem technologii i stojących za nimi korporacji, dziś wzywa amerykańskie korporacje do ignorowania brytyjskich i europejskich zapędów kontrolnych. Fergusson wręcz zażądał od 13 firm przedstawienia, „w jaki sposób zamierzają przestrzegać błędnych międzynarodowych wymogów regulacyjnych" – tak, by nie naruszało to praw amerykańskich konsumentów. A w poście na X wprost napisał: „jeśli firmy będą cenzurować Amerykanów lub osłabiać prywatność i bezpieczeństwo komunikacji na żądanie obcej władzy, nie zawaham się egzekwować prawa".

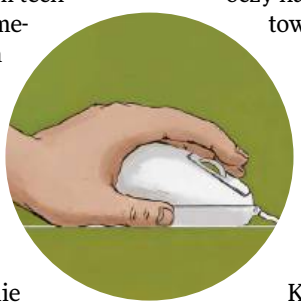

Po części odnosi się to do odrębnego wobec DSA pomysłu regulacyjnego, jaki przetacza się przez Unię. Chodzi o tzw. Chat-Control (czyli Regulation to Prevent and Combat Child Sexual Abuse – CSAR). Komisja Europejska zaproponowała przepisy, które zobowiązywałyby komunikatory do automatycznego skanowania treści wiadomości (nawet tych szyfrowanych) w celu wykrywania materiałów związanych z wykorzystywaniem seksualnym dzieci. Pomysł ten pojawił się już w maju 2022 r. i budzi potężne kontrowersje. Nie ma co do niego ostatecznej zgody państw członkowskich, a Polska jest wśród tych, które oficjalnie sprzeciwiają się takim planom.

Samo rozważanie tak głębokiej ingerencji w prywatność użytkowników to woda na młyn Trumpa. Jego administracja już wydała memorandum w sprawie „obrony amerykańskich firm przed zagranicznymi wymuszeniami, niesprawiedliwymi grzywnami i karami", które jest wymierzone bezpośrednio w DSA. A w lutym br. wiceprezydent J.D. Vance grzmiał, że to europejskie prawo jest sprzeczne z wolnością słowa. Cyfrowe korporacje tę zmianę wiatru wykorzystują. Na krótko przed inauguracją Trumpa Meta zaprezentowała wyraźny zwrot w polityce moderacji treści, ogłaszając rezygnację z dotychczasowego systemu weryfikacji faktów. Elon Musk miesiącami toczył i na platformie X, i na gruncie prawnym przepychanki z Komisją Europejską, oskarżając ją o zapędy cenzorskie. Widać więc, że spór o DSA wpisuje się w głębszą amerykańsko-europejską różnicę w podejściu do wolności słowa i odpowiedzialności platform. Polska w tej rozgrywce ma bardzo konkretne miejsce. Kiedy delegacja Kongresu USA spotkała się pod koniec lipca z nadzorującą branżę big tech wiceszefową Komisji Europejskiej Henną Virkkunen, tematem rozmów był opublikowany przez Kongres raport o „ograniczaniu" wolności słowa przez DSA. A w nim znalazł się przykład „cenzury" z Polski. „W listopadzie 2024 r. Narodowy Instytut Badawczy (NASK), działający w ramach Ministerstwa Cyfryzacji, zwrócił się do TikToka z prośbą o usunięcie wpisu" – czytamy w dokumencie. Zgodnie z nim wpis, o którego usunięcie zwrócił się do TikToka NASK, stwierdzał, że „samochody elektryczne nie są ani ekologiczne, ani ekonomiczne".

Burza oburzeń

To, że w tej skomplikowanej układance pojawiła się kolejna rządowa instytucja, czyli NASK, nie jest przypadkiem. Ten instytut badawczy – mający spore zasługi czy to w kwestiach cyberbezpieczeństwa, czy walki z treściami szkodliwymi dla dzieci – regularnie jest wplątywany w polityczne rozgrywki. Oskarżano go o wspieranie PiS w kampanii wyborczej (poprzez badanie nastrojów wobec członków rządu na platformach społecznościowych), a podczas kampanii prezydenckiej – o to, że przymykał oczy na zagraniczne fundacje opłacające reklamy internetowe wspierające Trzaskowskiego.

> Spór o regulacje internetu wpisuje się w amerykańsko-europejską różnicę podejść do wolności słowa.

Kiedy więc okazało się, że nowym szefem UKE zostaje Przemysław Kuna – do niedawna wicedyrektor NASK – także ten czynnik stał się pretekstem do podważania procesu wdrażania DSA. – *Faktycznie, wybór prezesa UKE był bardzo nietransparentny, de facto doszło do mianowania człowieka wskazanego przez rząd, nie było kontrkandydatów, nie odbyły się konsultacje z organizacjami pozarządowymi* – podkreśla dr Iga Małobęcka-Szwast. I dodaje, że osłabia to niezależność UKE, a tym samym zaufanie do niej jako instytucji wdrażającej DSA.

Zgadza się z tym Dorota Głowacka: – *Wieloletnie starania o to, by ta ważna, chroniąca przecież nas, użytkowników platform, regulacja wreszcie zaczęła działać, niestety co i raz są psute takimi politycznymi zakusami. Brak ścisłej transparentności w całym tym procesie nie pomaga i na pewno będą to chciały wykorzystać big techy* – mówi prawniczka Fundacji Panoptykon. – *Ale chciałabym, by wyraźnie wybrzmiało: dziś okrzyki, jaką to cenzurę chce wprowadzić rząd, w obliczu tego poprawionego prawa, to czysta dezinformacja.*

Okrzyków nie było już podczas pierwszego czytania ustawy w Sejmie. Podobnie jak nie było na niej posłów, bo przysłuchiwało się ich ledwie kilku na pustej sali plenarnej. Zaczekają zapewne do wysłuchania publicznego, zapowiedzianego na 4 listopada, gdy ponownie będzie można zbić trochę punktów popularności na „walce o wolność". Mimo tej burzy polski parlament zapewne przyjmie prawo wdrażające DSA. Pytanie tylko, jakie opinie – swojego obozu politycznego i big techów, czy rządu i obrońców praw człowieka – wyraźniej usłyszy prezydent Karol Nawrocki. I czy ustawę podpisze, czy zawetuje.

SYLWIA CZUBKOWSKA, TECHSTORIE/TOK FM

eprasa.pl 11d96193c5

Szybciej, drożej, modniej



Pokaż mi, co trenujesz, a powiem ci, kim jesteś. Sport amatorski to soczewka, w której odbija się hierarchia społeczna. Kto ma szansę żyć i grać w ekstraklasie?

ADRIAN BURTAN

Jeśli ktoś zamierza badać podziały klasowe w społeczeństwie, dobrym polem doświadczalnym wydają się ścieżki rowerowe w dużym polskim mieście. Na tym samym odcinku drogi zderzają się dwa światy. Po jednej stronie posiadacze Gravelów za kilkanaście tysięcy złotych, ubrani w aerodynamiczne kombinezony, wyposażeni w nowoczesne nawigacje i tempomaty. Po drugiej – jeżdżący w dżinsach lub dresach cykliści, których głównym celem wydaje się po prostu unikanie korków. Bez wątpienia obie grupy w tej samej chwili uprawiają sport. Jednak zwykle nie oznacza on dla nich tego samego. Rower, który uchodzi raczej za egalitarny środek transportu, dziś okazuje się nośnikiem społecznych znaczeń: kim jesteśmy, czym się zajmujemy i do jakiej grupy należymy. Sport, choć z pozoru dostępny dla każdego, staje się kolejnym zwierciadłem nierówności.

Stać mnie, żeby biegać

Jak często ćwiczymy? Według raportu „MultiSport Index 2024" aktywność fizyczną minimum raz w miesiącu podejmuje 66 proc. Polaków. Gdy jednak wczytamy się głębiej, zobaczymy, że o tym, czy uprawiamy sport, w dużej mierze decydują czynniki demograficzne.

Im lepiej jesteśmy sytuowani, tym chętniej się ruszamy. Najczęściej sportowcami są mieszkańcy dużych miast oraz osoby z wyższym wykształceniem: specjaliści, menedżerowie, przedstawiciele wolnych zawodów. Dane te nie dziwią prof. Tomasza Sobierajskiego, socjologa z Uniwersytetu Warszawskiego: – *W wielu środowiskach sport przestał być po prostu aktywnością fizyczną. Stał się formą komunikatu, sygnału wysyłanego do otoczenia: jestem zdrowy, sprawny, zdyscyplinowany, można mi zaufać i na mnie polegać. Sport to narzędzie autoprezentacji i budowania kapitału symbolicznego. Uprawiając określone dyscypliny, chodząc w konkretne miejsca czy uczestnicząc w wybranych wydarzeniach, buduję sieć kontaktów i umacniam swoją pozycję w grupie. Crossfit, joga,*

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 11d96193c5



Wystarczy wsiąść na rower, by wjechać do świata podziałów społecznych.
Poniżej: **udział w maratonie oznacza przynależność do elity stanowiącej 1 proc. ludności Ziemi.**



golf czy tenis – każda z tych aktywności to deklaracja przynależności – tłumaczy.

No właśnie, rodzaj aktywności: wysokość dochodów i zawód korelują z uprawianą dyscypliną. Najzamożniejsi zwykle decydują się na sporty indywidualne, klasa średnia chętniej uprawia dyscypliny zespołowe. Potwierdzają to badania wykonane przez Natalię Organistę i Michała Lenartowicza z Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, opublikowane w artykule „Klasa społeczna a poziom i zróżnicowanie rodzinnej aktywności sportowo-rekreacyjnej". Zbadali oni, jakie sporty uprawiają rodziny z klasy wyższej i ze średniej.

Wśród tej pierwszej dominowały tenis (również u dzieci), narciarstwo zjazdowe, żeglarstwo. Tu nie ma zaskoczenia: sporty te wymagają nie tylko wystarczających środków na wykupienie trenera czy zaopatrzenie się w sprzęt, lecz także konieczności jeżdżenia w miejsca, gdzie można je uprawiać. Reprezentanci tej grupy stosunkowo często też biegali, uprawiali fitness czy korzystali z pływalni.

Co wybierały osoby z klasy średniej? Przede wszystkim piłkę nożną, dżudo i piłkę ręczną. Co ciekawe, o ile zdarzało się, że kilka dyscyplin „przypisanych" do klasy wyższej uprawiała pewna część dorosłych z klasy średniej, to zjawiska tego nie zaobserwowano już w drugą stronę. Można pokusić się o wniosek, że mamy tu do czynienia z aspiracyjnością klasy średniej. Jej przedstawiciele chcą piąć się po drabinie awansu, dlatego upodabniają się do wyżej sytuowanych osób, także poprzez wzorce sportowe. – *Kiedy ktoś podkreśla, że jest maratończykiem, to w pewnym sensie sygnalizuje przynależność do elitarnej grupy. Tego 1 proc. ludzi na świecie, którzy przebiegli maraton. To symbol statusu i samodyscypliny* – wyjaśnia prof. Sobierajski.

Dwa kółka za dziesięć koła

Przedstawiciele różnych klas społecznych odmiennie postrzegają też cel uprawiania sportu. Wróćmy na ścieżki rowerowe. Dla jednych to droga, która służy przede wszystkim do przemieszczania się do pracy, szkoły czy sklepu. Rower traktują pragmatycznie jako środek transportu. Dla innych – głównie zamożnej klasy średniej i wyższej – staje się on jednak dodatkowo polem do realizowania filozofii dobrostanu (ang. *wellness*): pokonywania własnych słabości, realizowania celów, nabijania kilometrów czy przygotowywania się do prestiżowych zawodów. Podejście to widać wyraźnie w internetowych grupach entuzjastów danego sportu. Nierzadko dominują tam dyskusje dotyczące nie tyle tras czy prozdrowotnych skutków kolarstwa, ile komentarze na temat sprzętu czy podnoszenia wydajności. Na forach poświęconych innym sportom wygląda to podobnie.

– *Profesjonalizacja sportu wśród amatorów jest w dużej mierze odbiciem współczesnego, a więc intensywnego, stylu życia. Osoby mocno zaangażowane zawodowo, które na co dzień żyją w dużym tempie, gdy znajdują czas na aktywność fizyczną, bardzo się w nią wciągają. Sport nie jest dla nich chwilową odskocznią. Traktują go poważnie, inwestują w rozwój, w korzystanie z usług specjalistów, dietetyków, fizjoterapeutów. Wszystko po to, żeby osiągać konkretne cele i poprawiać wyniki* – mówi psycholog sportowy Bartosz Pietruszewski.

Jak dodaje prof. Sobierajski, istotna w tym kontekście jest też potrzeba przynależności i poczucia bycia częścią wspólnoty. – *Już od dziecka uczymy się, że aktywność fizyczna to coś, co pozwala dołączyć do grupy. Z wiekiem ta motywacja się zmienia, ale rdzeń pozostaje ten sam: sport jest formą bycia z innymi i potwierdzania swojej pozycji wśród nich. Trzeba też pamiętać, że sport wymaga czasu, a czas we współczesnym świecie* ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ *stał się luksusem. Sam fakt, że mogę pozwolić sobie na regularne treningi, jest więc sygnałem wysyłanym do otoczenia: mam ten komfort, by dbać o siebie, bo posiadam środki i przestrzeń na rozwój* – tłumaczy.

Sport staje się wśród klas wyższych nośnikiem treści społecznej. Kwestie zdrowotne są tu drugorzędne. Bieganie czy kręcenie kilometrów na dwóch kółkach odzwierciedla określony styl życia. Podobnie było w przeszłości, gdy sport zarezerwowany był dla arystokracji i wyższych sfer. Tworzył przestrzeń budowania dystansu między zamożnymi a biedniejszymi i wyraźnie zaznaczał granice klasowe. – *Sport jest dla wielu osób nie tylko troską o ciało, ale też o głowę: o zachowanie zdrowej proporcji między pracą a regeneracją. Nie chodzi więc wyłącznie o utrzymanie sylwetki, lecz także o podtrzymywanie relacji społecznych z innymi, podobnymi do nas* – mówi Bartosz Pietruszewski.

Według prof. Sobierajskiego sport pomaga wielu ludziom w osiąganiu kontroli nad własnym życiem, stając się przeciwwagą na bolączki codzienności. – *To szczególnie widoczne wśród klasy średniej. Dla tych osób sport jest nierzadko ucieczką od problemów emocjonalnych czy rodzinnych, tylko że rzadko się o tym mówi. Często to właśnie trening okazuje się sposobem na utrzymanie się „na powierzchni", na zachowanie poczucia sensu i sprawczości* – twierdzi.



Można po prostu pójść na siłownię i zacząć ćwiczyć. Aby jednak awansować w hierarchii, należy to robić z wynajętym trenerem personalnym i ułożonym przez dietetyka planem żywieniowym.

Kiedy, z kim i w czym

Sport znacznie się zdemokratyzował (zwłaszcza po drugiej wojnie światowej). Jeszcze 100–200 lat temu wystarczyło uprawiać jakąkolwiek dyscyplinę, by czuć się uprzywilejowanym. Dziś jednak, by budować swoją tożsamość, osoby aspirujące do najwyższych szczebli drabiny społecznej zmuszone są do ciągłego podnoszenia poprzeczki. Ma być szybciej, oryginalnie, efektywnie. Mogę po prostu pójść na siłownię i zacząć ćwiczyć, ale awansuję w hierarchii dopiero wtedy, gdy będę to robił z wynajętym trenerem personalnym i wcześniej ułożonym przez dietetyka planem żywieniowym.

Mechanizm jest powtarzalny: na początku sport traktujemy jako zwykłą przyjemność, dopiero z czasem – gdy zaczynamy go uprawiać więcej i więcej – pojawia się chęć rywalizacji i regularnego progresu. – *To typowe dla osób, które dłużej trenują. Jednocześnie pojawia się jednak ryzyko, że sport zacznie być niezdrową formą udowadniania czegoś sobie lub innym. Kiedy to się dzieje, mogą pojawić się konsekwencje psychiczne: spadek samopoczucia, frustracja, stany lękowe, a nawet symptomy subdepresyjne* – tłumaczy Bartosz Pietruszewski.

Wyróżnienie się z tłumu potęguje dodatkowo współczesna kultura produktywności, która także w sporcie przekłada się na wzrost konsumpcji. Nowoczesne zegarki sportowe, termoaktywna odzież, specjalne plecaki górskie czy rowery za kilkanaście tysięcy to tylko najbardziej oczywiste przykłady. – *Nawet w pozornie egalitarnych sportach, jak bieganie czy jazda na rowerze, różnice widać gołym okiem. Rodzaj roweru, marka kasku, zegarka czy odzieży bardzo często zdradzają, do jakiej grupy społecznej się należy* – opisuje prof. Sobierajski.

Jednak – jak podkreśla Bartosz Pietruszewski – nie powinniśmy popadać w skrajności i demonizować urządzeń czy akcesoriów sportowych. Nierzadko pozytywnie wpływają na motywację. – *Oczywiście nie uprawiamy sportu dla drogich butów, ale w praktyce, kiedy kupimy sobie coś nowego, to bardziej chce nam się biegać* – mówi. – *Mamy większy komfort fizyczny, a z drugiej strony pojawia się chęć, żeby ten zakup „spożytkować". Takie osoby przed zakupem czytają fora, porównują produkty, szukają opinii. To nie jest tylko konsumpcja dla konsumpcji. Istotny jest balans, by z jednej strony nie przesadzić i nie kupować niepotrzebnych gadżetów, ale też na siłę ich nie unikać, gdy mogą nam się przydać* – dodaje.

Drogi sprzęt czy ubiór nie są same w sobie złe ani bezużyteczne. Zwiększają komfort treningu i pomagają osiągać konkretne cele. Zegarek sportowy, monitorując podczas biegu czas i tempo, ułatwia planowanie aktywności. Dobre buty pomagają biegaczowi unikać kontuzji, a co za tym idzie – kosztownej rehabilitacji. Problem się pojawia, gdy rośnie zainteresowanie konkretną kategorią produktów i rynek zaczyna serwować coś, co można nazwać sportswashingiem: sprzęt lub gadżety, które mają wyglądać profesjonalnie, ale w praktyce niewiele wnoszą do efektywności czy bezpieczeństwa treningu, a są wyłącznie tworem marketingowym. Przykład? Niedawno

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 11d96193c5

jeden ze znanych producentów akcesoriów sportowych reklamował klapki regenerujące mięśnie po treningu, wyglądające podobnie jak inne popularne obuwie tego typu, ale znacznie droższe.

– *Analizowałem kiedyś specyfikację modeli rowerów za 40 tys. i za 20 tys. zł. Różnice są minimalne* – mówi prof. Sobierajski. – *Podobnie z butami do biegania. Sam dużo biegam, więc wiem, że nie ma żadnego racjonalnego powodu, by twierdzić, że buty za 2 tys. zł znacząco poprawią nasze wyniki. A mimo to wiele osób daje się wciągnąć w tę narrację, bo działa tu mechanizm psychologicznego usprawiedliwienia wydatku.*

Zdrowi, bo bogaci

Nie należy zapominać o tym, co w sporcie powinno być najważniejsze, a więc o jego roli prozdrowotnej. Tutaj niestety też zarysowują się różnice społeczne. Sport to wciąż przywilej – znacznie częściej uprawiają go osoby o wyższych dochodach i z większych miast. Przekłada się to na ich stan zdrowotny. Jak pokazują dane CBOS z 2024 r. (raport „Zdrowie i zachowania prozdrowotne Polaków"), poczucie zdrowia rośnie wraz z dochodem. Aż 83 proc. respondentów zarabiających 6 tys. zł i więcej oceniło swój stan zdrowia jako dobry lub bardzo dobry. Wśród osób najuboższych (do 2 tys. zł dochodu) odsetek ten wyniósł 47 proc. Im więcej zarabiał ankietowany, tym lepiej fizycznie się czuł. Tendencję tę widać też w kontekście masy ciała. Najmniej osób z nadwagą (wskaźnik BMI) zanotowano wśród kadry kierowniczej i specjalistów z wyższym wykształceniem (35 proc.), najwięcej – wśród średniego personelu (aż 53 proc.) i robotników wykwalifikowanych (46 proc.).

Nie tylko sport jest symbolem statusu, lecz także jego bezpośredni efekt, a więc dobre zdrowie. A zróżnicowany społecznie stan zdrowia to niebezpieczne zjawisko – zarówno z perspektywy jednostki, jak i całego społeczeństwa. Bo jeśli zdrowie zaczyna zależeć od przynależności klasowej, to przy wzrastających nierównościach ryzyko wzrostu odsetka osób z chorobami, a co za tym idzie – obciążeń budżetowych, staje się realne. Przeciwdziałać temu może łatwiejszy dostęp do odpowiedniej infrastruktury sportowej (zwłaszcza w mniejszych ośrodkach), edukowanie o pozytywnych skutkach ruchu czy zapewnienie dostępnych cenowo zajęć i programów aktywności fizycznej dla wszystkich grup społecznych.

Według prof. Sobierajskiego konieczny jest też powrót do większego egalitaryzmu w spojrzeniu na sport. – *Mam wrażenie, że w Polsce sport dla wielu osób zaczyna się od bariery wejścia, a nie od samej aktywności. Zanim ktoś pójdzie biegać, myśli, że najpierw musi kupić profesjonalne buty. Zanim wybierze się na siłownię – że potrzebuje odpowiednich ubrań, ręcznika, bidonu. Jeśli chcemy systemowo zmniejszać różnice społeczne w dostępie do sportu, powinniśmy odczarować tę barierę, pokazać, że aktywność fizyczna nie zawsze wymaga dużych pieniędzy. A dopiero kiedy ludzie zobaczą, że mogą czerpać z tego przyjemność, przyjdzie czas na rozwijanie dyscypliny, regularność i doskonalenie* – konkluduje. – *Istotna jest też świadomość celu. Po co to robimy* – dodaje Bartosz Pietruszewski.

ADRIAN BURTAN

REKLAMA

POLITYKA
słuchaj i oglądaj



youtube.com/@Tygodnik_Polityka
polityka.pl/podkasty

eprasa.pl 11d96193c5

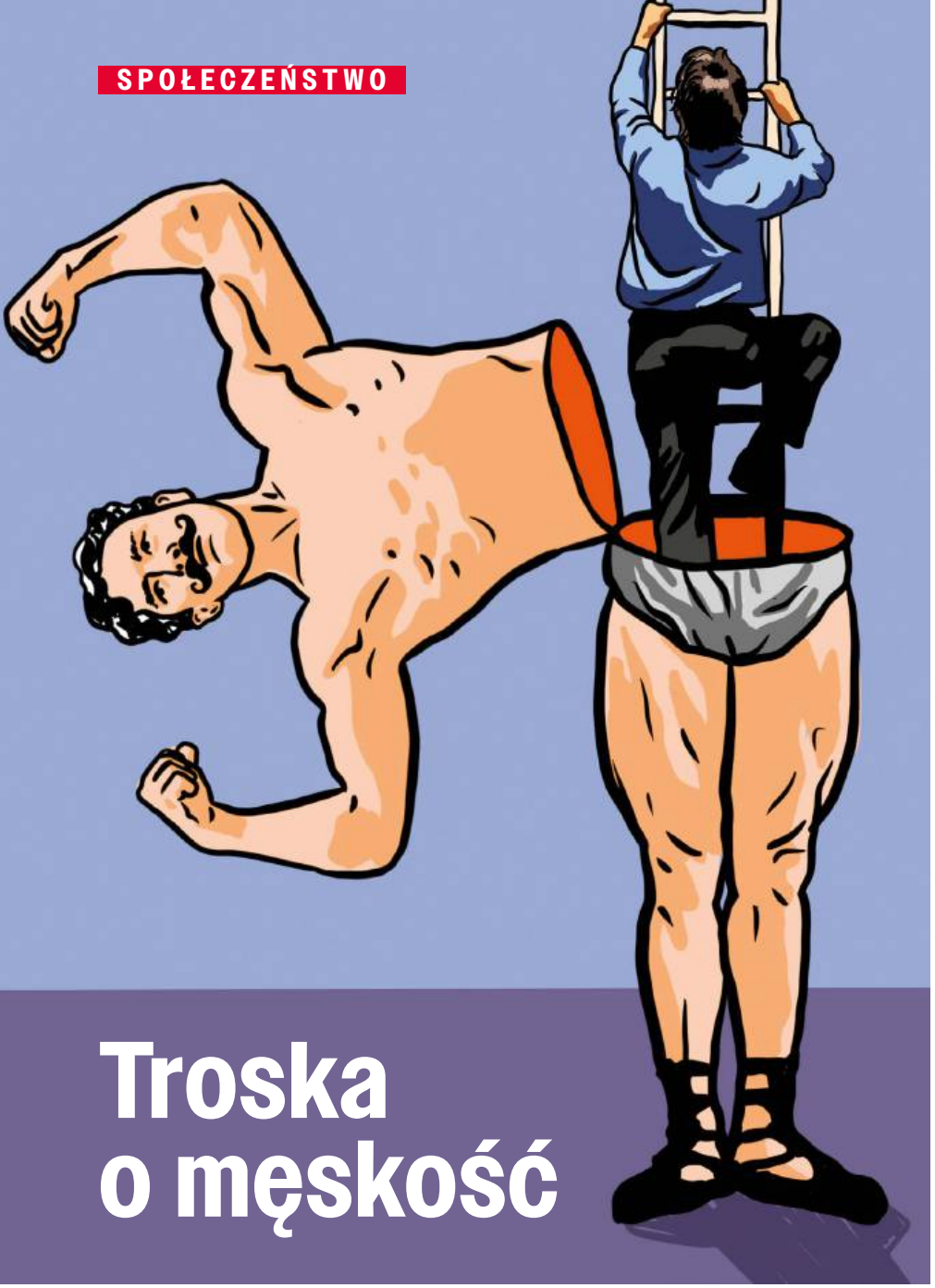

ILUSTRACJA MARTA FREJ

Troska o męskość

Rozmowa z prof. Katarzyną Wojnicką, autorką książki „Mężczyznologia", o tym, czy mężczyźni są dziś dyskryminowani, w jakich obszarach radzą sobie gorzej i dlaczego.

JOANNA PODGÓRSKA: **– O mężczyznach pisze się albo że są straszni – w kontekście dominacji nad kobietami, albo że mają strasznie – dyskryminowani w społeczeństwie zdominowanym przez kobiety. O tym pierwszym wiemy sporo. A drugie? Reakcja na utratę patriarchalnej przewagi czy realny problem społeczny?**

KATARZYNA WOJNICKA: – Zależy, kto i w jakim kontekście o tym mówi. To jest problem społeczny, bo patriarchat rani również mężczyzn, nie tylko kobiety, choć w inny sposób. Przy czym tezy, że dziś mężczyźni są dyskryminowani i z racji swojego genderu cierpią bardziej, są formułowane przez ruchy społeczne nastawione na retrozmianę, czyli powrót do relacji, które dominowały kilkadziesiąt lat temu. Wtedy, kiedy mężczyźni ze względu na płeć cieszyli się przywilejami.

W efekcie do dziś dominują na szczytach władzy i wielkiego biznesu. Ale okupują też drugi kraniec społecznej skali. Przeważają wśród samobójców, bezdomnych, uzależnionych. Skąd to się bierze?

Wiele zależy od tego, jakie inne czynniki – poza płcią – kształtują ich pozycję: klasa społeczna, wiek, wykształcenie, orientacja seksualna, etniczność. Ci, którzy pochodzą ze zmarginalizowanych grup społecznych, naprawdę płacą duże koszty za bycie mężczyzną – właśnie bezdomnością, nałogami, samobójczą śmiercią.

A mimo to odrzuca pani popularne sformułowanie o kryzysie męskości. Dlaczego?

Trzeba rozróżnić, kiedy mówimy o mężczyznach, a kiedy o męskości. Męskość jest konstruktem społecznym, zbiorem norm i praktyk przypisanych mężczyznom. I ona się cały czas zmienia. Różni się choćby ze względu na kulturę, w której wyewoluowała. Nie jest stałą koncepcją. Zatem pojęcie kryzysu nie ma żadnego przełożenia na jakiekolwiek sensowne analizy. Skoro coś się ciągle zmienia, no to kiedy jest w kryzysie? Kryzys męskości jest według mnie pojęciem pustym. Mnie najbardziej interesuje przyglądanie się sytuacji poszczególnych grup mężczyzn i zrozumienie, jakie czynniki sprawiają, że w przypadku niektórych jest ona tak niekorzystna.

Może z tym kryzysem chodzi o to, że kobiety przez dekady wypracowały wzorce nowej kobiecości, a u mężczyzn jest z tym gorzej?

Wzorców nowej męskości mamy już całkiem sporo. Choćby „męskość troski", która jest wzorcem coraz bardziej dominującym. Gdy spojrzeć na badania, choćby tyczące ojcostwa, to widać, jak bardzo ten wzorzec się zmienił w ciągu ostatnich dwóch pokoleń. Wzorce są, ale trudność moim zdaniem polega na tym, że zmiana wzorca, np. na „męskość troski", jednak wiąże się z odpuszczeniem pewnych męskich przywilejów. Chodzi o to, żeby stać się bardziej otwartym emocjonalnie mężczyzną. W przypadku kobiet tego nie było, bo nie cieszyły się jakimiś szczególnymi przywilejami. Oczywiście białe kobiety z wyższej klasy średniej miały przywileje klasowe. Natomiast genderowych przywilejów nie było wiele.

eprasa.pl 11d96193c5

Mam wrażenie, że o kryzysie męskości mówi się także w kontekście niedopasowania współczesnych mężczyzn i kobiet. Tworzą coraz bardziej niekompatybilne grupy.

To też jest dyskurs, z którym nie do końca się zgadzam i pokazywałam to w kontekście wyborów politycznych. Rzeczywiście jest grupa mężczyzn i grupa kobiet, których poglądy polityczne są drastycznie różne, ale jednak większość ma podobne. Od jakiegoś czasu toczy się naukowa debata na temat wzrostu popularności partii populistyczno-prawicowych i rzeczywiście przez kilka pierwszych lat wśród zwolenników tych partii dominowali mężczyźni. Ale od pewnego czasu obserwujemy, że coraz więcej kobiet również przechodzi na pozycje populistyczno-prawicowe. Więc to nie do końca prawda, że jeśli chodzi o wartości i polityczne wybory, ta różnica ciągle się pogłębia.

Ale pisze pani, że ten prawicowo-nacjonalistyczny przechył to nie tylko reakcja na równouprawnienie i feminizm, ale wynika też ze sposobów, w jakie mężczyźni są socjalizowani.

Tak, i dlatego retoryka konfliktu bardziej im odpowiada. I z tego powodu ten przechył zaczął się właśnie od nich. Natomiast dziś, gdy partie radykalno-prawicowe zaczynają być częścią mainstreamu, głosuje na nie coraz więcej kobiet, które są socjalizowane tak, by podążać za mainstreamem. Choć oczywiście czynnik genderowy ma tutaj znaczenie. Prawicowy populizm broni patriarchalnej dywidendy, walczy o utrzymanie przywilejów i kontroli nad kobietami. Chce ich „bronić przed obcymi", w zamian za szacunek i podporządkowanie. Ale to nie oznacza, że ciągle będziemy się od siebie oddalać.

Ta niekompatybilność to kwestia nie tylko polityki, ale też funkcjonowania na rynku pracy, wykształcenia.

Fakt, że coraz więcej kobiet zdobywa wyższe wykształcenie, ale jak się popatrzy na dyscypliny, w których je zdobywają, to już jest troszeczkę inna historia. Dotyczy to także władz uczelnianych. W akademii, w której pracuję już od 25 lat, dominacja mężczyzn wciąż jeszcze jest bardzo zauważalna. Poza tym dynamikę edukacyjną kształtują dziś nie tylko czynniki genderowe. Choćby zróżnicowanie wieś–miasto jest niesamowicie ważne. A w wielkich miastach liczebnie dominują kobiety.

Od lat pisze się, że mężczyznom coraz trudniej znaleźć partnerkę, bo wymagania kobiet rosną. Z pani badań wynika, że szczególnie jaskrawo ujawnia się to na emigracji. Dlaczego kobiety lepiej sobie radzą uczuciowo?

Łatwiej im znaleźć partnera, pomagają im w tym ich kapitały społeczne. Mają dzięki temu dużo większy wybór. Mogą się związać praktycznie z każdym; ze swoim kolegą migrantem Polakiem, z innymi migrantami, jak również z miejscowymi mężczyznami. Natomiast mężczyźni przez to, że na emigracji mają ograniczony potencjał ekonomiczny, społeczny czy kulturowy, nie mają takiego wyboru. Reprezentantki społeczności lokalnych rzeczywiście nie są nimi zainteresowane. To wynika z bardzo tradycyjnego podejścia do tego, jak powinna wyglądać heteroseksualna para – mężczyzna ma mieć raczej wyższy status, a kobieta raczej niższy. Na emigracji bardzo widać, że to rzeczywiście w wielu przypadkach jeszcze tak działa.

Jednym z najwyższych kosztów płaconych za męskość jest zdrowie. Skąd to się bierze?

Dla mnie to główny koszt męskości, który dotyka prawie wszystkich. W całej Unii Europejskiej mężczyźni żyją średnio o ponad pięć lat krócej niż kobiety. Najmniejsza różnica – dwa, trzy lata – występuje w Islandii i Norwegii. Największa – w krajach bloku postsowieckiego. W Polsce to osiem lat, na Łotwie aż dziesięć. Moim zdaniem wynika to z faktu, że zdrowie fizyczne jest mocno powiązane ze zdrowiem psychicznym; z emocjonalnym dobrostanem. Jeśli zaś chodzi o zarządzanie emocjami, przeżywaniem ich czy analizowaniem, mężczyźni ze względu na swoją socjalizację mają w tej kwestii mniejsze kompetencje. A to się przekłada na problemy zdrowotne. W grę wchodzi tu też stereotypowa figura twardziela, która przeszkadza kompleksowo zająć się swoim zdrowiem. „Prawdziwy" mężczyzna nie płacze i nie ujawnia swoich słabości. Ta postawa sprawia, że mężczyźni są mniej chętni, by chodzić do lekarza czy na badania profilaktyczne.

Różnica między Skandynawią a blokiem postsowieckim to kwestia tego, że nowe wzorce męskości lepiej się tam przyjęły, a u nas nadal dominuje męskość hegemoniczna?

To na pewno jedna z przyczyn. Skandynawia rzeczywiście była pionierem w kwestii zmiany wzorców męskości. Wszystko zaczęło się tam już pod koniec lat 60. ubiegłego wieku od ojcostwa. Państwo opiekuńcze mocno promowało wizję rodziny, w której matka i ojciec (wówczas postrzegani wyłącznie jako heteroseksualna para) powinni być w ten sam sposób włączeni i zaangażowani w życie dziecka. Aby ojcowie mogli spędzać czas z dzieckiem, wprowadzono urlopy dedykowane tylko im. To się później przełożyło na trochę inne podejście do emocjonalności. Przebywanie z małymi dziećmi powoduje, że trzeba się nauczyć, jak zarządzać emocjami; najpierw emocjami dziecka, ale z czasem też własnymi. Dbając o dzieci, mężczyźni uczyli się także dbać o siebie. Wydaje mi się, że to dlatego różnica w długości życia mężczyzn i kobiet jest tam najmniejsza.

W Polsce męski aktywizm też zaczął się od walki o prawa ojców.

To zależy, jak się definiuje aktywizm, bo dla mnie były nim też działania pierwszych emancypatorów; mężczyzn, głównie społeczników, naukowców, którzy na przełomie XIX i XX w. pospołu z kobietami walczyli o ich prawa. W ruchach obrony praw ojców skupili się na swoich. Przynajmniej część z tych ruchów, bo mamy w Polsce ok. 20 ojcowskich stowarzyszeń, fundacji czy federacji; mocno ze sobą skonfliktowanych. Jedno skrzydło jest, można powiedzieć, antykobiece, mocno konfrontacyjne. Kieruje swój gniew w stronę matek i sfeminizowanych sądów rodzinnych. Drugie – skupione na prawach dzieci, równościowe, dążące do zmiany patriarchalnych wzorców krzywdzących obie płcie.

Pandemia pokazała jednak, że jeśli chodzi o zaangażowane ojcostwo, zmieniło się mniej, niż myśleliśmy.

To było jak eksperyment laboratoryjny, podczas którego dwójka pracujących partnerów została zamknięta w mieszkaniu z dziećmi. Pokazał, że zmieniło się mniej, niż można było oczekiwać po tak specyficznej sytuacji społecznej. Już przed pandemią było wiadomo, że kobiety zajmują się dziećmi więcej niż mężczyźni. Tłumaczono to głównie tym, że mężczyźni po prostu dłużej pracują. Pandemia pokazała, że to niejedyna przyczyna, bo kiedy mieliśmy lockdowny, oboje rodzice zostawali z dziećmi w domu. I nawet jeżeli oboje pracowali, to wciąż na matkach spoczywał obowiązek codziennej opieki. Z badań ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ wynika, że ojcowie angażowali się mniej i głównie w zadania, które sobie sami wybrali, najlepiej jednorazowe. Tata podłącza komputer do zdalnej edukacji, ale od ślęczenia z dzieckiem przy ekranie jest mama.

W Polsce 80 proc. samobójców to mężczyźni. Na świecie wygląda to podobnie. Dlaczego?

To też wynika z syndromu twardziela, który nie pójdzie do psychiatry czy psychoterapeuty, bo depresja nie pasuje do rycerskiego etosu. Męska depresja i jej symptomy różnią się od tej, która jest przypisana kobietom. Ta kobieca jest bardziej rozpoznawalna społecznie. A mężczyzna w depresji np. bardzo mocno pogrąża się w pracy; staje pracoholikiem. Albo zaczyna więcej pić. Często samemu trudno mu rozpoznać, że ma depresję; rodzinie trudniej dostrzec jego cierpienie.

Dyskryminacja mężczyzn brzmi w Polsce jak oksymoron. Ale od pewnego czasu jako jej obszary wskazuje się choćby system emerytalny czy sfeminizowaną edukację. Czy to już czas na jakieś polityki społeczne adresowane do chłopców i mężczyzn?

Zdecydowanie tak. Te problemy są już diagnozowane; w nauce od dawna o nich wiemy. Poważne podejście do problematyki mężczyzn i męskości, ale ze zwróceniem uwagi nie tylko na koszty męskości, ale też na różnorodność, jak również wciąż funkcjonujące przywileje, jest niezwykle potrzebne. Bardzo bym chciała, żeby w Polsce powstała komisja, która zajmie się tą problematyką na serio. W Europie działają takie od lat.

A jakie obszary byłyby według pani kluczowe?

Przede wszystkim kwestia zdrowia, zarówno fizycznego, jak i emocjonalnego. To jest ewidentnie numer jeden – najważniejsza i najpilniejsza rzecz, jaką w kontekście mężczyzn i męskości należałoby się zająć.

Kampanie społeczne kierowane do mężczyzn? Na przykład odpowiednik tych, kierowanych do kobiet, dotyczących raka piersi?

Nie wiem, czy akurat taki odpowiednik by zadziałał. W jednym z krajów europejskich przez pewien czas prowadzono pilotażowy program nastawiony na wczesne wykrywanie raka prostaty. Jego ewaluacja pokazała, że nic się nie zmieniło. Statystyki nie drgnęły. Trzeba szukać innych rozwiązań, mocno sprofilowanych na specyfikę męskich potrzeb.

Gdy spojrzeć dziś na męski aktywizm, można mieć déjà vu. Wkroczyli na ścieżkę, na której kobiety są od dekad, i stosują strategię „kopiuj/wklej". Zakładają podobne stowarzyszenia, organizują Kongres Mężczyzn, tworzą męskie kręgi.

To jest raczej „kopiuj/wklej" tego, co działo się w USA i Europie Zachodniej już w latach 60. i 70. Mam wrażenie, że tę całą dyskusję zaczyna się znów od początku, jakby ktoś właśnie po raz pierwszy odkrył problemy, o których mowa od dawna. Brakuje w tym kontynuacji, „stawania na ramionach olbrzymów". Dużo już zostało zrobione, idźmy dalej, zamiast wyważać otwarte drzwi. Dawno wypracowano już pewne diagnozy i wzorce. Warto z nich korzystać.

Męskie stowarzyszenia alarmują, że chłopcy dużo gorzej niż dziewczynki radzą sobie w szkole, i jako winnego wskazują sfeminizowanie zawodu nauczycielskiego...

Jeśli chodzi o polską szkołę, bardzo ważną rolę w sukcesie edukacyjnym odgrywa klasa społeczna. Jeśli chodzi o sfeminizowane szkoły, nie jest to moim zdaniem kwestia dyskryminacji chłopców czy mężczyzn w systemie. Chodzi raczej o to, że zawody opiekuńcze i związane z edukacją wciąż nie są w Polsce najlepiej płatne. Zmianę możemy więc zacząć od tego, żeby praca nauczycieli szkolnych i przedszkolnych była finansowo dużo bardziej korzystna. Wówczas znajdą się nie tylko nauczycielki, ale i nauczyciele. A wraz z nimi męskie wzorce w środowisku edukacyjnym.

Momentem, który dramatycznie nam uświadomił, że dyskryminacja mężczyzn to nie oksymoron, był chyba wybuch wojny w Ukrainie?

Tak, bo zobaczyliśmy, jak bardzo te tradycyjne podziały płci są aktualne. I może w dużym stopniu nawet korzystne dla mężczyzn, ale w czasie pokoju. W czasie wojny to mężczyźni wciąż jeszcze ponoszą największą ofiarę, to oni giną na polu walki. Z ogarniętej wojną Ukrainy kobiety mogły uciekać. Mężczyźni nie mieli wyboru, stracili możliwość decydowania o własnym życiu. W Polsce na szczęście nie ma wojny, ale przetoczyła się dyskusja, kto miałby ewentualnie zostać wysyłany na obowiązkowe szkolenia do wojska. Mówiono wtedy o młodych mężczyznach. Jeżeli rzeczywiście tylko mężczyźni będą mieli obowiązek odbycia jakichś szkoleń militarnych, jest to absolutnie dyskryminacja ze względu na płeć.

Czy w Polsce mężczyznologia jest dziedziną, która zaczyna się dynamicznie rozwijać?

Mam nadzieję, że po mojej książce nastąpi rozkwit badań w tych obszarach, do których jeszcze nie dotarłam. Jej tytuł „Mężczyznologia" jest troszeczkę prowokacyjny – chciałam zwrócić uwagę na to, że tego typu socjologia już od dawna istnieje.

Zaczynała pani jako młoda naukowczyni. Kobiecie chyba nie było łatwo prowadzić badania nad mężczyznami?

Nie było, ale są też pewne ułatwienia wynikające z tego, że jestem kobietą. Np. ostatnio podczas badań migrantów singli, m.in. Polaków w Szwecji. Jako migrantka, kobieta pochodząca z tego samego kraju, miałam ułatwiony dostęp do osób, które chciały wziąć udział w naszym badaniu. Czego nie można powiedzieć o moich szwedzkich kolegach. Ale początki faktycznie nie były łatwe. Gdy starałam się o grant na badania do doktoratu, jeden z recenzentów w negatywnej ocenie nie mógł się powstrzymać od uwagi, że młoda dziewczyna umyśliła sobie badać facetów. Boki zrywać! I jak ja to sobie wyobrażam?! Mam nadzieję, że przeczytał moją książkę i już wie, jak sobie to wyobrażałam. I że moje wyobrażenia się sprawdziły.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

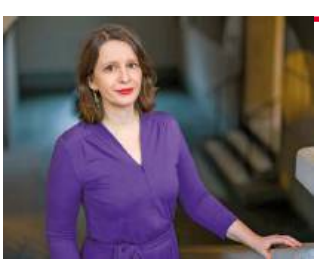

Dr hab. **Katarzyna Wojnicka** – socjolożka, wykładowczyni i badaczka, od ponad 20 lat zajmuje się problematyką mężczyzn i męskości w Europie. Pracuje na Uniwersytecie w Göteborgu (Wydział Socjologii i Nauk o Pracy, Centrum Badań Europejskich) i jest redaktorką naczelną „NORMY: International Journal for Masculinity Studies". Autorka ponad 70 publikacji o płci, męskości, migracji i ruchach społecznych.

eprasa.pl 11d96193c5



Pożegnanie w domu

Coraz więcej rodzin w Polsce szuka sposobu, by rozstawanie z bliskimi stało się aktem miłości. Ale system rzadko daje im na to szansę.

PAWEŁ WALEWSKI

Kiedy Anna Hernik wspomina ostatnie godziny życia swojej mamy, głos jej łagodnieje: – *Było cicho, za oknem noc, a w kuchni pachniała herbata. Mama leżała w łóżku, które znała, w pościeli, którą sama wybrała. Ja siedziałam przy niej, słyszałam każdy jej oddech.* Anna to znana fotografka. Pół roku temu pożegnała również swojego męża, którego walkę ze śmiertelną chorobą dokumentowała na zdjęciach, za co w 2024 r. otrzymała dwie nagrody Grand Press Photo. Mąż umierał jednak inaczej – w szpitalu, na oddziale intensywnej terapii. – *Wokół wszystko było metaliczne: dźwięk kroplówki, zapach środków dezynfekujących, echo kroków. I to przerażające poczucie, że jesteśmy tylko jednym z przypadków* – opowiada Anna. Jan chorował na glejaka mózgu. Chciał odejść w domu, pod opieką hospicjum domowego. Jednak kiedy dostał ataku padaczki, lekarka kazała wezwać karetkę. – *Zanim się zorientowałam, już go zabrali. Mówiłam: nie, niech on zostanie. Ale nie było odwrotu.*

W szpitalu umierał trzy dni. – *Na sali leżały jeszcze trzy osoby. Wiedziałam, że to koniec. Chciałam, żeby mógł po prostu oddychać bez podłączenia do aparatury. Ale tam się nie umiera po cichu. Tam się walczy, nawet kiedy nie ma już o co.*

Anna długo milczy, dopiero później dodaje: – *Jeśli mogłabym wybierać, chciałabym umrzeć w domu. W szpitalu człowiek traci siebie. Umiera hurtowo. Choć samotnie.*

Lekcja ciszy

Śmierć w domu i śmierć w szpitalu to zupełnie różne języki. Jeden jest intymny, pełen gestów, które znaczą więcej niż słowa. Drugi – głośny, proceduralny, bezpieczny, ale odhumanizowany.

Według raportu „O dobrym umieraniu" Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio większość ludzi (62 proc.) chciałaby odchodzić we własnym domu, choć ponad połowa, m.in. z chorobami nowotworowymi, umiera w szpitalach. – *Nie dlatego, że tego chcą, po prostu system nie ma dla nich innej propozycji* – wyjawia jedna z onkolożek, która boi się powiedzieć to pod nazwiskiem. – *Szpital to fabryka, która nie zna słowa „dość". Każdy pacjent jest dla nas zadaniem, więc nie potrafimy towarzyszyć w godnym odchodzeniu.*

Doktor Agata Malenda, internistka z hospicjum pod Warszawą, specjalizująca się w medycynie paliatywnej, członkini zarządu Fundacji Instytut Dobrej Śmierci, mówi o tym spokojnie, jakby ważyła każde słowo: – *Umieranie w domu to nie jest wybór romantyczny. To decyzja praktyczna. Żeby mogła się udać, musi być wsparcie: i emocjonalne, i medyczne.*

Rodziny często nie wiedzą, jak wygląda ten proces – że skóra się ochładza, pojawia się charczący oddech, wymioty z krwią. Śmierć przychodzi etapami. Nieprzygotowane, w naturalny sposób się boją. Dzwonią po karetkę, bo myślą, że coś się dzieje nie tak i można to odwrócić. A wtedy karetka zabiera ich bliskiego. I śmierć wydarza się na zakręcie, między dźwiękiem syreny a światłami ulicy.

Dla doktor Malendy kluczowa jest wspólnota: – *Nie da się zapewnić godnej śmierci w pojedynkę. Potrzebujemy wokół siebie małej wioski ludzi, którzy pomogą.* ▶

© ANDRZEJ SIDOR/FORUM

eprasa.pl 11d96193c5

▶ *Umieranie to nie wydarzenie medyczne. To wydarzenie społeczne!*

Pracuje z pacjentami terminalnymi od lat, towarzyszy rodzinom w tych intymnych chwilach, gdy granica między życiem a śmiercią staje się cienka jak bibułka. Z jej perspektywy potrzebna jest całodobowa dostępność, czasem podawanie leków podskórnie, zmiany pozycji. To heroiczne i nie każdy jest w stanie podołać. – *Widziałam samotne małżeństwa po dziewięćdziesiątce: on zmienia jej pieluchy, ona wspiera go emocjonalnie. Bohaterstwo, ale też są niedociągnięcia. A potem przyjeżdża karetka i ratownicy wytykają: jakie tu braki w higienie! A czyja to wina, skoro ci staruszkowie pozostawieni są sami sobie?*

Dzieci też mogą trwać przy swoim zdaniu. – *Starsza pani mieszka w Warszawie, ale jej córka w Atenach, a syn w Londynie. Oboje upierają się, że mama musi odejść w domu, bo takie było jej życzenie. Ale czy powinna zostać sama w tak trudnym momencie, skoro nie ma ich przy niej?*

Dobre chęci nie wystarczą, by zapewnić bliskim godne odejście. Miłość i pragnienie spełnienia ostatniego życzenia to fundament, ale bez wsparcia i realnych możliwości łatwo zamienia się w bezradność. Czy każdy będzie gotów unieść ciężar całodobowej opieki i umiał otoczyć bliskiego tą „małą wioską", o której mówi doktor Malenda, by śmierć mogła być spokojna, zgodna z czyimś wyobrażeniem?

To pytanie warto zadać bez osądu, bo decyzja o towarzyszeniu w domowym umieraniu to także akt odpowiedzialności. Nie tylko wobec osób starszych. – *Widzę ojców, jak uczą się czynności pielęgniarskich, drżącymi rękami walczą o oddech swojego dziecka, które w domu umiera na nowotwór. To nie pokona choroby, ale oddaje im kawałek kontroli, kawałek miłości, którą jeszcze mogą mu dać* – mówi dr Katarzyna Żak-Jasińska, pediatra onkolog z Gdańska, oddana opiece paliatywnej. A dzieci to doceniają, bo zbliżając się do kresu życia, bardziej niż opieki lekarzy czy pielęgniarek pragną bliskości i troski od ukochanej osoby, która nie lęka się dotyku. Dlatego Beata Hernik-Janiszewska, prezeska Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci, nie ma wątpliwości: – *Hospicjum, nawet z empatycznym personelem, nie zastąpi własnych czterech ścian. Zdarzało się, że to my, obserwując reakcje podopiecznych, sugerowaliśmy rodzicom, by zabrali dzieci do siebie. Ostatni taki przypadek dotyczył chłopca, który jakby czekał, by odejść we własnym łóżku, z mamą obok, która dawała mu poczucie bezpieczeństwa, i w znanym mu otoczeniu. Gdy tylko wrócił do domu, odszedł w niecałe 24 godziny.*

Jest jednak pewne wyzwanie. Rodzice w kluczowym momencie, gdy dziecko jest już na granicy życia, często wzywają karetkę. – *Nie traktujemy tego jako porażki* – tłumaczy Beata Hernik-Janiszewska. – *Odejście dziecka jest tak nienaturalne, że wymyka się wszelkiej racjonalności. Rodzice chcą ratować mu życie za wszelką cenę, nawet gdy nie jest to już możliwe.*

Lekarz opieki paliatywnej wie, że uporczywa terapia, sztuczne przedłużanie życia mogą być dla pacjenta krzywdzące. Z kolei pogotowie ratunkowe – i nie można mieć o to pretensji – działa w celu ratowania życia; tu nie ma czasu na konsylium czy rozważania nad łóżkiem chorego. Ci, którzy w takim momencie dzwonią po pogotowie, chcąc nie chcąc, oddają umierających w ręce systemu, który ratuje za wszelką cenę, bo musi wykazać, że zrobił wszystko.

Lekcja troski

Monika Stasiak, antropolożka kultury, która prowadzi świeckie ceremonie pożegnania, od lat bada polskie zwyczaje funeralne. Z jej badań wynika, że choć uroczystości w domach są już dziś rzadkie, mają ogromne znaczenie terapeutyczne. – *Uświadamiają realność straty. Kiedy widzimy ciało zmarłego, czuwamy przy nim z bliskimi, wspominamy go i rozumiemy, że to już się wydarzyło. Pozwala to też nawiązać więź z osobą, która odeszła. Bo opieka nad ciałem, nawet przez kilka godzin, to sposób, by powiedzieć: wciąż jesteś dla mnie ważny, nie przestaję się o ciebie troszczyć.*

Nasza rozmówczyni obecnie zbiera doświadczenia rodzin, które przeszły przez takie pożegnania, by stworzyć bezpłatny poradnik o pogrzebach domowych. – *To będzie zestaw najbardziej praktycznych wskazówek: jak ubrać ciało, jak utrzymać chłód w pokoju, kogo i kiedy wezwać. Ale też: jak się nie bać, bo opór przed odchodzeniem w domu wynika nie tylko z przeszkód formalnych, ale też z lęku i niewiedzy* – tłumaczy. Wydanie poradnika planuje na wiosnę 2026 r. (Odnośniki do publikacji znajdą się na stronie jej Fundacji „Na Progu", a może również Instytutu Dobrej Śmierci, który tej inicjatywie patronuje).

Dziś wszelkie pytania związane z tym, co robić z ciałem, rodziny kierują najczęściej do zakładów pogrzebowych, bo to do nich najczęściej najpierw dzwonią. Często jednak robią to zbyt wcześnie. Jak tłumaczy Mateusz Ruciński z Zakładu Pogrzebowego „Rucińscy", kluczowym krokiem przed przyjazdem karawanu jest uzyskanie karty zgonu od lekarza. – *To pierwsza rzecz, o którą pytamy: czy jakiś lekarz już ją wystawił? Bez tego nie możemy zabrać ciała* – tłumaczy. Tymczasem rodziny, przejęte, zmagające się z silnymi emocjami, nierzadko są zaskoczone, że zanim zakład pogrzebowy pojawi się na miejscu, muszą dopełnić formalności. – *Ktoś umiera o godz. 22, pięć minut później otrzymujemy telefon, bliscy zmarłego nie wiedzą, że potrzebny jest lekarz* – opowiada. Dlatego z jego punktu widzenia odbiór zwłok z prywatnego mieszkania jest bardziej skomplikowany niż ze szpitalnej kostnicy, gdzie procedury są jasne, a formalności załatwia zwykle jedna osoba z rodziny. W domu emocje są wszechobecne, a chaos potęguje brak wiedzy i system. – *Bo na lekarza z nocnej pomocy czeka się czasem kilka godzin, lekarze rodzinni nie są dostępni natychmiast, a ratownicy medyczni, którzy dziś sami jeżdżą w karetkach, nie mogą wystawić karty zgonu* – mówi Ruciński.

Rodziny, skonfrontowane z obecnością ciała zmarłego, bywają zestresowane długim oczekiwaniem. Dopytują, czy otwierać okno, włączać klimatyzację, martwiąc się, czy temperatura w mieszkaniu nie wpłynie na stan ciała. – *Przy 20 stopniach nic się nie wydarzy przez 2–3 godziny. Ale w upalne lato, gdy zwłoki czekają 8 godzin na poddaszu, to już problem* – podkreśla nasz rozmówca. W Wielkiej Brytanii zakłady pogrzebowe wypożyczają tzw. maty chłodzące, w Polsce takiej praktyki nie ma.

Zakłady pogrzebowe stykają się też z nietypowymi sytuacjami. – *Najczęściej zaskakuje nas waga zmarłego. Pytamy o nią, bo to ważne przy eksportacji ciała, jeśli nie ma windy. A bliscy często ją zaniżają; mówią, że 80 kg, a okazuje się, że 150* – opowiada Mateusz Ruciński. Innym zaskoczeniem są tradycyjne praktyki, jak podwiązywanie bandażem ust zmarłego, by zapobiec opadaniu żuchwy, czy przykrywanie ciała kocem, „bo ojciec lubił ciepło". – *To zwyczaje z dawnych lat, ale dziś mamy sposoby, by przygotować ciało do pogrzebu tak, by wyglądało naturalnie* – tłumaczy. Niektórzy próbują sami ubrać zmarłego, choć większość ma jednak z tym problem. – *I dzwonią ponownie: „Jednak zostawimy babcię w łóżku, a wy założycie ubranie".*

eprasa.pl 11d96193c5

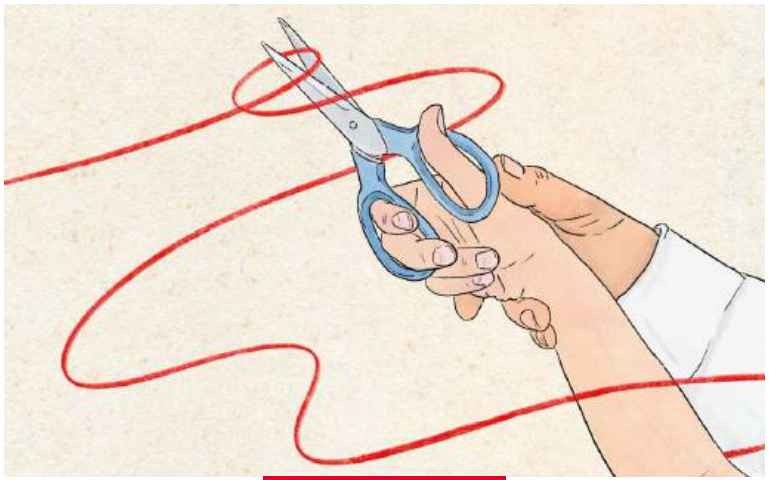

IZA KUCHARSKA

W mniejszych miejscowościach rodziny częściej same przygotowują zmarłych, wybierając dla nich odzież pogrzebową zaplanowaną jeszcze za życia. W miastach dominują pośpiech i niepewność. Monika Stasiak też widzi te różnice. Na przykład jej sąsiedzi z małej miejscowości w Polsce centralnej wciąż nie wyobrażają sobie pochówku urnowego; dla nich pożegnanie z ciałem jest ważne. Jak dodaje: jeśli ktoś uczestniczył w takim obrzędzie jako dziecko, wcale nie musi odczuwać potem traumy.

Lekcja bliskości

W Polsce, gdzie kultura śmierci zmedykalizowała się po wojnie – z ciałami w kostnicach, zamkniętymi trumnami i pośpiesznymi ceremoniami – ruch na rzecz domowych pożegnań rodzi się z frustracji. Anja Franczak, kulturoznawczyni i założycielka Instytutu Dobrej Śmierci, wie to z autopsji. Strata bliskich pchnęła ją w świat hospicjów i warsztatów funeralnych w Niemczech. – *W Polsce lęk przed śmiercią bywa ogromny, a żałoba często staje się samotnością* – mówi.

Dlatego tzw. kolektyw Instytutu zajął się prowadzeniem szkoleń, podczas których podkreślane jest znaczenie rytuałów. – *Jeśli chcesz, to możesz umyć ciało, ubrać. To nie tylko technika, lecz wyraz głębokiej troski i więzi. Uczymy odpowiednich chwytów, jak podnieść osobę zmarłą, tłumaczymy, czym jest stężenie pośmiertne, czym są plamy opadowe. To nie koniec relacji, śmierć nie przerywa przecież miłości* – dodaje nasza rozmówczyni.

Dwie generacje wstecz ludzie wiedzieli, co w takiej sytuacji robić, a czego nie. Dlaczego my nie wiemy? Franczak, działając jako „doula końca życia", podczas warsztatów zwraca uwagę, że nieodpowiednie zachowania podczas umierania – takie jak próby zmuszania do jedzenia czy wyrażanie żalu typu: „Nie zostawiaj mnie" – mogą komplikować żałobę. Tymczasem rodziny nie powinny mieć wyrzutów sumienia, gdy ich bliski umrze w momencie, kiedy ktoś akurat opuścił pokój, bo to się często zdarza – jakby odchodzący wybierali moment, kiedy są sami. Takie sytuacje nie powinny wzbudzać poczucia winy.

Anja Franczak opowiada o kobiecie, której mąż niedawno zmarł w szpitalu, skąd zakład pogrzebowy przewiózł go do... ich dawnego domu: – *Spełniła jego życzenie. Przez 24 godziny trumna stała w pokoju, 30 osób ją malowało, był płacz, śmiech, wspólny posiłek. Większa przestrzeń na emocje niż w szpitalnej kostnicy.*

Najbardziej ją zdumiewa, że pielęgniarki i lekarze, szkoleni latami w ratowaniu życia, często nie mają wystarczającej wiedzy o procesie umierania – i szukają tej wiedzy na warsztatach. – *Na początku nie wiedziałam, co mam im mówić, skoro przez lata studiowali medycynę. A oni chcieli wykładu o tym, jak towarzyszyć osobie umierającej, jak patrzeć na proces umierania w inny sposób* – mówi Franczak.

– *W naszym kształceniu prawie nie ma tematu śmierci, wszystko koncentruje się na tym, co zrobić, żeby człowiek nie umarł* – przyznaje doktor Agata Malenda. A ponieważ system edukacji lekarzy pomija niemal całkowicie przygotowanie do opieki nad pacjentami w stanie terminalnym, nie każdy lekarz potrafi nawet jednoznacznie stwierdzić zgon. – *Młody medyk, który jedzie na pierwszą wizytę domową i staje przed ciałem pacjenta, często nie ma pewności, jak to potwierdzić. To duża odpowiedzialność.* Doktor przywołuje sytuacje, w których można zbyt pochopnie uznać pacjenta za zmarłego z powodu nieregularnego, agonalnego oddechu z bezdechami, trwającego – bywa i tak – nieraz godzinami.

Niewystarczająca wiedza medyczna komplikuje praktykę, stawiając rodziny w trudnej sytuacji, gdy szukają lekarza, który wystawi kartę zgonu – dokument niezbędny do formalności pogrzebowych. Jeśli pacjent nie był pod opieką hospicjum, gdzie personel dyżuruje przez całą dobę, a lekarz rodzinny jest niedostępny, bo np. pacjent zmarł daleko od miejsca zamieszkania, zaczynają się przepychanki. To tylko potęguje chaos i poczucie osamotnienia bliskich w obliczu biurokratycznych procedur.

Dla Anji Franczak to edukacja jest więc kluczem do zmiany kulturowego podejścia do śmierci: – *Nie chodzi o to, że śmierć przestanie być smutna czy trudna. Ona zawsze taka będzie. Ale chciałabym obniżyć poziom lęku i wprowadzić więcej spokoju.*

Kiedy w domu gaśnie światło, a ktoś po raz ostatni łapie oddech, przestrzeń nie pustoszeje – wypełnia ją obecność tych, którzy zostali. Powietrze staje się gęste od znaczeń, a zwykłe rzeczy zamieniają się w relikwie. I może właśnie o to chodzi w decyzji, gdzie umrzeć: nie o adres, ale o ludzi. Monika Stasiak, zapytana o to, gdzie chciałaby umrzeć, odpowiada bez wahania: – *Na pewno wśród bliskich. Bo dom to nie tylko przestrzeń, lecz przede wszystkim relacja.*

PAWEŁ WALEWSKI

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie materiały, które ukazały się dotychczas w ramach cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Tam znajdą Państwo również nasz specjalny poradnik, jak opiekować się osobami starszymi, niesamodzielnymi i chorymi w domu.
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi opiniami i doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**



eprasa.pl 11d96193c5



Ciurka Wisła, ciurka

ADAM GRZESZAK

Wiśle ubywa wody, za to przybywa obowiązków. Musi dać wodę pitną, odebrać ścieki, zapewnić wodę dla przemysłu, energetyki i rolnictwa, piasek dla budownictwa. I jeszcze oferować relaks wodniakom, ryby wędkarzom, a faunie i florze naturalny ekosystem. Tak się nie da.

Tak niskich stanów wody w Wiśle jak tego lata nie notowano od czasów, kiedy prowadzone są pomiary, czyli od 1797 r. Mogli to najlepiej dostrzec mieszkańcy Warszawy ze względu na szczególne ukształtowanie doliny środkowej Wisły. Królowa polskich rzek przypominała wielką wysychającą rzekę okresową. Sporą część koryta wypełniały ławice piaskowe, między którymi płynęły wąskie strumienie. Kolejne sierpniowe pomiary ustanawiały rekordy wszech czasów. Wodowskaz Warszawa Bulwary najpierw wskazywał 9 cm, by pod koniec miesiąca zjechać do 6 cm. Hydrolodzy uprzedzali jednak, że nie oznacza to, że Wisłę można przejść w kaloszach, bo wodowskaz nie mierzy poziomu od dna, a od umownego poziomu zero. Nawet przy bardzo niskich stanach wody przez Warszawę przepływa ok. 151 m sześc. na sekundę, więc są miejsca, gdzie pofałdowania dna kryją głębsze odcinki.

Mija już kolejny rok suszy hydrologicznej, najbardziej widocznego objawu zmian klimatycznych. Po suchym lecie nadeszła sucha jesień, a po niej zapewne czeka nas kolejna bezśnieżna zima. Nawet incydenty z deszczami nawalnymi poprawiły sytuację tylko nieznacznie. Wciąż na dużej części jej przebiegu – a jest najdłuższą polską rzeką – notowane są stany niskie. Polska ma jedne z najniższych odnawialnych zasobów wodnych w Europie.

Hydrozagadki

Dolegliwie odczuwa to szczególnie energetyka, która korzysta z wiślanej wody do chłodzenia instalacji w elektrowniach i elektrociepłowniach. Dlatego Orlen Termika, właściciel elektrociepłowni warszawskich, podjął decyzję o budowie progu spiętrzającego na Wiśle koło EC Siekierki. To największa elektrociepłownia w Unii Europejskiej, zaopatrująca w ciepło ponad połowę mieszkańców Warszawy, a przy okazji również w energię elektryczną. Termika prowadzi przygotowania do budowy na Siekierkach nowego wielkiego bloku gazowo-parowego o mocy 500 MW, by eliminować węgiel z zestawu używanych paliw. Dlatego już dziś w jednym ze starych bloków wykorzystuje też biomasę, w pozostałych wciąż jeszcze węgiel.

Jednak zarówno stare, jak i nowe instalacje wymagają chłodzenia. Woda pobierana jest z pobliskiej Wisły, a potem do niej odprowadzana, ale już sporo cieplejsza. Ryby, o ile takie w rzece się uchowały, jakoś manewrują, ale dla dryfującego narybku

eprasa.pl 11d96193c5

i ichtioplanktonu taka gorąca kąpiel bywa zabójcza, bo dopuszczalny limit zrzucanej wody to 35 st. C. Przy wysokim stanie Wisły natura jeszcze sobie radzi, ale przy niskim to poważny problem zarówno dla elektrociepłowni, jak i dla rzeki. Dlatego Termika chce wodę nieco spiętrzyć, by zapewnić sobie łatwiejszy do niej dostęp. I o to dziś w Warszawie toczy się spór.

– *To może mieć katastrofalne skutki dla ekosystemu Wisły* – ostrzega Jan Mencwel, aktywista miejski, warszawski radny ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze (MJN), autor książki „Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać" o tym, jak nieodpowiedzialnie gospodarujemy wodą, prowadząc do pustynnienia Polski. Miasto Jest Nasze wspólnie z Lewicą uczestniczą w koalicji w stołecznym samorządzie i domagają się, by elektrociepłownia zrezygnowała z chłodzenia instalacji wodą z Wisły oraz przegradzania rzeki progiem. Wspierają ich w tym działacze ekologiczni z Towarzystwa na rzecz Ziemi oraz Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. – *Nie rozumiem, dlaczego Orlen, w końcu najbogatsza polska spółka, nie może przejść na chłodzenie w systemie zamkniętym, bez konieczności pobierania i zrzucania wody do Wisły* – przekonuje Mencwel.

Wisła dla ochłody

Chłodzenie w systemie otwartym poprzez wykorzystanie wody z rzeki jest najtańszą i najwygodniejszą metodą, dlatego najczęściej stosowaną w elektrociepłowniach, nie tylko polskich, ale i zagranicznych. – *System zamknięty jest droższy i wymaga budowy potężnych chłodni kominowych, z czym na Siekierkach byłby kłopot* – wyjaśnia Andrzej Rubczyński, dyrektor ds. strategii ciepłownictwa w Forum Energii. Chłodnia kominowa to olbrzymia cylindryczna budowla zwężająca się ku górze, jakie widuje się przy elektrowniach położonych z dala od rzek i jezior. Gorąca woda jest tłoczona na szczyt takiego komina i tam wewnątrz rozpylana, by krople, spadając do zbiornika na dole, zostały ochłodzone przez powietrze płynące ku górze.

Jest jeszcze trzecia opcja, czyli chłodzenie mechaniczne za pomocą wielkich wentylatorów. – *To system rzadko stosowany, bo nieefektywny energetycznie i ze względu na głośną pracę uciążliwy dla okolicznych mieszkańców* – wyjaśnia dyr. Rubczyński.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska podejmowało w sprawie Siekierek rozmowy z Orlenem Termiką. – *To było wkrótce po objęciu stanowiska prezesa Termiki przez Michała Olszewskiego. Obiecał, że przeanalizuje sprawę budowy progu i przejście Siekierek na chłodzenie w systemie zamkniętym* – wyjaśnia Urszula Zielińska, wiceministra klimatu i środowiska, posłanka Zielonych. Ubolewa, że po niedawnej rekonstrukcji rządu odebrano jej kompetencje w sprawach ciepłownictwa, więc może działać tylko w trybie interwencji poselskich. Wszyscy liczyli jednak, że Michał Olszewski, do niedawna wiceprezydent Warszawy, będzie miał więcej zrozumienia dla Wisły. Ale chyba się przeliczyli.

Na razie Termika tłumaczy, że musi wybudować próg spiętrzający, bo lustro wody w Wiśle systematycznie opada na skutek erozji dna. Dzieje się tak nieprzypadkowo: powyżej Siekierek na terenie Mokotowa i Wilanowa trwa intensywne wydobycie piasku i żwiru z dna Wisły. – *W Warszawie działa pięć kopalni, które wydobywają z Wisły ponad milion ton piasku rocznie. Rzeka nanosi wprawdzie osad, ale nie w takim tempie, w jakim prowadzone jest wydobycie. Eksperci oceniają, że pobór piasku odpowiedzialny jest aż za 60–70 proc. erozji dna* – wyjaśnia Mencwel.

Dlatego radni MJN apelują do prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, by nie wydawał pozytywnej opinii środowiskowej dla kopalni wiślanego piasku niszczących rzekę. Miasto wyjaśnia, że niewiele w tej sprawie może, bo za Wisłę odpowiada państwowa spółka Wody Polskie. Ta zaś jest zainteresowana wydobyciem, bo prywatne firmy eksploatujące piasek uwalniają ją od konieczności utrzymywania na rzece pogłębiarek. – *Tłumaczą nam, że wydobycie jest konieczne, bo piasek i żwir to surowce o znaczeniu strategicznym* – wyjaśnia ministra Zielińska. W Warszawie sporo się buduje, więc piasek i żwir idą jak woda.

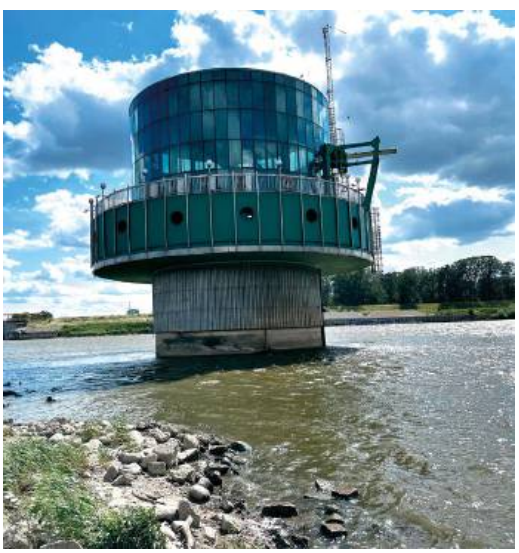

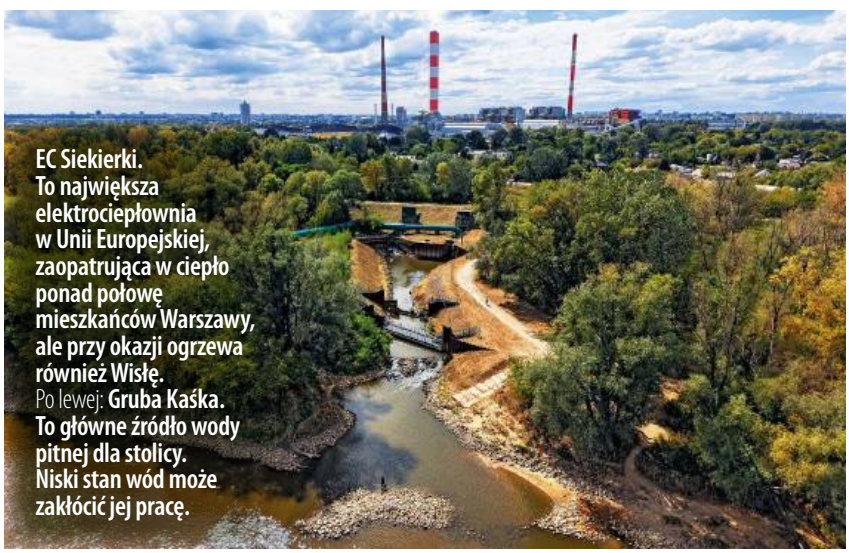

EC Siekierki. To największa elektrociepłownia w Unii Europejskiej, zaopatrująca w ciepło ponad połowę mieszkańców Warszawy, ale przy okazji ogrzewa również Wisłę. Po lewej: **Gruba Kaśka. To główne źródło wody pitnej dla stolicy. Niski stan wód może zakłócić jej pracę.**

© LESZEK ZYCH, STACH ANTKOWIAK/REPORTER, MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Próg to nie zapora

„Każdy próg, jak i większa zapora, wywołuje wzmożoną erozję na odcinku poniżej. Obniża poziom wody, zwiększa drenaż, często na odcinku dziesiątków kilometrów. W końcu ta erozja ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ wywołana obecnością progu zaczyna zagrażać podmyciem samego progu" ostrzega na swoim profilu FB hydrolog i hydrogeolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Bartłomiej Rzonca i apeluje „nie tędy droga".

– *Pobór wody jest zmienny ze względu na specyfikę pracy elektrociepłowni, która w przeważającej części roku produkuje ciepło dla Warszawy i wówczas pobór wody jest minimalny. Sytuacja zmienia się od późnej wiosny do jesieni, kiedy spada zapotrzebowanie na ciepło. Wówczas zakład potrzebuje większej ilości wody do chłodzenia* – wyjaśnia dyrektor Bartosz Milczarczyk z Orlen Termika.

To większe zapotrzebowanie na wodę latem wynika z tego, że wtedy elektrociepłownia nie musi grzać miasta, ale produkuje energię elektryczną, więc ciepło zamiast do rur sieci ciepłowniczej trzeba zrzucać do rzeki. Wtedy wody w Wiśle bywa mało i już na wejściu może być ciepła, co dodatkowo komplikuje sytuację energetykom, a dla rzecznej fauny i flory jest zabójcze. – *We wrześniu 2025 r. zapotrzebowanie EC Siekierki wynosiło 1,6 m sześc. na sekundę* (czyli 138,2 tys. m sześc. na dobę). *Średni pobór wody przez EC Siekierki wynosi poniżej 1,5 proc. przepływu Wisły* – uspokaja dyr. Milczarczyk, przekonując, że Termika nie chce budować zapory, a jedynie próg, i to nie na całej szerokości rzeki, który zresztą nie powinien nawet wystawać ponad lustro wody.

Nie gotujcie nam Wisły

Na obszarach o poważnym niedoborze wody działa dziś w Polsce łącznie 15 spośród 22 tradycyjnych elektrowni i elektrociepłowni termicznych korzystających z otwartego systemu chłodzenia. Tu też zlokalizowano połowę spośród 10 planowanych w Polsce elektrowni gazowych, z czego co najmniej trzy (Dolna Odra, Rybnik, Kozienice) mają nadal korzystać z otwartego systemu chłodzącego – alarmują autorzy raportu „Elektrownie gazowe i węglowe w kryzysie wodnym". Najbardziej wodochłonnymi jednostkami w kraju są dziś: Rybnik, Siekierki, Żerań, Stalowa Wola i Ostrołęka B. Z tej piątki dwie – Siekierki i Żerań – to wielkie stołeczne elektrociepłownie Orlenu, co mocno bije w Wisłę na odcinku warszawskim. Dopiero kilkadziesiąt kilometrów poniżej rzeka zostaje zasilona wodami Narwi i Bugu, co trochę poprawia jej kondycję. Zalew Zegrzyński gromadzący wodę Bugu oraz Narwi, która wcześniej ochłodziła elektrownię Ostrołęka B, jest drugim źródłem wody pitnej dla Warszawy.

Dwie elektrownie należące do Enei – Połaniec i Kozienice – już zbudowały sobie progi piętrzące na Wiśle. W Połańcu jest to próg pneumatyczny zwany balonem, pompowany w okresie niskiej wody i przegradzający całą rzekę. Nieodległa elektrownia w Kozienicach wybudowała na rzece próg tymczasowy i choć koalicja organizacji ekologicznych bije na alarm i organizuje akcje „Nie gotujcie Wisły", elektrownia nie zamierza z niego rezygnować. – *Będzie użytkowany tak długo, jak długo będziemy wykorzystywać stare bloki węglowe w Kozienicach. Ale nowy największy blok 1000 MW chłodzony jest już w układzie zamkniętym* – tłumaczy prezes Enei Grzegorz Kinelski.

– *Niskie przepływy na Wiśle to wypadkowa m.in. suchych okresów i szybkiego odprowadzania wód opadowych. W takiej sytuacji każde dodatkowe odprowadzenie wody z koryta potęguje problem, zwiększając ryzyko pojawienia się ekstremalnie wysokich stężeń zanieczyszczeń, ograniczając żeglugę, degradując ekosystemy* – wyjaśnia Amadeusz Walczak, konsultant ds. ochrony środowiska w firmie Multiconsult Polska.

Aktywiści miejscy przekonują, że Warszawa igra z ogniem, bo tuż poniżej Siekierek na środku nurtu Wisły stoi Gruba Kaśka. To główne źródło wody pitnej dla stolicy. Woda z rzeki przesączająca się przez dno, kilka metrów poniżej jest odbierana przez sieć drenów i pompowana do jednej ze stacji uzdatniania wody Wodociągów Warszawskich. – *Erozja dna poniżej siekierkowskiego progu ograniczy zdolności do samooczyszczania się rzeki, bo będzie mniejszy transport piasku, a to wpłynie na jakość wody pitnej* – ostrzega Jan Mencwel. A już dziś jakość wody jest zła. Wprawdzie nadwiślańskie miasta doczekały się oczyszczalni ścieków, ale przemysł i rolnictwo robią swoje. Przybywa też nowych zanieczyszczeń, w tym związków endokrynnych czynnych (EDC – niektóre farmaceutyki, pestycydy, plastyfikatory), a także innych mikrozanieczyszczeń organicznych.

Wie coś o tym Kraków, który podobnie jak Warszawa korzysta z Wisły jako źródła wody pitnej. Problem jest tylko taki, że woda pod Wawelem jest słona jak Bałtyk (7 promili), a czasem bardziej, podobnie jak Morze Śródziemne (39 promili). Dlatego krakowskie wodociągi muszą mieszać wodę wiślaną z czystszą wodą z rzeki Sanki, a czasem korzystać tylko z tej drugiej.

Powód jest prosty: śląskie kopalnie zrzucają zasolone wody do Wisły i do Odry. Zakwity alg i śnięte ryby są tego dowodem. Dlaczego woda nie jest odsalana? Bo odsalanie jest kosztowne, a za zrzut zanieczyszczeń płaci się niewiele, o ile w ogóle zostanie się na tym przyłapanym – stwierdzili niedawno kontrolerzy NIK. – *Przygotowujemy pilotażowy projekt odsalania wód kopalnianych. Rada Ministrów już go zaakceptowała. Przeznaczono na ten cel 5 mld zł* – wyjaśnia ministra Zielińska.

Rzeka pomysłów

Im mniej wody w Wiśle, tym więcej pomysłów, co z nią robić. Rząd PiS miał ich szczególnie wiele. Marzyła mu się kaskada Dolnej Wisły i budowa szeregu zapór na rzece. Mówiono o żegludze barek towarowych, tak by ukochany port prezesa Kaczyńskiego w Elblągu, dla którego doprowadził do powstania przekopu Mierzei Wiślanej, zyskał racjonalność ekonomiczną. Był nawet pomysł budowy kanału łączącego Wisłę z Bugiem w rejonie Terespola i otwarcia drogi wodnej Bałtyk–Morze Czarne.

Do dziś nie zarzucono pomysłu budowy zapory (zwanej czasem progiem) na Wiśle w Siarzewie koło Ciechocinka. Ostatnio pojawił się projekt „Woda dla Kujaw i Wielkopolski", zakładający, by wodę z Wisły rurociągami pompować ku centralnej części Kujaw. Chodzi o to, by wspierać tamtejsze rolnictwo zmagające się z suszą, a także by gromadzić wodę w rejonie Konina, bo jeśli ma tam powstać druga elektrownia jądrowa, to potrzeba będzie dużo wody do jej chłodzenia. Przedstawiciele nauk przyrodniczych, ekolodzy i obrońcy środowiska protestują przeciwko rabunkowej gospodarce Wisły. – *Coraz więcej analiz wskazuje, że skuteczniejszą i tańszą w eksploatacji adaptacją są rozwiązania oparte na naturze, jak renaturyzacja rzek, odtwarzanie terenów zalewowych i mokradeł czy rozproszona retencja w zlewniach. Potrzebny jest zwrot w polityce wodnej* – przekonuje Walczak.

Dlatego być może warta jest rozważenia inicjatywa fundacji Biznes dla Klimatu nadania Wiśle osobowości prawnej. „Oznacza to, że rzeka mogłaby być reprezentowana przez specjalną jednostkę zarządzającą, która dbałaby o jej interesy i podejmowała decyzje w jej imieniu" – wyjaśniają autorzy. W Kanadzie, Indiach, Nowej Zelandii rzeki już zyskały osobowość prawną. Może czas na Wisłę?

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 11d96193c5

Wykończony pod klucz

MARCIN PIĄTEK

Michał Sapota chciał być największym deweloperem w Polsce. Ale w złotych dla tej branży czasach jego spółce grozi upadłość, a on sam trafił do aresztu, zostawiając na lodzie tysiące poszkodowanych.



© MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

Swoje 50. urodziny Michał Sapota, większościowy udziałowiec grupy dewelopersko-inwestycyjnej HRE Investments, spędził za kratkami. W połowie września został aresztowany na trzy miesiące, a łódzka prokuratura okręgowa zarzuca mu oszustwo wielkich rozmiarów. Poszkodowani dzielą się na dwie grupy. Straty nabywców mieszkań, którzy wpłacili zaliczki, ale do dziś nie odebrali kluczy, prokuratura podsumowała na 40 mln zł, ale przesłuchała tylko niewielką część niedoszłych właścicieli. Z kolei straty inwestorów indywidualnych, którzy kupowali udziały w spółkach celowych, oszacowano na 143 mln zł. Z informacji POLITYKI wynika, że od „ciułaczy" udało się Sapocie pozyskać prawie 1,5 mld zł, z czego niemal 1 mld nie wrócił do właścicieli.

Strona internetowa spółki deweloperskiej HREIT wciąż działa i informuje, że u podstaw firmy leżą „jakość i sumienność". Dotychczas udało jej się zrealizować dziewięć inwestycji, kilka oddała w tym roku, chcąc zadać kłam pogłoskom, że nie buduje i czeka ją upadłość. Sąd wyznaczył jednak zarządcę przymusowego, a z jego raportu wynika, że jeśli chodzi o ok. 30 pozostałych inwestycji przypisywanych HREIT, to w większości przypadków na budowie nic się nie dzieje, prace przerwano na bardzo wstępnym etapie albo w ogóle ich nie rozpoczęto.

Poszedł w cyferki

Sapota bardzo starał się być postrzegany w branży jako oryginał. Długie, rozrzucone w nieładzie włosy, gęsta broda sięgająca klatki piersiowej, niekiedy zapleciona w warkocz. Dżinsy, tenisówki, T-shirt. W mowie krótki, zwięzły i po żołniersku dosadny. Michał Cebula, były wspólnik w HRE Investments:

– *Poznaliśmy się, gdy był prezesem Murapolu, a ja załatwiałem firmie finansowanie. Umówiłem spotkanie w Warszawie z zarządem dużego banku, mieli klepnąć kredyt. Sapota spóźnia się jakieś 40 minut, telefonu nie odbiera. Ważni panowie w garniturach wiercą się na miejscach, gdy nagle Sapota wchodzi i rzuca: „Sorry, kurwa, pociąg się spóźnił, ale nie ma tego złego, bo jebnąłem dwa piwka". Wszystkich zamurowało, ale gdy przeszedł do rzeczy i przedstawił swój deweloperski biznesplan, byli pod wrażeniem. Kredyt przyznano.*

Ukończył pedagogikę w częstochowskiej Akademii Jana Długosza, ale nie pracował w zawodzie. Poszedł w cyferki – od księgowego do dyrektora finansowego. W 2010 r. trafił do deweloperskiej spółki Murapol. – *Michał Dziuda, jeden ze współwłaścicieli, chciał* ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ *wypłynąć na szersze wody i potrzebował kogoś, kto pomoże mu zoptymalizować biznes. Ponoć złapał z Sapotą wspólny język, bo ten potrafi być frapującym rozmówcą: bystry, inteligentny, o szerokich horyzontach* – opowiada Artur od lat działający w branży deweloperskiej.

Sapota powtarzał, że deweloperka to biznes nie budowlany, ale inwestycyjny, do zarządzania nim trzeba finansistów, a nie inżynierów. – *Aby zmniejszyć uzależnienie od kredytów, Murapol oferował obligacje w ofercie publicznej i prywatnej z myślą o konkretnej inwestycji. Sprzedawali je pośrednicy finansowi i biura maklerskie, co uwiarygadniało produkt. Z czasem Murapol zaczął robić to w większej skali, dla funduszy inwestycyjnych. Gdy miał nadwyżkę finansową, przerzucał ją na inny projekt. A ambicją Sapoty było stworzyć z Murapolu największego dewelopera w Polsce* – opowiada były pracownik HRE.

Domy na wtopach

W 2016 r., gdy Sapota awansował już na prezesa spółki, Murapol sprzedawał rocznie najwięcej mieszkań w Polsce (niemal 4 tys.). Pomogły w tym inne patenty: kupno tanich działek na obrzeżach miast, realizowanie inwestycji – od projektowania do generalnego wykonawstwa – własnymi siłami i standaryzacja procesu. – *Klatka schodowa? Był schemat kopiuj-wklej. Budowali niższe mieszkania i nie tynkowali sufitów. A jak sprzedajesz 4 tys. mieszkań o powierzchni średnio 40 m kw. każde, to robi się z tego konkretna oszczędność. Nie inwestowali w marketing, mieli swojego pośrednika kredytowego. Tak wyśrubowali najwyższą marżę w Polsce, grubo powyżej 20 proc.* – opowiada Artur.

Jednak dobra passa nie trwała długo. – *Michał zaliczył dwie poważnie wtopy: Murapol kupił pokaźne pakiety akcji funduszu inwestycyjnego Skarbiec, a potem Polnordu, upadającego dewelopera, z myślą o tym, by przejąć jego bank ziemi. Ale w końcu pozbył się tych udziałów, na obu transakcjach stracił ponad 16 mln zł. Poza tym Sapota mocno cisnął, by Murapol przejął Widzew Łódź. Firma zainwestowała w klub 1,5 mln zł, ale w końcu właściciele uznali, że futbol to zbyt nieprzewidywalny i ryzykowny biznes. Wycofali się. Sapota był wściekły* – opowiada były pracownik Murapolu.

Sapota najpierw stracił funkcję prezesa Murapolu, a w 2018 r. odszedł z rady nadzorczej, ale nie miał zamiaru pozostawać na aucie. Michał Cebula: – *W połowie 2018 r. zaproponował mi udział w nowym projekcie. Ja pozyskuję finansowanie, a on bierze na siebie budowę i sprzedaż mieszkań. Miał renomę szalonego wizjonera, nieomal guru deweloperki. Oczarował mnie tak bardzo, że powierzyłem mu pełną kontrolę nad finansami firmy i podejmowanie strategicznych decyzji. To był błąd mojego życia.*

Tak powstało HRE Investments i jego najważniejsza spółka zależna HREIT, odpowiedzialna za deweloperkę, jednoosobowo dowodzona przez Sapotę. Inwestorzy indywidualni otrzymywali udziały w spółce celowej powołanej na potrzeby konkretnej budowy. Co kwartał inkasowali odsetki, wyższe niż na bankowej lokacie, a po wygaśnięciu umowy (średnio po dwóch latach) mogli wycofać kapitał. – *Jakieś 70 proc. klientów zostawało. Odsetki dostawali na czas, mieszkania się budowały i sprzedawały, najlepsi doradcy odcinali milionowe prowizje. Kręciło się aż miło* – mówi jeden z byłych doradców.

Sapota węszył za okazjami, przez co rozumiał przejmowanie mniejszych deweloperów mających już bank ziemi i prawomocne pozwolenia na budowę. Jesienią 2018 r. HRE przejął kontrolny pakiet udziałów BDC, dewelopera z Nowego Dworu Mazowieckiego, który potrzebował dokapitalizowania. – *Zyskaliśmy perspektywę szybkiego wybudowania 1,5 tys. mieszkań rocznie, co od razu windowało HREIT do ścisłej czołówki deweloperów w kraju. O Sapocie pisano „rekin deweloperki". Bardzo mu się to podobało* – opowiada eksdoradca.

Stracisz, ale zarobisz

Lata 2018–20 to były dla HRE żniwa. Nawet pandemia nie zepsuła nastrojów, bo Sapota przeczuwał, że ludzie zmuszeni do zdalnej pracy i nauki poczują głód większej przestrzeni życiowej. Zadłużą się, ale ruszą na zakupy, tym bardziej że eksperci (także ci z HREIT) wieszczyli dalszy wzrost cen. I się nie pomylili. Jeszcze przed pandemią, pod koniec 2019 r., HRE nabyło kontrolny pakiet Baumatu, bydgoskiego producenta betonowych prefabrykatów. Właściciel Janusz Kuzman uległ argumentom Sapoty, że wprawdzie traci kontrolę nad firmą, ale na tym zarobi, bo razem będą produkować na potrzeby HREIT kilka razy więcej niż dotychczas.

Pierwsze zgrzyty pojawiły się w 2020 r., bo Sapota nie nadążał za własnymi napiętymi harmonogramami budów. Zapewniał jednak, że to chwilowe poślizgi i trzeba inwestować w rozbudowę zakładu. Kuzman wystąpił o unijne dofinansowanie na ten cel. Potrzebny był wkład własny – 3 mln zł. – *Sapota nie był w stanie tych pieniędzy wyłożyć, miał problem nawet z finansowaniem prostych zakupów za kilkanaście tysięcy złotych. W Baumacie zaczęto podejrzewać, że nowy właściciel nie ma pieniędzy i opowiada bajki. Ludzie z firmy przejechali się po budowach HREIT i niemal wszędzie zastali wykopy, fundamenty albo puste działki. Sapota tłumaczył, że to przejściowe problemy, że covid, wojna i tak dalej. Wcześniej udzielił Baumatowi pożyczki, która miała iść na rozwój, ale trzeba z niej było pokryć produkcję, pensje, rachunki i faktury dla dostawców materiałów. Za odebrany towar Sapota nie płacił i wystawiał firmie faktury za jakieś dziwne usługi* – opowiada osoba zorientowana w temacie.

I tak Baumat, działający od trzech dekad i zatrudniający w bydgoskiej fabryce niemal 80 osób, znalazł się na skraju upadłości. – *Ratunkiem byłaby produkcja dla innych odbiorców, ale Sapota nie zgodził się, a że kontrolował firmę, nie było pola manewru. Jeden z banków chciał iść na rękę i odnowić 1 mln zł kredytu w rachunku bieżącym firmy. Zwykle to była formalność. Prosili, by Sapota dostarczył im dokumenty. Obiecał, że to załatwi, ale słowa nie dotrzymał. Bank wypowiedział kredyt, a Kuzman musiał złożyć wniosek o upadłość. W niecałe trzy lata Sapota zniszczył mu firmę.* Janusz Kuzman odmówił oficjalnych wypowiedzi.

Michał Cebula: – *Już w 2021 r. Janusz Kuzman zwracał mi uwagę, że Sapota snuje niestworzone wizje, że zarezerwował sobie monopol na podejmowanie decyzji, choć słabo zna się na budowlance, a stanowiska dyrektorskie obsadził niekompetentnymi osobami. No i pojawił się drugi sygnał ostrzegawczy: kupiliśmy akcje dużego pośrednika sprzedaży mieszkań, Platformy Mieszkaniowej. Chcieli włączyć do oferty mieszkania HREIT. Pojechali na parę tygodni w Polskę sprawdzić, jak idą budowy. No i złapali się za głowy: inwestycje nie ruszyły z miejsca, a jeśli ruszyły, to nie było biura sprzedaży; jak było biuro, nie miało pracowników; a jak byli pracownicy, nie mieli materiałów i rysowali rzuty mieszkań na kartce. Po przedstawieniu tego raportu Sapota wpadł w szał i ostatecznie do współpracy nie doszło.*

eprasa.pl 11d96193c5



Łódź, jedna z niedokończonych inwestycji spółki HREIT. Prezes zawsze tłumaczył, że wykopy, fundamenty i puste działki to tylko przejściowe problemy.

Cebula odmówił podpisania nierzetelnych – jego zdaniem – rocznych sprawozdań finansowych, składał wnioski o poszerzenie zarządu, z mediów dowiedział się o postępowaniu wszczętym wobec HRE przez Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, które zakończyło się karą 12 mln zł za niewystarczające – zdaniem urzędu – poinformowanie klientów o ryzyku inwestycji. Kary otrzymali też obaj zarządzający: Cebula – 450 tys. zł, a Sapota – 950 tys. zł. Odwołali się, ostatecznej decyzji nie ma.

W końcu Cebula poszedł na otwartą konfrontację ze wspólnikiem: – *Na początku 2023 r. okazało się, że w kilkunastu projektach, które miały służyć jako zabezpieczenie udziałów wykupywanych przez inwestorów, nie ma gruntów. Inwestorzy myśleli, że nawet jeśli nie odzyskają pieniędzy, to są częściowymi właścicielami działki, a działkę się sprzeda. Tymczasem okazało się, że te spółki to wydmuszki. W lutym 2023 r. złożyłem do prokuratury zawiadomienie o wyrządzeniu przez Michała Sapotę oszustwa wielkich rozmiarów, zażądałem niezależnego audytu na temat stanu finansów firmy i zaprzestania pozyskiwania inwestorów.*

W firmie już huczało, że pieniądze od inwestorów są wyciągane pod puste spółki. Marta, jedna z łowców kapitału: – *Kierownictwo odmawiało nam wglądu w dokumenty. Do znudzenia powtarzali, że firma ma ogromny bank ziemi, a poślizgi na inwestycjach się zdarzają. W marcu 2024 r. odbyło się spotkanie, na którym prezes Sapota powiedział, że jeśli w firmie dojdzie do sanacji, to inwestorzy mogą nie odzyskać kasy i będą mieli do nas pretensje.*

Jednocześnie podano przepis na kłopoty. – *Aneksować umowy w celu wydłużenia terminów spłat odsetek i zwrotu kapitału. Oraz namawiać inwestorów na większe wpłaty, mówiąc, że tylko tak mogą pomóc firmie i w konsekwencji uratować swoje pieniądze. To było przegięcie. Odeszłam, ale wiele osób zostało. Z tego, co wiem, z premedytacją pozyskiwali kapitał aż do połowy 2024 r., tymczasem w lipcu Sapota złożył wniosek o przyspieszone postępowanie układowe* – opowiada Marta.

Rekin popłynął

Jakim cudem Sapota chciał zarabiać, spłacać inwestorów i przekazywać nabywcom mieszkania, skoro przestał budować i finalizować sprzedaż? Michał Cebula: – *Można było przywrócić płynność, sprzedając grunty, ale Sapota nie chciał się na to zgodzić.* Adam: – *Chciał zgromadzić największy bank ziemi w Polsce.* W firmie wiedziano, że powodem nagłych zniknięć prezesa Sapoty, jego przedłużających się nieobecności, uników, decyzji złych i jeszcze gorszych, jest poważny problem z nadużywaniem alkoholu.

Przed aresztowaniem mówił, że wieści o niewypłacalności to narracja Marcina Kubiczka, wyznaczonego przez sąd na zarządcę przymusowego, który przebiera nogami, by zostać syndykiem masy upadłościowej firmy. Jednak wiarygodność Sapoty jako deweloperskiego barona Münchhausena była wątpliwa. W księgach wieczystych nieruchomości, które figurują jako własność HREIT i spółek zależnych, roi się od wpisów na hipotekach na rzecz wierzycieli, którzy wystąpili do sądu o ustanowienie zabezpieczenia.

Prowadząca postępowanie przeciw Sapocie łódzka prokuratura okręgowa bada również wątek wyprowadzania majątku ze spółki. – *Odnotowaliśmy transfery znacznych kwot na rzecz kadry zarządzającej firmą HREIT. To co najmniej 16,5 mln zł. Sprawdzamy zasadność tych wypłat. Badamy też podpisywanie umów deweloperskich mieszkań przez bliskie współpracowniczki oskarżonego, głównie w czerwcu 2024 r., tuż przed złożeniem przez oskarżonego wniosku o przyspieszone postępowanie układowe. Rekordzistka nabyła ponad 30 mieszkań. Mamy też udokumentowane przypadki, w których grunt, mający stanowić zabezpieczenie inwestycji osób prywatnych, został zbyty bez ich wiedzy i zgody. A pewne osoby udzielające oskarżonemu pożyczek otrzymywały preferencyjne warunki zabezpieczenia na hipotece* – mówi nadzorujący postępowanie prokurator Paweł Wasiak. Według informacji POLITYKI tzw. współpracowniczki prezesa Sapoty „nabyły" 90 mieszkań.

Ludzie prezesa bronią eksprezesa

Na kłopotach Sapoty na razie najlepiej zarabiają adwokaci, np. zarzucając szerzenie mowy nienawiści, a nawet nawoływanie do przemocy, poszkodowanym inwestorom i nabywcom mieszkań, którzy dzielą się swoimi doświadczeniami w mediach społecznościowych. Jedna z wynajętych przez Sapotę kancelarii należy do obecnych posłów PiS Pawła Jabłońskiego i Krzysztofa Szczuckiego. Zwłaszcza Jabłońskiego w roli pełnomocnika niedoszłego rekina polskiej deweloperki jest frapująca. Powołuje się on na nieważność orzeczenia wyznaczającego zarządcę przymusowego HREIT, gdyż zostało wydane przez tzw. neosędziego. Jednocześnie na użytek swojej działalności politycznej Jabłoński nieraz twierdził, że neo-KRS jest w pełni legalna. W niedawnym, kolejnym już wniosku o przeprowadzenie sanacji (i ucieczkę spod upadłości) w HREIT poseł mecenas Jabłoński przywołał możliwość sprzedaży spółki, która nie dość, że nie należy do holdingu Sapoty, to jeszcze jest w upadłości. Nie sprawdził, czy chce wprowadzić sąd w błąd?

Marta, była doradczyni: – *HREIT stawiał mieszkania na miarę możliwości przeciętnego Polaka. Nie za duże, nie za drogie. Dla zdecydowanej większości klientów to miało być pierwsze wymarzone „M", posiłkowali się kredytem hipotecznym. Zostali na lodzie, a panowie posłowie z partii ludowej PiS wzięli w obronę tego, kto im zniszczył życie. Ciekawe.*

MARCIN PIĄTEK

Imiona rozmówców zostały na ich prośbę zmienione.

© TOMASZ STAŃCZAK/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 11d96193c5



Żołnierze muszą kryć się pod ziemią, na powierzchni rządzą drony

Wojna z piwnicy

Walka pod Kupiańskiem wygląda jak rozdział z dystopijnej powieści. Na powierzchni maszyny niosą śmierć i zniszczenie. A ludzie, by przeżyć, schodzą pod ziemię.

PAWEŁ RESZKA SPOD KUPIAŃSKA, FOTOGRAFIE TARAS IBRAGIMOV

Mały oddział zwiadowców – Orest, Rico i Cichy – ma przejść na lewy brzeg rzeki Oskil. Zadanie trochę szalone. Zazwyczaj rzekę przekracza się, pędząc dobrze opancerzonym samochodem. Ale dziś żaden samochód nie przejedzie, wszystkie przeprawy zbombardowane przez Rosjan. Trzeba będzie maszerować wąską kładką z duszą na ramieniu.

Przyczółek na lewym brzegu to jeden z najtrudniejszych odcinków frontu. Od wschodu, południa i północy są pozycje Rosjan. A od zachodu, za plecami, rzeka. Jeśli obrona się gdzieś posypie (najgorsza sytuacja jest na północy, pod Kupiańskiem), znajdą się w kotle. – *Trzeba zrobić wszystko, żeby utrzymać pozycję i się nie cofać* – mówi płk Wołodymyr Walczuk, dowódca oddziału Orion, brygady wojsk pogranicznych Pomsta.

Oskrzydlanie i niszczenie dróg zaopatrzenia to typowa taktyka Rosjan. – *Stoimy tu od pięciu miesięcy. Ataki na logistykę to codzienność* – dodaje płk Walczuk, zawodowy oficer Straży Granicznej, który od początku pełnoskalowej inwazji zdążył przekwalifikować się w dowódcę liniowego batalionu.

Tam

Mosty są zniszczone od dawna. Zastąpiły je prowizoryczne przeprawy. Saperzy odbudowują je z trudem każdego dnia, a Rosjanie każdego dnia bombardują. Ostatnia przetrwała 40 minut. Kiedy przeprawy nie działają, zaopatrzenie przewożone jest na drugi brzeg za pomocą pontonów albo zrzucają je drony. Ludzie mogą się przemknąć tylko małymi grupkami po kładkach.

Każdy oddział idący „tam” musi być zgłoszony do sztabu. Dostaje „okienko”, kiedy ma się pojawić w umówionym miejscu opodal rzeki. Łącznościowcy sprawdzają aktywność przeciwnika

eprasa.pl 11d96193c5





Piwnica, sztab oddziału Orion: zwiadowcy odpoczywają po akcji, sierżant Sławik „Barber" strzyże kolegę, pułkownik Walczuk na stanowisku dowodzenia

w powietrzu. Grupa osłaniająca obserwuje, czy na niebie nie pojawiły się drony.

Oddział czeka w ciszy. Skupieni, napięci. Ruszają, pochyleni, z bronią gotową do strzału. Mijają spalone, porwane odłamkami samochody, które nie dojechały do przeprawy. Połamane słupy, na których wisiały siatki zabezpieczające przed atakami dronów. Siatki są porwane, falują jak ogromne pajęczyny. Spłoszony bażant. Rico podrywa automat: – K..., myślałem, że dron.

Kładka. Pod nogami, głęboko w dole, wzburzony Oskil. Kilkanaście metrów marszu przeraża. Teren otwarty. Bombardowania regularne. Nie ma gdzie uciec. Jeszcze kilkaset metrów bez osłony. Między lejami po bombach. Mijają poskręcane od wybuchów i ognia resztki żelaznych konstrukcji. Kiedyś był tu most, linia kolejowa. Pierwsze zabudowania.

Wchodzą między garaże, wypalone bloki, przemykają przez podwórka. Place zabaw, sklepy, szkoły, linia kolejowa, dworzec. Jeszcze niedawno wszystko tętniło życiem. Teraz okolica jest martwa, otoczona cmentarną ciszą. Kupiańsk Uzłowoj – tu już nie ma ludzi. Na powierzchni zostały tylko watahy psów poszukujące jedzenia, zdziczałe koty. Żywią się, czym popadnie, często ludzkimi ciałami.

Podmiejski las to już tylko zbiór umarłych drzew – wypalone, wyrwane z korzeniami, połamane jak zapałki. Tu jest bezpieczniej. Można odetchnąć, pogadać.

Cichy, rocznik 92, idzie z wielkim plecakiem, w którym jest urządzenie zagłuszające drony. Plecak większy od Cichego. Koledzy żartują, że z niego dobry zwiadowca, bo łatwo kryje się w trawie. Ociera pot, opowiada, że jest spod Rawy Ruskiej, a to przecież przy granicy z Polską. Czyli jesteśmy sąsiadami. Dłuży mu się ta wojna, chciałby już do żony. Orest, dowódca oddziału mówi: – *Cichy niczego się nie boi*.

Orest jest majorem, szefem całego zwiadu batalionu. Teoretycznie nie musiałby wychodzić na akcję, bo ma od tego ludzi. Ale on cały jest wojną. Ma na koncie zwalczanie grup dywersyjnych, zasadzki na głębokich tyłach wroga. Pod Bachmutem bił się z wagnerowcami. Pod Fedoriwką osłaniał odwrót kolegów – mimo że był ranny, sam wydostał się z okrążenia. Dostał odznaczenie Obrońca Ojczyzny. Jak się to wszystko skończy, to najchętniej poszedłby na jakąś inną wojnę, może jako najemnik? To jego świat.

A Rico? Uśmiechnięty chłopak, który mówi gwarą z Zakarpacia. Rico chciałby być jak Orest.

Sztab

Zwiad dociera do punktu dowodzenia i obserwacji – to ich pierwszy przystanek. Ukryta kwatera dowództwa oddziału Orion. Podziemne serce obrony tego odcinka frontu.

Otoczenie niby wymarłe – ale to tylko pozory. Dookoła czaty pilnują, by nie zbliżył się przeciwnik. Na wzniesieniach czujki wyposażone w naboje śrutowe do strącania dronów. Przed wejściami ukryte kamery. Dookoła sztabu, w pewnym oddaleniu, oddziały bojowe: piechota, moździerze, a przede wszystkim operatorzy dronów. Oni też kryją się w piwnicach. To wiejskie komórki, gdzie przed wojną trzymano kartofle. Albo po prostu wykopane, wzmocnione bierwionami ziemianki.

Punkt dowodzenia to inna bajka. Wojsko miało czas się urządzić. Podłogi i ściany wyłożone dywanami i folią termoizolacyjną. Jest elektryczność i internet. Żołnierze śpią na pryczach w wydzielonych „pokojach". Jest kuchnia, stołówka i część wypoczynkowa – siłownia, sala, gdzie stoi skórzana kanapa i ekspres do kawy. Obok wielki telewizor plazmowy, do którego podłączona jest konsola do gry. Zwiadowcy lubią grać w UFC 4 – czyli biją się i łamią sobie nogi. Sztabowcy po służbie wolą piłkę nożną.

W jednym z pokojów działa nawet zakład fryzjerski. Strzyże tam Sława, ps. Barber, sierżant-łącznościowiec. Do wojny miał w centrum Kijowa popularny zakład, gdzie zajmował się stylizacją damskich fryzur. – *Jak mnie zmobilizowali, zapakowałem nożyczki i maszynki. Pomyślałem, że moje umiejętności pozwolą mi lepiej zasymilować się w armii* – mówi Sława. Armia jest z natury brutalna, a profesja Sławy to delikatność i dbanie o piękno.

Niektórzy żołnierze od tygodni nie byli na prawym brzegu rzeki, jak mówią, „na wielkiej ziemi". Tam w wioskach ciągle mieszkają cywile. Mój znajomy Anatolij np. ciągle trzyma tam pszczoły. Mówi, że miód tego roku jest dobry, bo pola niezasiane, dziczeją, więc pszczoły robią ten szlachetny, wielokwiatowy.

Obok mieszka Mikołaj: winogrona, jabłka, ogródek warzywny. Udaje, że jest dobrze, choć jakiś czas temu na jego podwórko zaleciał pocisk rakietowy od Uraganu. Saperzy powiedzieli, że niegroźny. – *Wylądował koło wygódki, żona akurat była w środku* – Mikołaj odpowiada to jak jakąś dobrą anegdotę.

Po wsiach „na wielkiej ziemi" ciągle działają sklepy. Prawda, że cywile giną regularnie od ostrzałów, ale życie ciągle się tam toczy. Do tego stopnia, że w Szewczenkowie można zjeść hot doga i wypić normalną kawę.

A po tej stronie rzeki nie ma już nic. – *Dlatego staram się, żeby siadając u mnie na fotelu, zapomnieli o wojnie chociaż na chwilę* – mówi Sława. A co jest najgorsze dla ciebie w tej wojnie? – pytam. – *Kiedyś, że chłopcy nie wracali. Jadłeś z kimś śniadanie, a wieczorem dowiadywałeś się, że zginął. Teraz najgorsze jest to, że się zaczynam do tego przyzwyczajać.*

Sława na „wielkiej ziemi" nie był od wielu tygodni. Co by chciał stamtąd? – *Coś słodkiego.* Musimy kończyć, bo w kolejce czeka Tolik. Chce przystrzyc wąsy. – *Wąseczki przepustka w majteczki* – żartuje po świńsku Sławik. Wie, że to armia i musi się dostosować. ▶

eprasa.pl 11d96193c5





O poranku zwiadowcy wychodzą na rozpoznanie, w kierunku pozycji przeciwnika. Po prawej: **miny po garażowej modyfikacji będą zrzucane z drona Wampir.**

▶ Wojna

Korytarz – pewnie każdy z żołnierzy zdążył policzyć setki razy, ile liczy kroków. W samym środku sztab. Centralnie – cztery wielkie monitory. Po lewej dwa mniejsze. Biurka, komputery, telefony i radiostacje. Płk Walczuk siedzi w białym biurowym fotelu. Niewysoki, kościsty, brodaty. Twarz jak z ikony – szczupła, pozbawiona koloru, jakby wyblakła od światła żarówek w podziemiu. Walczuk rzadko wychodzi na powierzchnię. Ma skłonność do ironii. W odróżnieniu od swoich zastępców mówi cicho, niemal szeptem. Ale nikt nie ma wątpliwości, kto tu dowodzi.

Z lewej zastępca, szef sztabu. Z prawej zastępca ds. artylerii. Oddział i cała brygada Pomsta wiele przeszła od 2022 r. Kiedyś byli pogranicznikami, czyli specjalistami od wstawiania pieczątek w paszporty. Teraz są już zupełnie kimś innym. Mają za sobą boje o Rubliżne, Kreminną, Łysyczańsk, Siewierodonieck, Popasną, Siewiersk, Bachmut. Każda z tych bitew to krew kolegów. Niewielu z pierwszego składu żyje do dziś. Swoją nazwę Pomsta brygada nosi nieprzypadkowo.

Przed monitorami oficerowie odpowiedzialni za koordynację pracy oddziałów stojących w polu. Łączność, wywiad. Niektórzy w klapkach, popijają kawę i energetyki. Miesiące spędzone pod ziemią wyleczyły wszystkich z formalnego dbania o dyscyplinę. Jeśli coś nie przeszkadza w służbie, nie przeszkadza też dowódcy. Sam Walczuk potrafi wpaść rano na punkt dowodzenia w klapkach i w bermudach.

Najważniejsze są monitory. Drony zwiadowcze wiszą nad odcinkiem frontu, za który odpowiada Orion. Na ekranach podzielonych na kilkanaście części widać obraz z każdego z nich. Położenie bezpilotowca, stan naładowania baterii. Stanowiska operatorów rozrzucone są po terenie zajmowanym przez Oriona. Dobrze ukryte, bo piloci są najważniejszym celem dla przeciwnika.

W sztabie każdy obraz z pola walki można wrzucić na cały monitor, przybliżyć albo oddalić. Można poprosić pilota, by zmienił pozycję, spojrzał na jakiś obiekt pod innym kątem.

– Pozycja 1 proszę okrążyć te drzewa ze wschodniej strony.

– Przyjąłem.

Komunikacja radiowa jest grzeczna – chyba że coś pójdzie nie tak. Wtedy mogą pojawić się bluzgi. Dowódcy są starsi od operatorów dronów o 20–30 lat. Mogliby być ich ojcami. Uczyli się wojny na klasycznych papierowych mapach, z ekierką i kątomierzem. Dziś ich świat przechodzi do lamusa.

– *Wie pan, co jest przerażające?* – zagadał mnie na stołówce stary oficer artylerii. – *Dzieciak trzyma w ręku pada. Steruje za jego pomocą dronem. Znajduje gdzieś w krzakach kacapa, który nawet nie wie, że zostały mu najwyżej dwie minuty życia. Wszystko jest nagrane i można to wrzucić do internetu. Czasem wydaje mi się, że dla nich ta wojna to trochę gra.*

Na ekranie widać coś podejrzanego. Powalone pnie drzew. Pod nimi dziwnie ułożone gałęzie, nie gałęzie... Leci kolejny dron zwiadowca. Wisi nad punktem. Podlatuje z lewa, z prawa. Obniżenie lotu, maksymalne zbliżenie. Chyba mamy mundur.

Przeciwnik

W sztabie trwa dyskusja:

– Pider czy gałęzie?

– Pider!

– Pozycja 1, proszę troszkę zmienić kąt, bardziej z prawej.

– Przyjąłem.

– Pozycja 2!

– Słucham!

– Proszę szykować drona FPV do startu.

– Przyjąłem.

FPV już leci do celu. Za chwilę zobaczymy, jak uderza w cel. Obraz zniknie. Skutki ataku widać z drona obserwacyjnego. Gdy opadnie kurz po wybuchu, zobaczymy „pidera" (bo tak mówi się o rosyjskich żołnierzach), który wyczołguje się spod gałęzi. Zakłada opaskę uciskową na nogę, żeby zatamować krew.

– Pozycja 1 proszę go pilnować.

– Przyjąłem.

Teraz nad cel poleci duży dron Wampir. Zrzuci kilka min moździerzowych i przeciwnik zostanie rozerwany na kawałki. Albo plastikowy baniak na wodę wypełniony napalmem – wtedy zostanie spalony. Śmierć zobaczymy na żywo.

Pidry – tak o Rosjanach mówi się najczęściej. Ale nierzadko pada też określenie „przeciwnik". Wojna trwa długo i obie strony znają się dobrze, dlatego dawno przestały się lekceważyć. Dlatego miny spadają na pełznącego pod gałęziami „przeciwnika". Ciało podrywa się jak w konwulsji i nieruchomieje. Drony rozpoznania co pół godziny będą robiły zbliżenie, żeby zobaczyć, czy trup ciągle tam leży.

– *Nie chcę, żeby pan myślał, że my się tutaj wyżywamy na martwym przeciwniku. Trzeba mieć pewność, że zginął, bo może podejść pod pozycje piechoty. Trzeba też sprawdzić, czy nic nie zostało z jego wyposażenia* – tłumaczy Ołeksandr Antoniuk, pierwszy zastępca dowódcy, szef sztabu. Trupy rosyjskich żołnierzy to magazyny amunicji, żywności i lekarstw dla ich towarzyszy, którzy idą za nimi.

eprasa.pl 11d96193c5





Start drona Wampir. Po prawej: **oddział majora Oresta zbliża się do przeprawy przez rzekę Oskil.**

Płk Walczuk mówi, że ciężkiego sprzętu Rosjanie nie użyli od dawna. Sporadycznie wykorzystują motocykle: – Przesączają się po dwóch–trzech w pobliże naszych pozycji. Zbierają się w grupki w określonych punktach. Gdy zbierze się ich więcej, przypuszczają szturm. Nasze zadanie to zniszczenie ich wcześniej. Dzięki dronom, technologii, możemy niwelować przewagę liczebną, którą ma przeciwnik.

Zdaniem Walczuka z czasem żołnierzy zastąpią roboty. Ale to przyszłość. Na razie Rosjanie idą w kierunku piwnicy. Bardzo powoli – czasem po kilka metrów na godzinę. Owinięci w płaszcze termoizolacyjne, zbierają się w kryjówkach – to często dziury pod drzewami, piwnice hangarów, groby na cmentarzu. Koczują tam tygodniami. Niektórzy są ranni, ale nie mają zgody na odwrót. Umierają z upływu krwi albo z wycieńczenia. Głodni – kiedy kończą się im zapasy, jedzą surowe ziarno. Zdarzają się przypadki kanibalizmu.

Ukraińcy podsłuchują komunikację radiową Rosjan, którzy się do nich zbliżają. Oto przykłady:

– S. jestem na miejscu.

– Przyjąłem, jesteście zuchy.

– Tutaj leży 200 (tj. ciało żołnierza – przyp. red.).

– Ten bez głowy?

– Tak, odbiór.

(...)

– Jeśli chodzi o jedzenie, to piz... zupełna. Jemy już tylko ziarno k... mać. Zaraz zmienimy się w kury.

Po pięciu miesiącach pole bitwy to dobrze znana mapa. Wiadomo, po jakich ścieżkach Rosjanie się poruszają, wiadomo, w jakich miejscach lubią się kryć. Wiadomo nawet, jakie pseudonimy mieli polegli i gdzie leżą ich niepochowane ciała.

Orest, Rico i Cichy mają sprawdzić, czy przeciwnik nie przedostał się w pobliże pozycji obrońców. Drony to drony, ale lepiej wszystko zobaczyć na miejscu – czy ciała leżą tam, gdzie leżały, czy nie ma min pułapek. Czasem trzeba – na wszelki wypadek – wrzucić granat do jakiejś nory.

Wyjdą o piątej nad ranem. Odwiedzą pozycje moździerzy i wysunięte posterunki piechoty – żeby chłopaków podtrzymać na duchu. Czyli o piątej? – upewnia się jeszcze raz kucharz. Bo warto, żeby przed wyjściem wypili chociaż kawę.

Noc przed świtem jest najciemniejsza. Zwiad wychodzi z piwnicy. Czujni, skoncentrowani. Nasłuchują. Rosyjskie drony to przekleństwo – tak samo jak ukraińskie, wiszą nad frontem i na jego zapleczu. Polują na każdego, kto nieostrożnie wysunie nos z kryjówki. Mołnie – paskudne, zrobione z aluminiowych prętów, sklejki i folii. Eleganckie FPV na światłowodzie – cienkiej żyłce, której na zewnątrz jest więcej niż pajęczyny w babie lato. Każdego dnia powodują straty po ukraińskiej stronie.

Zwiadowcy to wiedzą. Za chwilę poprawią plecaki i znikną w ciemności.

Śmierć

Był wybuch? Blisko? Nikt w piwnicy nawet się nie zatrzymał. Bo ciągle przecież coś wybucha. Miałem wrażenie, że tylko dowódca się wzdrygnął. Jakby coś przeczuwał. Po chwili zadzwonił telefon.

–...

– Który kierowca?

– ...

– 200 czy 300?

– ...

– Zrozumiałem.

„200 czy 300?" to pytanie „zabity czy ranny". Płk Walczuk na ułamek sekundy ukrył twarz w dłoniach i wszyscy zrozumieli, że „200".

Maks, koordynator dronów, odwrócił się do monitora, chciał się dowiedzieć więcej, ale widząc twarz dowódcy, zrezygnował. Nie chciał usłyszeć, że od tego ma monitory, by patrzeć k... w monitory. I że nie jest od zadawania pytań.

Bilans 24 godzin: ośmiu zabitych Rosjan, jeden Ukrainiec. To mało pocieszające dla Walczuka, który stracił człowieka. I to całkiem niedaleko stąd. Kierowca wysiadł z auta i nie zdążył przebiec do piwnicy. Po drodze zabił go rosyjski dron.

Wieczorem pytam pułkownika, co dla niego oznacza zwycięstwo. Zastanawia się chwilę. – *Dla mnie? Kiedy przestaną ginąć ludzie. I kiedy będę mógł się przejść po mieście i nie słyszeć syren alarmowych.*

***

Zwiad wrócił po 16 godzinach w polu. Kucharz zapytał co ciekawego. – *Nic* – powiedział sucho Orest i podszedł do Walczuka składać mu raport. Pułkownik dowiedział się, że przeprawa została uruchomiona. Nie będą więc musieli wracać pieszo przez kładkę. Jak tylko się ściemni, pojadą opancerzonym samochodem na drugi brzeg, na „wielką ziemię". W czarnym worku najpewniej wróci z nimi ten kierowca, który jest „dwieście".

PAWEŁ RESZKA, FOTOGRAFIE TARAS IBRAGIMOV

eprasa.pl 11d96193c5

Polska Niemca nie chce

W relacjach Warszawy z Berlinem wciąż panuje atmosfera wzajemnego rozczarowania, zawiedzionych nadziei i strategia uniku.

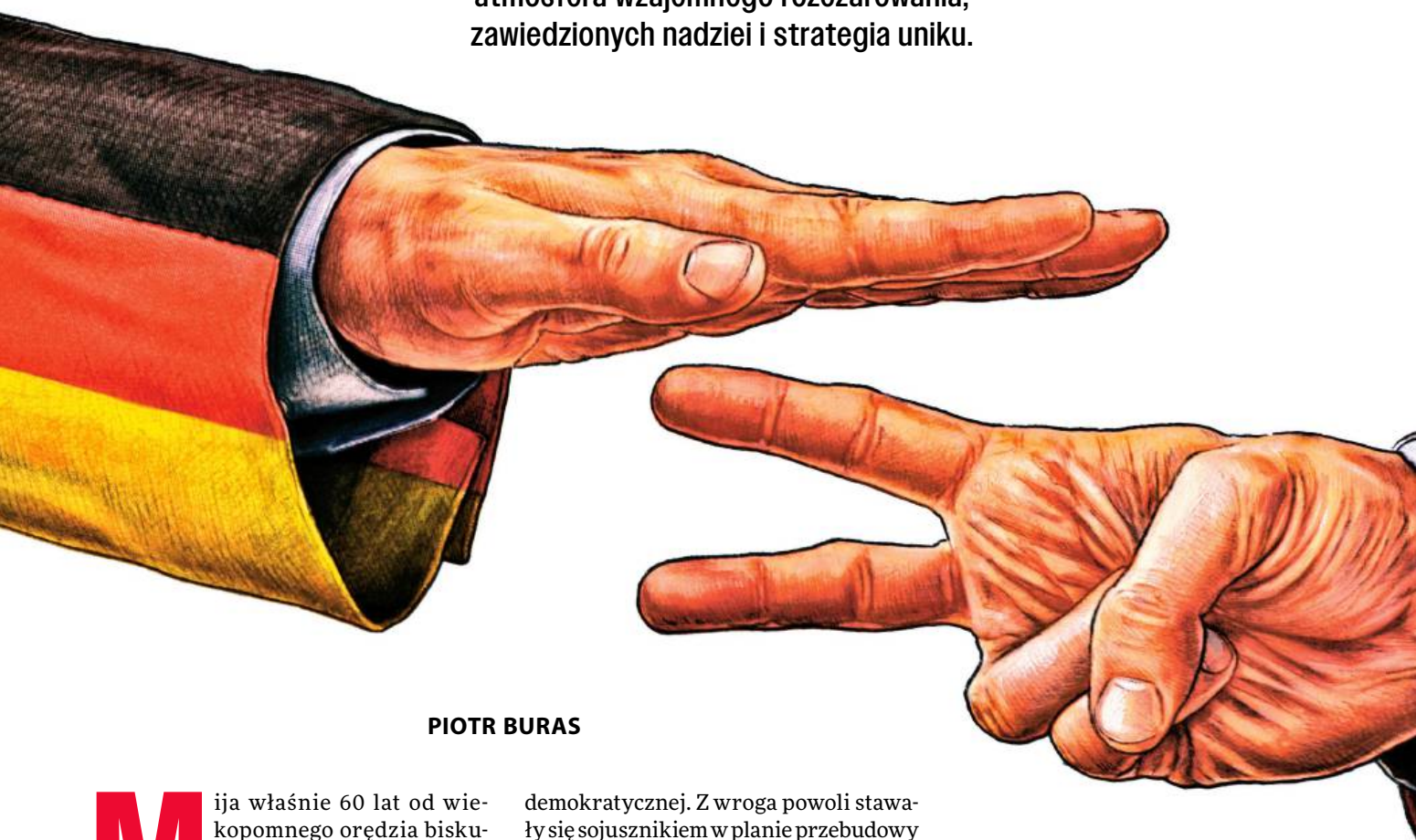

PIOTR BURAS

Mija właśnie 60 lat od wiekopomnego orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich. Ale pamięć o tym zdarzeniu jest już mocno przykurzona. Raptem dwie dekady po zakończeniu wojny włodarze polskiego Kościoła zaapelowali do Niemców o rozpoczęcie dialogu w duchu wzajemnego wybaczenia. Cel orędzia nie był religijny, lecz polityczny. Jak mówił jego inicjator bp Bolesław Kominek, chodziło o położenie „podstaw moralno-psychologicznych" pod przyszłe porozumienie z Niemcami i uznanie granic. A to z kolei miało osłabić komunistów, wytrącając im z ręki argument o zagrożeniu niemieckim, wykorzystywany wówczas w nacjonalistycznej propagandzie gomułkowskiego reżimu.

Orędzie zapoczątkowało zmianę w myśleniu o Niemczech (zachodnich), zwłaszcza w środowiskach opozycji demokratycznej. Z wroga powoli stawały się sojusznikiem w planie przebudowy Europy i przezwyciężania komunizmu. Zjednoczenie Niemiec i koniec porządku jałtańskiego to były dwie strony tego samego medalu. Podobnie jak – już po 1989 r. – pojednanie polsko-niemieckie i integracja Polski z Zachodem.

Obecnie sytuacja jest zasadniczo inna niż 60 i 30 lat temu. Jednak obserwatorzy spraw międzynarodowych pochylają się dziś z troską i zdziwieniem nad stanem stosunków polsko-niemieckich. Bo ten jest kiepski – pomimo wyjątkowo sprzyjających, jak by się mogło wydawać, warunków. Dwaj chadeccy przywódcy Friedrich Merz i Donald Tusk, kryzys geopolityczny zagrażający całej Europie, fala populizmu, Zeitenwende (czyli rewizja politycznych dogmatów) w Niemczech – trudno chyba o lepszą konstelację. Zamiast tego jest atmosfera wzajemnego rozczarowania i zawiedzionych nadziei. A na linii Berlin–Warszawa panuje kłopotliwe milczenie. Nie wiadomo, czy odbędą się konsultacje międzyrządowe zaplanowane wstępnie na grudzień; wspólnych pomysłów i projektów brak.

Parę przyczyn tej mizerii łatwo wymienić: niechęć Niemiec do satysfakcjonującego Polskę załatwienia sprawy zadośćuczynienia dla ofiar III Rzeszy, przeciągające się dyskusje o „polskim pomniku" w Berlinie (dopiero latem postawiono prowizoryczny monument), echa kontrowersji wokół Nord Streamu czy słabość Bundeswehry podważająca zaufanie do Niemiec jako sojusznika militarnego. Ale dużo większe znaczenie ma coś innego.

eprasa.pl 11d96193c5

Zmienił się Zeitgeist albo – mówiąc słowami bp. Kominka – „podstawy moralno-psychologiczne" w relacjach z Niemcami. Te podstawy to dominujące w elitach i społeczeństwie emocje, założenia i wyobrażenia – o nas samych i o kraju zachodniego sąsiada – które wyznaczają ramy, w jakich formułowana jest polityka. A przez ostatnie lata narósł w Polsce potężny nawis różnego rodzaju przekonań o Niemczech – niejednokrotnie trafnych, czasem karykaturalnych, nierzadko złośliwych, a zazwyczaj solidnie podlewanych (przez prawicę) polityczno-ideologicznym antyniemieckim sosem.



ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

To nie jest samo w sobie problemem. Jest nim raczej to, że splot rozmaitych uprzedzeń istotnie utrudnia racjonalną dyskusję i ogranicza przez to pole manewru polityki wobec zachodniego sąsiada.

Niemcy w ruinie?

Największa zmiana dotyczy naszego samopoczucia. Przez lata Polacy czuli się jak młodszy i słabszy kuzyn niemieckiego hegemona. Podczas gdy Polska była na dorobku, Niemcy uchodziły za przykład sukcesu. Były wzorem demokracji i europejskości, mocarstwem ekonomicznym i politycznym przywódcą. Tak też lubiły same się widzieć, a często także dać odczuć to innym.

Agresja Rosji przeciwko Ukrainie, kryzys niemieckiego modelu gospodarczego i wzrost populizmu zrujnowały ten (auto) wizerunek. Kompromitacja niemieckiej Ostpolitik podważyła moralne prawo Niemiec do przywództwa; zawstydzające zapóźnienia przemysłu motoryzacyjnego i digitalizacji sprawiły, że znowu przylgnęła do nich łatka „chorego człowieka" Europy, sukcesy AfD zaś postawiły znak zapytania nad stabilnością ukształtowanego po 1945 r. systemu politycznego.

W tym samym czasie Polska rozkwitła. Stała się gospodarczym tygrysem Europy, mówi się o jej złotym wieku i wejściu do grona 20 największych gospodarek świata. To my mamy silniejszą armię, to my nie mamy problemów z migrantami, to my racjonalnie podchodzimy do energii atomowej i to my mieliśmy rację w sprawie Rosji.

W ten sposób ukształtowała się zupełnie nowa psychologiczna konstelacja między Warszawą i Berlinem. Niemcy straciły pozycję wzoru do naśladowania, stały się raczej przedmiotem kpin w polskiej przestrzeni medialnej. Najważniejszy polski podkast o Niemczech ma nazwę „Niemcy w ruinie?".

„Wielka Polska" vs niemieckie „upadłe państwo" to oczywiście karykatura rzeczywistości. Ale emocje społeczne, a zwłaszcza polityczne, rządzą się innymi prawami. Polska duma z dokonań minionych dekad domaga się od Niemców szacunku i skłania do asertywności. Na seminariach eksperckich słychać ten sam refren ze strony polskich uczestników: chcemy być wreszcie przez Niemców traktowani podmiotowo, jak równy z równym.

Trudniej przychodzi zdefiniowanie, co to w praktyce ma oznaczać. W Polsce pokutuje trauma zignorowanych przez Berlin ostrzeżeń przed Rosją i gazociągiem bałtyckim – jako klasyczny przykład traktowania nas przez Niemców z wyższością. Ale większość niemieckiej klasy politycznej i intelektualnej otwarcie przyznaje się do tego błędu. Angela Merkel, która uparcie broni swojej polityki wobec Rosji, jest krytykowana również u siebie w kraju.

Niemcy nikogo w Unii – może poza Francją – nie traktują jak równego partnera, bo potężna asymetria zawsze przemawia na ich korzyść. To UE daje instytucjonalne możliwości względnego niwelowania tych różnic, nawet jeśli nie są one idealne. W żadnym jednak innym kraju apele o równe traktowanie nie wybrzmiewają tak silnie jak u nas. Ale te wezwania do uznania naszej podmiotowości świadczą bardziej o kompleksach niż politycznym potencjale.

Konflikt pamięci

Rząd PiS kierował się przekonaniem, że presja moralno-finansowa wobec Niemców – związana z reparacjami i eksponowaniem niemieckich zbrodni wojennych – jest tą dźwignią, która wymusi na Berlinie należny Polsce respekt. Rząd Tuska wie, że to ślepa uliczka, ale nie może się już cofnąć ze względów politycznych. A sama debata o reparacjach stała się tylko częścią szerszego przekonania o głębokim konflikcie pamięci z Niemcami.

W orędziu z 1965 r. biskupi pisali o zapomnieniu i wybaczeniu, po 1989 chodziło o pojednanie. Przez lata przeszłość była materią, którą trzeba było umiejętnie zarządzać w służbie nadrzędnych politycznych celów. Kolejne polskie rządy rezygnowały z podnoszenia kwestii reparacji, bo dawały priorytet innym interesom: uznaniu granicy na Odrze i Nysie, integracji europejskiej, powstrzymaniu eskalacji wzajemnych roszczeń.

Dzisiaj główna emocja jest nakierowana na przypomnienie i rozliczenie win. To nie tylko wyraz sfrustrowania niskim poziomem świadomości Niemców o zbrodniach wojennych popełnionych na narodzie polskim. To także efekt powtarzanej uparcie przez polskich ekspertów i dziennikarzy tezy, że Niemcy stosują agresywną politykę historyczną zmierzającą do pomniejszenia swoich win i zrzucenia odpowiedzialności na innych.

Koronnymi „dowodami" ma być mówienie o nazistach, a nie Niemcach; o wyzwoleniu ich z nazizmu (tak jakby był on wobec nich zewnętrzną siłą) czy wystawianie na piedestał antyhitlerowskiego ruchu oporu (który był marginalny i antypolski). Wobec tych fałszerstw należy podjąć krucjatę i nawrócić Niemców na właściwe tory pamięci. Bo bez tego partnerskich relacji i równego ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ traktowania nie będzie. Oto sedno pisowskiej polityki historycznej.

Próba demitologizacji tego obrazu niemieckiej pamięci (zarzut rozmywania winy to absurd) to walka z wiatrakami albo recepta na zarzut proniemieckiego zaślepienia. Owszem, chełpienie się przez Niemców, że są mistrzami rozliczeń z przeszłością, może irytować. Ale ani luki w niemieckiej pamięci, ani liczne przykłady błędów nie zmieniają faktu, że burzliwa i trwająca przez dekady debata o niemieckiej winie była fundamentem dla budowy niemieckiej demokracji. To właśnie w sporze o własną przeszłość Niemcy wykształciły kulturę polityczną, która dobrze przysłużyła się Polsce i Europie.

Zrozumienie tego faktu gdzieś się w Polsce zagubiło. Górę wzięła atmosfera zero-jedynkowej „walki o pamięć", w której każde odstępstwo od preferowanego przez nas modelu pamięci postrzegane jest jak wykopanie topora wojennego.

Naiwna wspólnota?

To przekonanie o głębokim konflikcie w relacjach z Niemcami dotyczy zresztą nie tylko spraw historycznych. W PRL królowała wizja „dziesięciu wieków polsko-niemieckiego zmagania" (Zygmunt Wojciechowski). Dziś niektórzy przekonują, że właśnie pisze się nowy rozdział tej wizji. Na niedawnym seminarium niemcoznawczym Instytutu Zachodniego wielu dyskutantów skrytykowało ideę „polsko-niemieckiej wspólnoty interesów" jako naiwną, zakłamującą rzeczywistość i negującą różnice interesów między Polską a Niemcami.

Ta formuła zapisana w traktacie polsko-niemieckim z 1991 r. była wielokrotnie przywoływana. Nie była opisem rzeczywistości, lecz raczej dalekowzroczną koncepcją polityczną. Chodziło o wspólny cel: członkostwo Polski w UE i NATO. O szukanie tego, co łączy, zamiast skupiania się na historycznej krzywdzie. Można się spierać, czy to nadal adekwatna rama dla relacji polsko-niemieckich, ale to problem dla koneserów. Ważniejsze jest to, że wizja polsko-niemieckiego konfliktu interesów, która sprawuje aktualnie rząd dusz w polskiej debacie, jest kolejną polityczną chimerą.

Owszem, nietrudno stworzyć litanię spraw, w których Polska i Niemcy reprezentują dziś inne stanowisko. Mamy inne poglądy na politykę energetyczną UE (my chcemy promować jądrówkę, Niemcy ją blokować; nie chcemy ETS2, Niemcy go popierają); spieramy się o politykę konkurencji (poluzowanie zasad pomocy publicznej służy Niemcom bardziej niż nam); Niemcy promują umowę z Mercosurem, my chcemy ją zablokować; mamy inne wizje budżetu UE.

Żadna z tych spraw nie ma jednak charakteru bilateralnego polsko-niemieckiego konfliktu. W większości z nich mamy przeciwko sobie także szereg innych, często bliskich nam skądinąd, krajów. To nic szczególnego w Unii, która jest doskonałą machiną dogadywania się, ale nie usuwania różnic poglądów czy interesów. Nawet głębokie spory – jak między Francją i Niemcami – nie wykluczają strategicznej współpracy (a nawet ją wymuszają).

Ale rzekome zderzenie polskich i niemieckich racji stanu jest nieporozumieniem głównie z innego powodu. W polityce bezpieczeństwa stanowiska Polski i Niemiec nigdy nie były tak bliskie. Niemcy zmieniły nastawienie wobec Rosji, przestały importować rosyjskie surowce, konsekwentnie popierają politykę sankcji. Rząd Merza opowiada się za wykorzystaniem zamrożonych rosyjskich aktywów na rzecz wsparcia dla Ukrainy. Dopiero co Berlin zadeklarował kolejne 2 mld euro na zakup systemów obrony powietrznej dla Kijowa w ramach programu PURL, który zastąpił dotychczasową pomoc wojskową USA (notabene Polska do niego nie przystąpiła).

Co nie mniej ważne, Niemcy podjęły na początku roku przełomową decyzję o zwolnieniu konstytucyjnego hamulca długu i uruchomieniu wieloletniego pakietu dofinansowania Bundeswehry, by stworzyć z niej – jak mówił kanclerz Merz – najsilniejszą armię Europy. To wszystko postulaty, które Polska i inne kraje zgłaszały przez lata pod adresem Berlina.

Niemiecki dysonans

Ta dokonująca się w Niemczech zmiana wprowadza pewien dysonans poznawczy. W Polsce króluje przekonanie, że jednym z największych błędów Merkel było „otwarcie granic" dla uchodźców w 2015 r. Dzisiaj obserwujemy skutki stosowania przez rząd Merza polityki, której Merkel uparcie się sprzeciwiała: wprowadzenie kontroli granicznych i odsyłania migrantów zmierzających do Niemiec z krajów ościennych, czyli także do Polski. To polityka szkodliwa, sprzeczna z prawem UE i bez sensu, ale będąca konsekwencją podejścia, pod którym podpisuje się większość tych, którzy – nie bez racji – podnoszą dziś przeciwko niej larum. Ale nie można zjeść ciastka i nadal je mieć.

To samo dotyczy niemieckich zbrojeń. Z jednej strony cieszą, z drugiej martwią, bo niemiecka armia jako najsilniejsza w Europie to wizja budząca obawy. „To dobrze, że się wreszcie zbroją, ale my chcemy mieć nad tym kontrolę" – mówiła jedna z ekspertek na polsko-niemieckiej konferencji. Ale trudno o lepszą „kontrolę" niż współpraca w ramach NATO i Unii, czyli instytucji powołanych m.in. do okiełznania potencjalnej potęgi Niemiec.

Co więcej, według Komisji Europejskiej współpraca w koalicjach gotowych do współpracy państw (na zasadzie międzyrządowej) jest jedyną realną drogą do wzmocnienia obrony militarnej Europy. Projekt polsko-niemieckiego partnerstwa obronnego mógłby być w aktualnej sytuacji czymś na miarę wspólnoty węgla i stali, która połączyła niegdyś Francję, Niemcy i kraje Beneluksu, kładąc podwaliny pod integrację europejską. Ale kto miałby dzisiaj polityczną odwagę, by wychylić się z takim pomysłem?

„Moralno-psychologiczne podstawy" spojrzenia na Niemcy nie służą dziś takim działaniom. Politycy i dyplomaci nie są wolni od ich paraliżującego wpływu. Można się pocieszać, że stawka jest dziś mniejsza niż 60 czy 30 lat temu i – dzięki członkostwu w NATO i UE – stać nas na nijakość naszych relacji z Berlinem oraz brak poważniejszej strategii. Ale dramatyczna sytuacja, w jakiej znajduje się Europa w związku z rosyjskim zagrożeniem i reorientacją polityki USA, pokazuje, że nic nie jest dane na zawsze.

Przeniesienie polsko-niemieckiej współpracy na wyższy poziom mogłoby mieć ogromne znaczenie dla całej Europy. Do tego potrzeba nie tylko respektu ze strony Niemiec, lecz także choć trochę z wizji i determinacji polskich biskupów, którzy sześć dekad temu zakwestionowali obowiązujące dogmaty.

PIOTR BURAS

Autor jest dyrektorem warszawskiego biura think tanku Europejska Rada Spraw Zagranicznych (ECFR).

eprasa.pl 11d96193c5



eprasa.pl 11d96193c5



Giorgia Meloni w Asyżu. W imieniu franciszkanów wita ją Marco Moroni, kustosz generalny Świętego Konwentu.

Koń św. Franciszka

Giorgia Meloni przywróciła Dniu św. Franciszka status święta narodowego – biedaczyna z Asyżu ma znów zjednoczyć Włochów. Tylko że Włosi nie chodzą już do kościoła.

PIOTR PODEMSKI

Wbrew prognozom sceptyków Giorgia Meloni już od trzech lat pewnie włada Włochami. Dawna protegowana Silvia Berlusconiego, która zaczynała w postfaszystowskiej młodzieżówce, znana potem jako populistyczna krzykaczka („wrzeszcząca blondynka" – mawiały elity), zadziwiająco sprawnie zdaje egzamin z praktyki rządzenia.

Na arenie międzynarodowej utrzymała poprawne relacje z Ursulą von der Leyen i zyskała sympatię Donalda Trumpa. Jednocześnie nadal stoi po stronie Ukrainy, wbrew popularnym we Włoszech prorosyjskim sympatiom. Na scenie wewnętrznej zdołała zaś utrzymać poparcie własnego elektoratu, mimo że jako premier (Meloni z zasady odrzuca feminatywy) zrezygnowała z wiecowego radykalizmu.

Co nie mniej ważne, zachowała jedność trudnej koalicji z dwoma wicepremierami: prorosyjskim, antyunijnym Matteo Salvinim z Ligi i proeuropejskim oraz antyputinowskim Antonio Tajanim z dawnej partii Berlusconiego Forza Italia. Dlaczego zatem teraz – jak mówi znany włoski idiom – Meloni próbuje jeszcze dalej „zajechać na koniu św. Franciszka"?

Ani naród, ani państwo?

Kwestia świąt narodowych, i szerzej – modelu narodowej tożsamości – to we Włoszech delikatna materia. W oficjalnym zestawieniu dni wolnych od pracy figurowały dotąd – poza świętami kościelnymi – jedynie Święto Pracy (1 maja) oraz Dzień Wyzwolenia (25 kwietnia) i Święto Republiki (2 czerwca).

Dwa ostatnie, związane z wydarzeniami z lat 1945–46 – podobnie zresztą jak robotnicze „święto majowe" – nieomylnie wskazywały na antyfaszystowskie inspiracje ojców założycieli Republiki, która powstawała w kontrze do totalitarnego reżimu Mussoliniego. Ten lansował własny katalog świąt: 21 kwietnia jako „narodziny (starożytnego) Rzymu", 28 października jako rocznicę marszu na Rzym czy 4 listopada jako uczczenie zwycięstwa w pierwszej wojnie światowej.

Włoska polityka pamięci i tożsamość narodowa zostały zatem – podobnie jak w Niemczech – wywrócone do góry nogami wskutek drugiej wojny światowej, co znany intelektualista Ernesto Galli della Loggia określił powszechnie dziś stosowanym mianem „śmierci ojczyzny". Podkreśla się, że ośmieszona została wówczas sama idea patriotyzmu utożsamianego dotychczas z faszystowskim kultem narodu jako potęgi. Powojennym świętom brakowało nie tylko faszystowskiego rozmachu, co oczywiste, ale i autentycznej społecznej emocji.

Nie przypadkiem więc kwestie tożsamościowe stały się – jak brzmi inne włoskie powiedzenie – „koniem bojowym", czyli ulubionym tematem kampanijnym Giorgii Meloni. Cały kraj zapamiętał wykrzyczane na wiecu w 2019 r. – przeciwko „lobby LGBT" i tym, którzy „chcą nam odebrać tożsamość" – wyznanie: „Jestem Giorgia! Jestem kobietą! Jestem matką! Jestem Włoszką! Jestem chrześcijanką! Tego mi nie odbierzecie!". Od czasu przejęcia przez nią władzy raz po raz wraca zaś slogan: „Witaj z powrotem, włoska dumo!".

© REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 11d96193c5

To właśnie wokół takiej tematyki ogniskują się dziś włoskie spory polityczne. Działająca na lewicowych aktywistów jak płachta na byka Meloni, z której młodości zachowały się publiczne wyrazy zachwytu nad Mussolinim, dziś z zasady unika jednoznacznego potępienia faszyzmu. Toleruje przy tym ekscesy salutujących po rzymsku młodzieńców w czarnych koszulach.

Czy zatem w społeczeństwie włoskim – od dawna podzielonym, a dziś spolaryzowanym może jeszcze bardziej niż inne na Zachodzie – dobrym pomysłem na odbudowę jedności może być narodowe święto ku czci średniowiecznego zakonnika?

Biedaczyna z Asyżu

Franciszek (1181–1226) to nie tylko jeden z największych włoskich świętych, ale też gigant kultury europejskiej. Urodzony w bogatej rodzinie kupieckiej w Asyżu w środkowych Włoszech, był przeznaczony do dostatniego życia i podróży w interesach, co zresztą kryje się w samej etymologii przybranego imienia (Francesco tłumaczy się często jako Francuzik).

W czasach burzliwej młodości Franciszek zaznał typowej dla ówczesnych Włoch traumy bratobójczych walk w samym Asyżu, a także lokalnych wojen między „małymi ojczyznami" (Asyż przeciwko Perugii). Dostawszy się do niewoli i podupadając na zdrowiu, Franciszek przeszedł – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – kryzys psychiczny, który przełożył się, w postaci serii snów czy widzeń, na zakwestionowanie dotychczasowej wizji własnego życia. Przekonany o tym, że otrzymał misję „odbudowy Kościoła", w dramatycznej scenie – jak chce tradycja – rozebrał się do naga, oddając wściekłemu ojcu dosłownie wszystko, co od niego otrzymał, by „poślubić Panią Biedę" i zostać „biedaczyną Bożym".

Radykalizm Franciszka w pojmowaniu chrześcijaństwa (kluczowy miał być dla niego cytat z Ewangelii św. Mateusza: „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie!") w świecie feudalnej władzy i przywilejów mógł się skończyć dla niego tragicznie, np. tak jak dla francuskich katarów. A jednak – jeśli wierzyć pobożnej tradycji – to znów sen (tym razem papieża) uratował Franciszkowi życie, gdy Innocenty III rozpoznał w nim żebraka, który w jego śnie ratował Kościół przed upadkiem.

Zatwierdzony przez papieża zakon franciszkański prędko stał się potęgą – w ramach Kościoła, a nie przeciwko niemu, gdyż zaproponowany przez Franciszka model prostego życia i służby w zgodzie z hasłem „Pokój i dobro" okazał się w średniowiecznym świecie szalenie atrakcyjny. Wspólnoty franciszkańskie, inaczej niż np. benedyktyni, lokowały się wewnątrz skupisk ludzkich, służąc bliźnim słowem i pomocą, w prostocie i pokorze, w zamian za jałmużnę.

Franciszek zapamiętany został również jako ten, który – jak czytamy chociażby w słynnych „Kwiatkach świętego Franciszka" – potrafił przemawiać do ptaków i wilków. A próbując zaprowadzić pokój w Ziemi Świętej – jak dowiedziała się nawet od swego biskupa Michałowa w kultowym serialu „Ranczo" – „sam przez armię pogan nie wahał się przejść (chociaż Michałowa może i gorsza)".

Przede wszystkim jednak, na długo przed Dantem, Petrarką i Boccacciem, Franciszek był jednym z ojców języka włoskiego, który miał stworzyć słynną „Pochwałę stworzenia" we wzruszająco prymitywnej, XIII-wiecznej wersji języka *volgare*, zachowującego nadal wiele elementów zepsutej klasycznej łaciny. Zmarły w 1226 r. Franciszek został ogłoszony świętym już dwa lata później, co można uznać za pierwowzór znanej nam formuły *santo subito*.

Najświętszy z Włochów

Czy zatem św. Franciszek może zjednoczyć dziś włoski naród i odnowić zdrowe poczucie patriotyzmu? Za przywróceniem jego świętu statusu państwowego (dnia wolnego od pracy i zajęć szkolnych), odebranego mu na fali laicyzacji w 1977 r., kryje się kontekst polityczny. Z inicjatywą wystąpił rok temu w Asyżu poeta Davide Rondoni przy okazji 800. rocznicy śmierci świętego. Podczas głosowania w parlamencie przeciwnych było zaledwie dwóch posłów.

Przemawiając na placu przed bazyliką w Asyżu 4 października, w towarzystwie kardynałów, biskupów i franciszkanów, Meloni tłumaczyła: „Dziś naród włoski kieruje wzrok tutaj, ku biedaczynie z Asyżu, »najukochańszemu, najwznioślejszemu i najbardziej włoskiemu spośród naszych świętych«, jak określił go filozof i patriota Vincenzo Gioberti. Bo św. Franciszek jest jednym z filarów włoskiej tożsamości, być może najważniejszym".

Zdaniem włoskiej premier św. Franciszek – „radykał, ale nie ekstremista", „człowiek pokoju, dialogu i rozmowy", który „porzucił wszystko, żeby odnaleźć wszystko" – nie tylko „odcisnął trwałe piętno na sztuce, poezji, teatrze, kulturze i nauce", ale wręcz „ucieleśniał cały ten geniusz, który czyni nasz naród wyjątkowym, podziwianym i docenianym w świecie". Był „Włochem, który ukształtował tożsamość całego narodu".

Meloni świadomie przemilcza, że podobne strzeliste pochwały na temat „Biedaczyny z Asyżu" wygłaszał sto lat temu – z okazji 700. rocznicy jego śmierci – idol jej młodości Mussolini. Faszyści postrzegali bowiem świętego ubogich jako bez mała patrona swego ruchu, złożonego z plebejuszy z prowincji rzucających wyzwanie arystokratycznym i wielkomiejskim elitom.

Z kolei po wojnie postać tę usiłowali po swojemu zreinterpretować włoscy komuniści, widząc w nim średniowiecznego rewolucjonistę i niemal „protosocjalistę". Także współczesnej włoskiej lewicy niezręcznie byłoby podważać klimat narodowej solidarności wokół świętego z Asyżu, istotnie wzywającego do pokojowego dialogu, w tym międzyreligijnego, oraz troski o „braci mniejszych" (zwierzęta) i „matkę Ziemię".

Czy w tym kontekście ogrzanie się w blasku św. Franciszka pozwoli prawicowej premier pomnożyć własny kapitał polityczny? Niestety dla niej raczej próżno szukać wśród współczesnych Włochów, zwłaszcza młodych, autentycznej fascynacji ideałami franciszkańskimi czy, szerzej, chrześcijańskimi. Jak pokazują badania, w 2023 r. 31,5 proc. Włochów ani razu nie przestąpiło progu kościoła, a raz w tygodniu na mszę chodziło 18 proc. ich rodaków. Jeszcze w 2001 r. te proporcje przedstawiały się niemal dokładnie odwrotnie.

La messa è finita (dosł. „Msza jest skończona", pol. „Ofiara spełniona") – ironizują niektórzy komentatorzy, wieszcząc zmierzch katolicyzmu we włoskim społeczeństwie, w którego młodych pokoleniach na czoło wybija się kult atrakcyjności fizycznej i kapitalistycznej konsumpcji, a więc antyteza franciszkańskiego ducha.

Czy zatem Meloni zajedzie daleko na „koniu świętego Franciszka"? To idiomatyczne wyrażenie ma w języku włoskim wymiar ironiczny. Jako biedaczyna Boży Franciszek oczywiście nie posiadał konia, poruszał się wyłącznie pieszo. A zatem „koń świętego Franciszka" w rzeczywistości po prostu nie istnieje. ■

eprasa.pl 11d96193c5

Mózg nie spadł z nieba

Jak i kiedy człowiek wymyślił duszę i co mu z niej dzisiaj zostało, opowiada australijski historyk **Paul Ham**, autor książki „Dusza. Historia ludzkiego umysłu”.

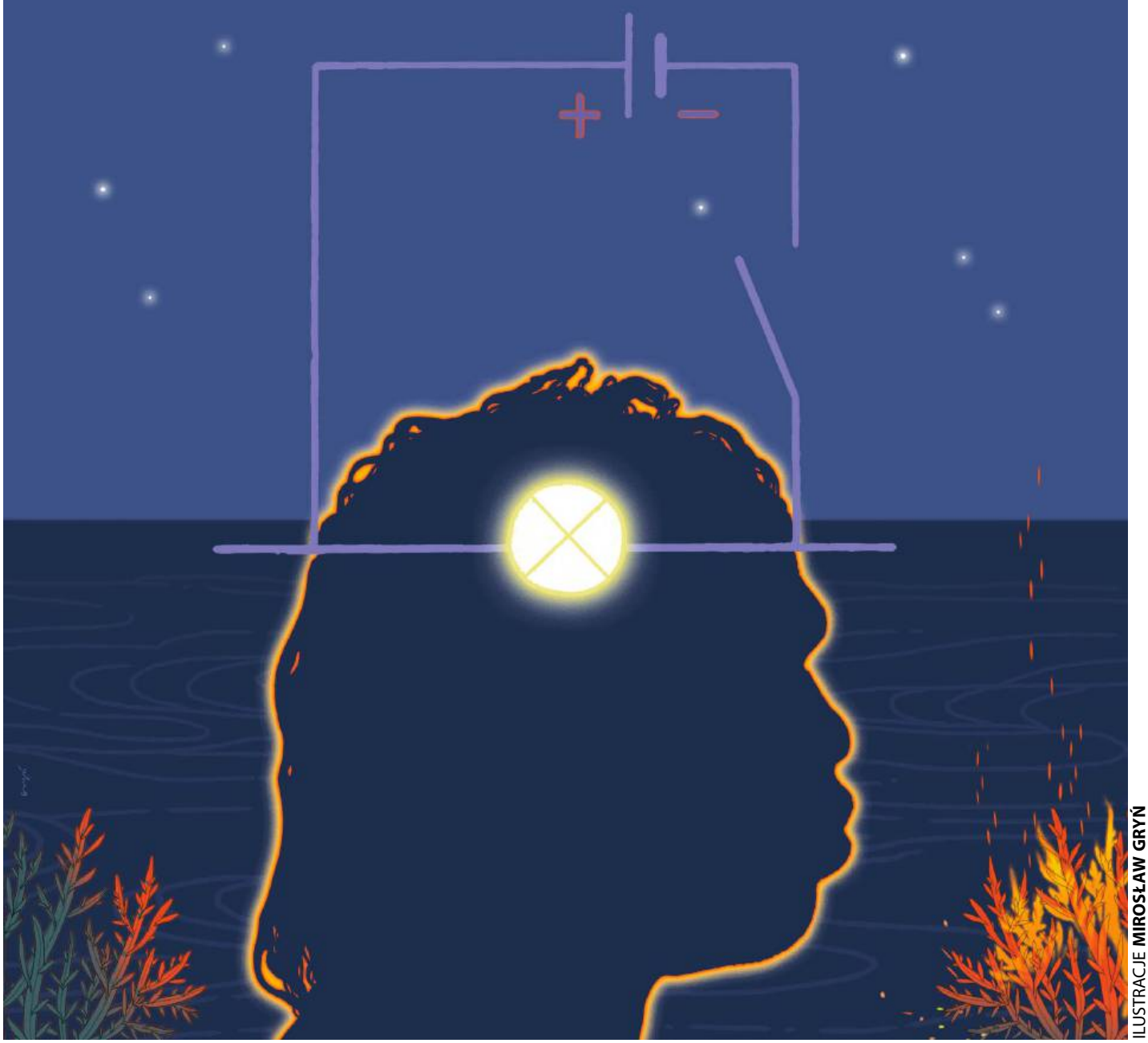

ILUSTRACJE **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl 11d96193c5

KASPER KALINOWSKI: **– Czy w ogóle możliwe jest opisanie historii duszy od zarania cywilizacji w różnych kulturach?**

PAUL HAM: – Myślę, że to wykonalne. Ale możliwe, że mówię tak, ponieważ właśnie to zrobiłem. Historia duszy rozpoczęła się wśród rdzennych mieszkańców Australii, w najstarszym nieprzerwanie istniejącym społeczeństwie na Ziemi. Jak zauważył wielki socjolog Émile Durkheim, który prowadził tam badania terenowe: „Każde ludzkie ciało skrywa wewnętrzną istotę, zasadę życia, która je ożywia: jest to dusza". Zakładał on, że rdzenna australijska koncepcja duszy powstała w izolacji. Aborygeni nie czerpali ze starszych, obcych tradycji, bo takie nie istniały. Ich ideę duszy Durkheim podsumował następująco: „Bardziej rozwinięte religie i filozofie dokonały już tylko jej udoskonalenia, nie dodając nic naprawdę istotnego".

Wszystkie starożytne społeczeństwa podzielały w jakiś sposób tę prehistoryczną koncepcję. W umyśle neolitycznym dusza osobista była animą, oddechem, cieniem czy esencją jakiejś osoby, która ożywiała ciało. A życie ludzkie stanowiło indywidualny wyraz zbiorowej świadomości plemienia. Ta wspólna świadomość łączyła zjawiska zewnętrzne, takie jak zdrowie i choroba oraz pożywienie i głód, z dobrem i złem oraz ze szczęściem i smutkiem. Stąd modlitwa i składanie ofiar.

Każde społeczeństwo w historii wyobrażało sobie życie pozagrobowe; miejsce, do którego po śmierci udaje się dusza i gdzie przebywają bogowie. Oczywiście koncepcje życia pozagrobowego w kulturach starożytnego Egiptu, Grecji czy Rzymu różniły się od koncepcji chrześcijańskich i islamskich (tym dwóm ostatnim zawdzięczamy wizje piekła i raju). Jeśli chodzi o bóstwa, dla których tak wielu z nas żyje i umiera, to zostały one oczywiście stworzone przez człowieka, zrodzone z przerażenia naszej powstającej świadomości, poczucia izolacji na tej dziwnej planecie i tęsknoty za odpowiedziami związanymi z tajemnicą śmierci.

A czy znajdziemy kultury, które nie wierzą w życie pozagrobowe? Często jako przykład podaje się judaizm.

Judaizm stanowi wyjątek wśród największych (i zdecydowanej większości mniejszych) religii, ponieważ nie obiecuje życia pozagrobowego. Można się więc zastanawiać, dlaczego Żydzi byli i wciąż są tak posłuszni jego przykazaniom. Co mogą zyskać? Cóż, Ziemię Obiecaną! Ludzie zapominają, że Bóg obiecał im „prawdziwą ziemię", a nie królestwo w niebie. I ją otrzymali. To dlatego ortodoksyjni Żydzi są tak wrogo nastawieni do rozwiązania dwupaństwowego: Izrael i Palestyna. Księga Rodzaju nigdy nie obiecała Kananejczykom ani innym plemionom nawet kawałka ziemi, którą Bóg dał starożytnym Izraelitom.

Jeśli chodzi o życie pozagrobowe, to – jak możemy przeczytać w Księdze Rodzaju – „prochem jesteś i w proch się obrócisz". Po śmierci nie ma nic. Teksty żydowskie są jednak pełne sprzeczności. Pojawia się coś w rodzaju piekła – Talmud sugeruje, że dusza wkracza do Gehinnom (Gehenny), czyli doliny na zachód od Jerozolimy, analogicznej do chrześcijańskiego piekła lub antycznego Hadesu. Dusza spędza tam całe miesiące i obserwuje, jak ciało gnije, zanim Bóg ją zniszczy (nie wyjaśniono jak), spali ciało i rozrzuci prochy.



© MARK FRIEZER

Paul Ham – australijski historyk, były dziennikarz biznesowy, specjalizuje się w dziejach XX w. Wykłada m.in. w paryskim Sciences Po i w London School of Economics. W Polsce ukazały się jego książki „1914. Rok końca świata" i – ostatnio – „Dusza. Historia ludzkiego umysłu".

Szczególne miejsce hańby zarezerwowano dla czcicieli fałszywych bogów. Odkrycie zwęglonych szkieletów niemowląt w Kanaanie i innych miejscach Ziemi Świętej potwierdziło opowieść z Księgi Jeremiasza o Żydach, którzy porzucili Jahwe i składali ofiary całopalne z dzieci Baalowi, bogu Kananejczyków i Syryjczyków. Gehenny nie należy jednak mylić z Szeolem, „miejscem pobytu zmarłych", rodzajem czyśćca. Tam zmarli muszą czekać rok, zanim ich dusze zostaną osądzone jako dobre lub złe.

Z kolei hinduiści i buddyści wierzą w kołowrót samsary – odradzanie się ciała i duszy w nieustannym dążeniu do osiągnięcia mokszy lub nirwany. Natrafimy również na wywodzącą się z filozofii Spinozy świecką koncepcję życia pozagrobowego jako powrotu do natury. Spinoza utożsamiał „boga" z naturą, na stulecia przed pojawieniem się ruchów ekologicznych i hipotezy Gai.

Czy to, w co wierzyli przedstawiciele danej kultury, przekładało się na ich codzienne życie? Być może gdyby świat wikingów nie stał w obliczu nieuchronnej katastrofy – Ragnaroku – ci nie staliby się postrachem Europy?

Możemy tylko spekulować. Moim zdaniem perspektywa Ragnaroku sprawiała, że pogodzeni z okrutnym końcem wikingowie postanowili czerpać z życia doczesnego, ile tylko mogli. To znamienne, jak szybko ich system wierzeń upadł po kontakcie z chrześcijaństwem, które oferowało perspektywę zbawienia w niebie.

Czy zatem bogowie zostali stworzeni przez nasze lęki i wyobraźnię?

Tak. Bogów stworzył człowiek. Przez nasz strach przed nieznanym i rosnącą świadomość izolacji w naturze. Ta świadomość odróżniała nas od innych zwierząt i domagała się jakiegoś pocieszenia, odpowiedzi: „Dlaczego tu jesteśmy? Kto lub co nas tu umieściło?". Niesamowity paradoks prehistorycznej egzystencji polegał na tym, że im bardziej ludzie epoki kamienia łupanego stawali się świadomi otaczającego ich świata, tym bardziej czuli się wyobcowani. Z radością przyjmowali dobre znaki, które zapowiadały pomyślny wynik polowania czy najazdu, a unikali złych omenów, które zapowiadały wojnę, suszę lub powódź. Bogowie zostali zrodzeni z naszych lęków i nadziei.

Według historyka Paula Johnsona „odkrycie" jednego boga przez starożytnych Hebrajczyków zmieniło ludzkość i było „może i największym ze wszystkich punktów zwrotnych w historii". Zgadza się pan?

To z pewnością jeden z największych punktów zwrotnych w historii. Moment, który rozdzielił spoglądających w przyszłość monoteistów od czczących przeszłość politeistów. Należy jednak zaznaczyć, że ten zwrot miał stopniowy charakter i zajął starożytnym Hebrajczykom całe wieki, pełne bolesnych wątpliwości i metafizycznych spekulacji. Te zmagania spisano na zwojach, które Żydzi nazywają Torą. Poza nimi jedynie zaratusztrianie mogliby pretendować do roli odkrywców odkrycia jednego boga, ale zabrakło im literackiego geniuszu Biblii.

Judaizm nie był więc pierwszą religią monoteistyczną. Co wiemy o innych? ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶Pierwsi byli prawdopodobnie wspomniani zaratusztrianie z Persji, którzy składali ofiary jedynemu bóstwu, Ahura Maździe, już w VII w. p.n.e. Ciekawym faktem jest również próba utworzenia monoteistycznej religii przez zbuntowanego wobec tradycji faraona Echnatona. Był to jednak bardziej kult jego osoby niż monoteizm.

Dopiero w VI w. p.n.e. natrafiamy na pierwsze ślady Jahwe – w świadomości Żydów jedynego Boga, który stworzył świat i ludzkość na swoje podobieństwo. W owym czasie Żydzi potępiali współwyznawców, którzy zwracali się ku innym bogom, nawet jeśli byli do tego zmuszeni.

Wspomina pan, że „chrześcijaństwo skasowało starożytną religię, zanurzając egipskie serce w marynacie własnego wynalazku, jakim było poczucie winy". Poczucie winy jest głównym składnikiem chrześcijańskiej duszy?

Z pewnością to kluczowy element „duszy katolickiej". Możemy go bezpośrednio powiązać z udrękami św. Augustyna, który z zadziwiającą błyskotliwością dostrzegł ogromny konflikt między wyższymi aspiracjami duszy – wolą i intelektem – a pragnieniami ciała. Wiemy, co jest słuszne, zauważał, i wiemy, co powinniśmy robić, ale coś nam w tym przeszkadza. Doszedł do wniosku, że ludzka wola bez pomocy Boga nie jest w stanie oprzeć się demonicznym pragnieniom, które ją nękają. Ludzkość jest zbyt słaba i zbyt zniewolona przez własne słabości, żeby sobą rządzić. Tylko łaska Boża może zapewnić jej siłę i wyzwolić duszę z niewoli ciała.

Augustynowi można również zarzucić (lub podziękować, jeśli jest się wierzącym) promowanie doktryny grzechu pierworodnego, która stanowi centralny element wiary katolickiej. Wywodził on pochodzenie wiary chrześcijańskiej od „boskiej iskry", którą Bóg tchnął w Adama i Ewę. Niestety, ich pierwotne nieposłuszeństwo zgasiło ją i każde nowo narodzone dziecko nosi w sobie „grzech pierworodny" swoich „pierwszych rodziców". Zgodnie z tą ideą wszystkie dzieci, które umarły nieochrzczone, trafiały do piekła. Tylko poprzez chrzest w wierze katolickiej niemowlę mogło pozbyć się wrodzonej niegodziwości, uniknąć płomieni i wyrosnąć na prawdziwego chrześcijanina. Oczywiście chrzest był również potężnym narzędziem ewangelizacyjnym.

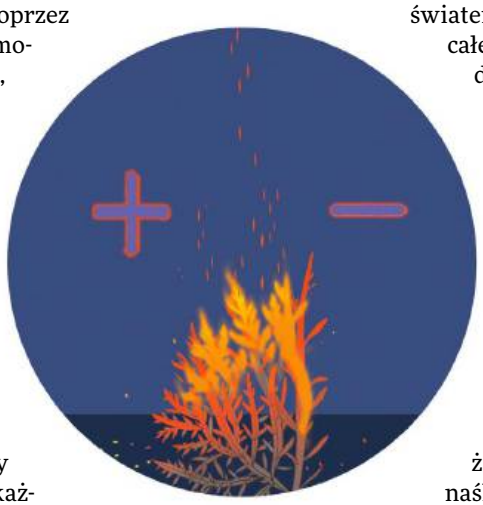

Największym osiągnięciem Augustyna było wykorzystanie własnej biografii – historii nawrócenia wyjątkowo utalentowanego, nienasyconego kobieciarza – jako teologicznego wzorca zbawienia dla całego świata. Rozważając przemianę własnej duszy z pełnego namiętności młodzieńca w oświeconego chrześcijanina, przyszły święty przyjmował, że śledzi losy duszy każdego człowieka. Wielu współczesnych chrześcijan stawia Augustyna za wzór. Pozostali uważają, że wyrządził niezmierzone szkody psychice, niszcząc bardziej tolerancyjne teologie Orygenesa i Pelagiusza i przenosząc własne pełne poczucia winy sumienie na dzieci, które w innym przypadku pozostałyby niewinne.

Obciążając nasze naturalne pragnienie przyjemności seksualnej poczuciem winy i nienawiścią do samych siebie, a do tego przestrzegając tych, którzy się im oddawali, że ryzykują wieczne potępienie, Augustyn wypaczył zdrowy rozwój ludzkiej seksualności. Doprowadził katolików do ślepej uliczki poczucia winy, nerwicy, a nawet szaleństwa. Czy to możliwe, że moralne fundamenty Kościoła katolickiego zostały ukształtowane przez pogardę jednego człowieka do samego siebie?

Tylko że dusza chrześcijaństwa, z czyśćcem i kultem świętych, znacznie różni się od przesłania Jezusa. Kto ją stworzył?

Jezus przewodził żydowskiej sekcie, a święty Paweł przekształcił ją w chrześcijaństwo, przyjmując do grona wyznawców nieobrzezanych mężczyzn. Długo jednak musiałbym tłumaczyć, w jaki sposób idea duszy Chrystusa – królestwa bożego obecnego w nas wszystkich – została przejęta i przekształcona, najpierw przez św. Pawła, a następnie przez ojców Kościoła (Orygenesa, Pelagiusza, św. Augustyna, Tertuliana), krzyżowców, Lutra, Kalwina i wielu innych. Tu odsyłam czytelników do mojej książki.

Czy chrześcijaństwo nadal jest duszą Zachodu?

Na całym świecie obserwujemy odrodzenie wiary religijnej, a chrześcijaństwo przeżywa swoisty renesans, choć o ograniczonym zakresie. Pozostaje nieoficjalną religią Zachodu, ale najszybciej rozwijającym się wyznaniem na świecie jest obecnie islam. Wątpię jednak, żeby kiedykolwiek zastąpił chrześcijaństwo jako religia „zachodnia". Chociaż lepiej pamiętać, że siły muzułmańskie dotarły do bram Wiednia już w 1683 r.

Kto ostatecznie pogrzebał koncepcję duszy na Zachodzie? Prawosławny biskup Mikołaj Serbski (1880–1956) opisał Darwina, Nietzschego i Marksa jako „trzy upiory cywilizacji". Ktoś z nich?

Wszyscy trzej, ale wymieniłbym też Freuda. Moim zdaniem ci „czterej jeźdźcy" ateizmu zrobili najwięcej, aby wyeliminować ideę Boga i duszy na Zachodzie. Pod koniec XIX w. większość robotników słyszała o „Manifeście komunistycznym" i uzurpacji Boga przez państwo. W tym czasie duchowni ścierali się z naukowcami o teorię ewolucji Darwina, mającego rządzić światem „nadczłowieka" Nietzschego pożądało całe spektrum polityczne, a „odkrycie" Freuda dotyczące nieświadomości, superego i psychicznych korzeni poczucia winy było już na bardzo zaawansowanym etapie.

Pańskim zdaniem dwa totalitaryzmy XX w. – nazizm i komunizm – możemy porównać do świeckich religii. Miały odpowiednik „duszy"?

Usiłowały stworzyć świecką wersję duszy, równie wierną bogu, jakim było państwo, co dusza religijna Chrystusowi i Bogu. Przywódcy komunistyczni wiele się nauczyli od zorganizowanej religii. Ironią historii jest fakt, że system bolszewicki, świadomie lub nie, naśladował strukturę Kościoła katolickiego. Bolszewicy wyświęcali przecież własnych marksistowskich „teologów", mianowali „kapelanów", czyli komisarzy, którzy egzekwowali czystość doktryny, konsekrowali „świętych" i „męczenników" sprawy komunizmu, toczyli „święte wojny" przeciwko wrogom klasowym, oczyszczali własne szeregi z „heretyków", takich jak Lew Trocki, oraz czcili „proroka" – Karola Marksa.

Oczywiście nigdy otwarcie nie sięgali po tak oczywiste porównanie, ale wmawiali sobie, że ich dzieło jest żywym triumfem

eprasa.pl 11d96193c5

„naukowych" praw historii, zgodnie z tezami Marksa. Stalin zazdrościł potęgi Kościołowi katolickiemu. Całe życie próbował wymusić podobną ślepą lojalność narodu rosyjskiego, ale brutalna siła nie miała tyle siły perswazji co obietnica zbawienia.

Jeśli chodzi o nazistów, to ten mały, podskakujący mężczyzna z wąsikiem przypominającym szczoteczkę do zębów sam porównywał się do Chrystusa. Gapiący się na niego Niemcy odruchowo postrzegali Hitlera jako mesjasza, a wielu Włochów tak odbierało postać Mussoliniego.

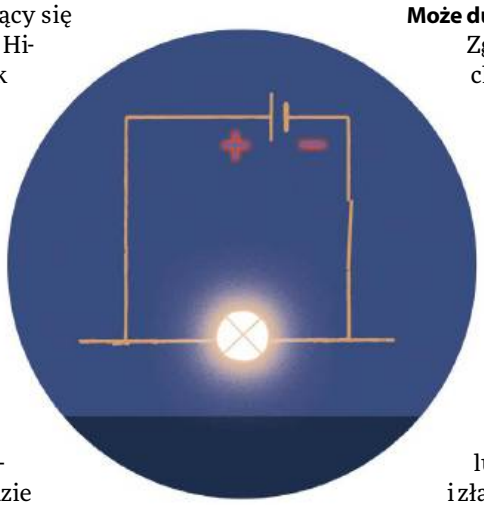

Nazizm i komunizm mówią nam również wiele o bezsensowności walki z religią, która nigdy w historii nie zakończyła się sukcesem. Jak historyk postrzega tę kwestię?

Uważam, że prześladowania wzmacniają religię. Przeciwności losu pogrążają ludzi jeszcze bardziej w świecie fantazji. Trzymają się wtedy swojej wiary w cuda, boską sprawiedliwość czy niebiańskie wybawienie, ponieważ to jedyne, co im pozostaje. Na tej zasadzie wygnanie babilońskie umocniło wiarę Żydów i ukształtowało żydowską tożsamość.

Osobnym tematem jest dusza kobiet, na ogół pomijana i lekceważona. Czy tak było we wszystkich kulturach?

Na to pytanie nie da się odpowiedzieć w kilku zdaniach. Smutną prawdą jest, że duchowość kobiet była przez tysiąclecia zaniedbywana przez kolejne kultury i religie. Poświęciłem temu cały rozdział swojej książki. Na Zachodzie wszystko zaczęło się od tragedii Ewy, której „nieposłuszeństwo" do dziś obwinia się za „słabość", „niewierność" i „kapryśność" kobiet. To zupełna bzdura. Jeśli historia z raju czegoś nas uczy, to pokazując siłę bajki, która może zatrzymać i zniechęcić umysły racjonalnych mężczyzn, wyłączając ich zdolność do krytycznego myślenia. Warto się zastanowić, ile błyskotliwych umysłów, ile stuleci, ile okazji zostało straconych lub zmarnowanych na studia nad żebrem Adama oraz bezdusznością i podporządkowaniem kobiet. Te przekonania utrzymują się w dzisiejszym świecie. Rozsądek i nauka nie uwolniły umysłów od klątwy Edenu ani nie osłabiły mocy mitu, który mąci męskie umysły.

Wydaje się, że nikt nie zauważył zniknięcia duszy z naszego życia. Czy potrzebujemy jej w erze sztucznej inteligencji?

Potrzebujemy duszy lub umysłu bardziej niż kiedykolwiek, ale nie duszy w znaczeniu religijnym. Potrzebujemy ludzkiego ducha, któremu zawdzięczamy cudowne dzieła sztuki, genialne odkrycia naukowe, demokrację i odwagę, by poszukiwać tej nieuchwytnej cechy, którą jako pierwszy wyraził Sokrates – naturalnej sprawiedliwości. Potrzebujemy również ludzkiej duszy lub umysłu, aby tworzyć oryginalne idee i myśli. Czy sztuczna inteligencja ma oryginalne pomysły? Nie. Jest czysto syntetyczną pochodną wszystkiego, co ludzkie. Owszem, niezwykle szybką, ale mimo wszystko odtwórczą.

Pisze pan, że „zaczęło się od nieba, a skończyło na mózgu". Jaki był najważniejszy punkt zwrotny, który sprawił, że zastąpiliśmy pytania o duszę nauką?

Odwaga oryginalnego myślenia. Piękne umysły Kopernika i Galileusza, Spinozy i Newtona, Locke'a i Burke'a oraz dorobek oświecenia. Te idee i ideały są dziś niszczone przez przedpotopowych obskurantystów i neomonarchistów, którzy – gdyby tylko mieli okazję – cofnęliby nas do koszmarnego, przedoświeceniowego świata Biblii i stosów. Nazywam takich ludzi technofeudalistami.

Być może dzisiaj kwestia „duszy" jest kwestią „umysłu"? Może dusza wcale nie umarła?

Zgadzam się. Kartezjusz był pierwszym zachodnim filozofem, który stosował terminy „dusza" i „umysł" jako synonimy. Stąd kartezjański dualizm ciała i umysłu. Należy jednak podkreślić, że Kartezjusza poprzedził wielki arabski filozof Awicenna, który jako pierwszy wyraźnie rozróżnił ciało i umysł. Od tamtej pory neurolodzy próbują zrozumieć umysł: jak działa i co stanowi przedmiot jego subiektywnej świadomości.

Nikt jeszcze nie odpowiedział na trudne pytania dotyczące umysłu. Jesteśmy na początku drogi do zrozumienia ludzkiej świadomości. Nasze pojęcie dobra i zła, wewnętrzne sumienie kontrolujące nasze działania, nie zostało nam dane przez współczesne religie. Można je prześledzić 5 tys. lat wstecz, do czasów starożytnych Egipcjan, ale nikt nie wie, skąd wzięło się sumienie ani dlaczego je posiadamy.

Koniec panowania umysłu jest możliwy. Czy boi się pan sztucznej inteligencji?

Tak. Ponieważ AI zaciera granicę między tym, co autentyczne, a tym, co odtwórcze, między tym, co oryginalne, a tym, co syntetyczne. W świecie samowystarczalnej sztucznej inteligencji stracimy poczucie rzeczywistości. Będziemy żyć pośród replik, pochodnych, makiet, memów i bezsensowności. Nie uważam, że AI nas zniszczy, bo dlaczego wyższa forma życia miałaby chcieć nas zabić? Raczej nas zniewoli. To już się dzieje. Za każdym razem, gdy poddajemy się „umysłowi" maszyny.

Wydał pan wiele książek o wojnach. Czy pomogło to panu w pisaniu o duszy? Jak sześć lat pracy nad najnowszą książką pana zmieniło?

To dobre pytanie. Wcześniej opisywałem mroczne epizody. Jednak historia wojen nauczyła mnie, że tylko poprzez zrozumienie przeszłości możemy uwolnić się od tyranii. Odkryłem, że jedynym, co łączy narody w stanie wojny, jest siła wiary. Bez przekonania, że „Bóg jest po naszej stronie" lub (w krajach komunistycznych i faszystowskich), że „ideologia jest po naszej stronie", narody nigdy nie wyruszyłyby na wojnę. Tyrani o tym wiedzą, dlatego muszą odwołać się do ludzkich przekonań, zanim nakażą im zabijanie, okaleczanie, gwałcenie i podbijanie.

Czy świat może pewnego dnia obudzić się i zdać sobie sprawę, że większość koszmarów przeszłości wynikała z naszej wiary w bajki? Że państwo, któremu złożyliśmy przysięgę wierności, było odrażającą dyktaturą zbudowaną na utopijnym micie? Że nadejście Mesjasza i nadzieja na życie pozagrobowe były marzeniami wyczarowanymi przez naszych przodków? Że idea państwa narodowego była nostalgiczną fantazją, niegodną naszych poświęceń? I że powinniśmy żyć dla dobra tego świata, a nie dla rojeń o tym przyszłym?

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

eprasa.pl 11d96193c5

Diabeł tkwi w promilach

O wpływie alkoholu na pojmowanie dobra i zła mówi dr hab. Mariola Paruzel-Czachura, laureatka tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki społeczne.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Dlaczego badanie moralności? Czyżby jakiś wpływ na pani decyzję zawodową miały eksperymenty Stanleya Milgrama i Philipa Zimbarda?**

MARIOLA PARUZEL-CZACHURA: – Oczywiście! Najpierw studiowałam filozofię i miałam zamiar jako drugi kierunek wybrać prawo, ale na zajęciach z wprowadzenia do psychologii usłyszałam o tych badaniach. Później miałam przyjemność poznać Philipa i z nim współpracować w Katowicach przy Projekcie Bohaterskiej Wyobraźni.

Te dwa słynne eksperymenty narażały uczestników na stres psychiczny i manipulację, więc uznano je za nieetyczne i zabroniono powtarzać.

W złagodzonej formie można. Kilka lat temu badanie Milgrama nad perswazyjną siłą autorytetu powtórzył prof. Dariusz Doliński z Uniwersytetu SWPS we Wrocławiu ze swoim zespołem. Eksperyment więzienny Zimbardo miał zaś wiele wad. Dziś badania naukowe moralności są znacznie lepsze.

Skąd pomysł, by badać w tym kontekście alkohol?

Bo wpływa na emocje, a to, co ludzie myślą na temat dobra i zła, właśnie od nich zależy. Poza tym z danych z USA wynika, że do ok. 40 proc. przestępstw z zastosowaniem przemocy dochodzi po spożyciu alkoholu. Każdy ma znajomych, którzy po drinku stają się odważniejsi w tym, co mówią, albo wręcz skłonni do bijatyki.

Zrobiliśmy eksperyment w laboratorium. Jedna grupa wypiła alkohol – w momencie badania jej członkowie mieli ok. 0,5 promila we krwi, druga piła sok. I wszystkim przedstawialiśmy różne kwestie moralne do rozwiązania. I ci podchmieleni, i ci trzeźwi dobrze wiedzieli, co jest dobre, a co złe. Pojawiły się jednak drobne różnice, kiedy pytaliśmy o intencje złych czynów. Alkohol sprawiał, że wzrastała gotowość do niemoralnych zachowań (np. do udziału w orgii) albo do działań, które by kogoś skrzywdziły, ale nie do tych, które naruszałyby zasadę sprawiedliwości, lojalności wobec grupy i zasadę autorytetu. Ludzie robią czasem coś złego, a później się tłumaczą, że byli pijani i nie wiedzieli, co robili. My wykazaliśmy, że przy tej dawce alkoholu wiedzieli. A to jeszcze taka ilość alkoholu we krwi, z którą w wielu krajach można siąść za kółkiem.

Inne pani badania przypadły na okres pandemii. Chodziło o sprawdzenie, czy można online przekonać człowieka do czynienia zła, a przynajmniej do zadeklarowania jego akceptacji.

Przed ekranami siedziała jedna badana osoba i aktorzy, którzy mieli odpowiadać na różne dylematy zgodnie z zasadami moralnymi albo wbrew nim. Ponad połowa uczestników dała się przekonać, że np. można sprzedać swoją córkę do przemysłu pornograficznego, jeśli za zarobione przez nią pieniądze można by pomóc reszcie licznej rodziny.



© LESZEK ZYCH

Rozumiem, że zarówno aktorzy, jak i badani byli obojga płci?

Tak, ale przypuszczamy, że ludzie bardziej poddają się grupie mężczyzn niż kobiet, ponieważ ci pierwsi nadal mają w społeczeństwie większy autorytet. Chcemy się przyjrzeć, jak ludzie podejmują decyzje w grupach. Wiele decyzji, np. w pracy czy w rodzinach, podejmujemy przecież zbiorowo. Poza tym będziemy analizować inne typy dylematów – do tej pory były to „grubsze" grzechy, jak zabijanie czy krzywdzenie, np. pytaliśmy, czy można usprawiedliwić przerwanie leczenia dializowanej pacjentki, by wykonać rutynowe zabiegi dwóm innym osobom na tej samej maszynie. Teraz chcemy sprawdzić te łagodniejsze, np. czy można usprawiedliwiać wzięcie L4, gdy nie ma się ochoty iść do pracy.

Czy zdarzało się też tak, że aktorzy przekonywali, że coś jest niemoralne, a badana osoba ten niemoralny czyn usprawiedliwiała?

Tak. Przykładem jest dylemat „Wnuczek". Chłopiec odwiedza babcię, która zwykle daje mu kilka dolarów, lecz tym razem odmawia, wyrzucając mu, że rzadziej pisze listy. Ze złości malec wyjmuje garść tabletek z apteczki i wrzuca do czajnika. Wieczorem babcia parzy herbatę; rozpuszczone tabletki powodują silne dolegliwości, a rano kobieta umiera. Aktorzy oceniali ten czyn jako niedopuszczalny, ale niektórzy z badanych uznali go za usprawiedliwiony.

Dr hab. **Mariola Paruzel-Czachura**, prof. Uniwersytetu Śląskiego, psycholożka moralności. Bada, jak ludzie rozpoznają dobro i zło oraz dlaczego czasami postępują wbrew własnym zasadom. Autorka wielu publikacji w prestiżowych czasopismach naukowych, m.in. „Psychological Inquiry" i „Nature Human Behaviour".

eprasa.pl 11d96193c5

Bywało też odwrotnie – aktorzy mówili, że zły czyn był akceptowalny (np. wspomniana sprzedaż córki), a ktoś stawał przeciwko grupie. W społeczeństwie jest pewna grupa nonkonformistów, co może wynikać z różnych przyczyn. Przypuszczam, że mogą to być osoby ze spektrum autyzmu, ale potrzebujemy badań, by to potwierdzić.

Czy bywa pani zdziwiona wynikami?

Zawsze. Przed badaniem konformizmu wydawało mi się, że ludzie są dziś zbytnimi indywidualistami, a poza tym nikt przed obcymi nie będzie opowiadał głupot. Myliłam się. Przed badaniami wpływu alkoholu myślałam, że ludzie tracą azymuty moralne, bo mają obniżone procesy poznawcze. Znów się myliłam. Swoją drogą te wyniki są bardzo niepokojące, bo w sądzie nadal fakt, że ktoś był pijany, może być okolicznością łagodzącą, tymczasem ten ktoś prawdopodobnie dobrze wiedział, że robi źle (choć nie badaliśmy wysokich dawek alkoholu).

Zamierza pani zbadać plemię Hadza w Afryce. Ciekawi panią, czy moralność jest uniwersalna?

Uważam, że kultura ma na nią wpływ, bo ludzie w różnych krajach podejmują różne decyzje. Braliśmy udział w międzynarodowym projekcie, który w ponad 60 krajach sprawdzał, na ile ważne jest dla ich obywateli bycie dobrym człowiekiem. W większości krajów bardziej na tym zależy kobietom niż mężczyznom. Były jednak wyjątki, np. Tajwan. Bo tu znaczenie ma religia, wychowanie, edukacja.

Czy wasze badania mają jakąś praktyczną stronę?

Te nad wpływem alkoholu na moralność powinny być uwzględnione w sądach. Tylko że to jeszcze potrwa – jesteśmy w fazie testowania, czy podobne wyniki powtórzą się w innych krajach i kulturach. Uważam też, że powinno się edukować dzieci i młodzież, skąd bierze się zło. A bierze się nie tylko z powodu picia alkoholu czy konformizmu, lecz także efektu gapia, rozproszonej odpowiedzialności itd. Edukację uważam za tak ważną dlatego, że koszty tego, że część z nas jest niemoralna, ponosi całe społeczeństwo. Wystarczy policzyć, ile państwa kosztują więzienia i praca sądów, a przedsiębiorców – nieetyczni pracownicy, którzy wynoszą sprzęty czy stale przebywają na nieuzasadnionym L4.

Przedsiębiorcy też stosują mnóstwo nieetycznych chwytów, ale mało który trafia za to do więzienia.

To prawda. Wśród fundamentów moralnych, poza krzywdą, jak pobicie, śmierć czy gwałt, jest też sprawiedliwość, przez którą rozumiemy okradanie lub niesprawiedliwe traktowanie. Wiele badań pokazuje, że ludzie różnie ją widzą i stosują tu zasadę Kalego, czyli jeśli coś jest dla mnie korzystne, to jest dobre, ale jak jest złe dla mnie, to jest złe w ogóle. Kolejnym fundamentem jest lojalność, czy to wobec męża, przyjaciela, partnera biznesowego czy grupy. Robiłam badania z udziałem osadzonych: do więzienia trafiają za to, że kogoś skrzywdzili lub okradli, ale bardzo restrykcyjnie przestrzegają zasady lojalności i autorytetu. A zatem to nie jest tak, że są niemoralni, tylko mają zachwiany kompas.

Jest jeszcze inny fundament moralny – świętości i czystości. Z jednej strony chodzi tu o czystość fizyczną i psychiczną. Czy np. niemoralne jest zjedzenie swojego psa, który wpadł pod samochód? Większość powie, że tak, bo jest to obrzydliwe i bezcześci się szczątki zwierzęcia, ale przecież nikomu nie stała się krzywda, bo pies już nie żył. A jeśli ktoś rozlał mleko i wytarł z podłogi kałużę flagą swojego kraju, czy było to niemoralne? I znów wiele osób powie, że tak, ale przecież jeśli nikt tego nie widział, to nikomu nic się nie stało.

Czy wasze wyniki mogą się kiedyś zmienić?

Oczywiście. Używamy pojęcia wielkości efektu. W większości naszych badań efekty są małe albo średnie, duży zaobserwować jest niezwykle trudno. Możemy zatem powiedzieć, że wyłapaliśmy jakieś zjawisko w niewielkim lub średnim stopniu. Jest zbyt wiele zmiennych, jak choćby pandemia, poza tym społeczeństwa cały czas się rozwijają.

Czy da się stworzyć narzędzia, które będą zapobiegać przemocy, oszustwom i zdradom?

Wszystkie moje badania zmierzają do poznania odpowiedzi na to pytanie i mam nadzieję, że za kilka lat to się uda. Z dr Dagną Kocur sprawdziłyśmy, czy u ludzi medytujących, po ośmiotygodniowym kursie *mindfulness*, zmienia się moralność. Na razie wyniki z wielu stron świata są sprzeczne – jedne pokazują, że się polepsza, a drugie, że pogarsza. Potrzebujemy więcej czasu, żeby to lepiej przebadać.

Mogła to pani badać w Madrycie lub Filadelfii, a jednak wróciła pani na Śląsk. Patriotyzm lokalny czy rodzina?

Jedno i drugie. Lubię swoją uczelnię i dobrze się czuję na Śląsku, gdzie mam męża i dwóch synów, rodziców, teściów, brata z rodziną. Choć gdybym po trzech latach krążenia między Filadelfią a Katowicami nie dostała dwóch grantów NCN, musiałabym się poważnie zastanowić, czy nie szukać finansowania moich badań za granicą.

Jak się pani udało godzić karierę naukową z życiem rodzinnym?

Kluczem był system wsparcia. Czasami wyjeżdżałam z rodziną, czasami sama. Mąż dużo wziął na siebie, ogarniał dom i logistykę, gdy mnie nie było. Pomogło też, że mieszkamy w domu wielopokoleniowym: na co dzień w opiece nad chłopcami pomagają moi rodzice, a teściowie również nas wspierają.

W pradziejach też było allorodzicielstwo, by kobieta mogła w tym czasie polować lub zbierać rośliny.

No to ja zbieram punkty ministerialne. Rzeczywiście w wychowanie moich synów zaangażowana jest cała rodzina, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Ogromne ukłony dla mojej mamy – bez niej pewnie by mnie tu dziś nie było albo ta droga byłaby znacznie trudniejsza. ■

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2025
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
za KS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
TVP info
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 11d96193c5

Pomnik bezimiennych

TOMASZ TARGAŃSKI

2 listopada 1925 r. pochowano w nim nastoletniego obrońcę Lwowa. Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie od stu lat jest pomnikiem patriotyzmu, choć na jego wygląd wpływają doraźne zmiany polityczne.



Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie, 1926 r.

eprasa.pl 11d96193c5

Dziś jawi się jako symbol arcypolski, na zawsze związany z Warszawą, ale pomysł postawienia Grobu Nieznanego Żołnierza sprowadzony został z Francji. Tam, ze względu na ogrom strat na froncie zachodnim pierwszej wojny światowej, niemożliwe stało się odnalezienie wszystkich ciał oraz grzebanie poległych z właściwym ceremoniałem. Ponieważ setki tysięcy żołnierzy pochowano w bezimiennych grobach, pojawiła się potrzeba ich upamiętnienia.

W 1916 r. François Simon – działacz jednego z licznych francuskich towarzystw patriotycznych – wystosował apel o stworzenie symbolicznego miejsca pochówku, gdzie rodziny poległych będą mogły oddać hołd swoim bliskim. Simon chciał wyjść naprzeciw emocji, którą doskonale rozumiał – sam stracił na wojnie trzech synów, nigdy nie odnalazł ich ciał i nie dowiedział się, gdzie zostali pochowani. Jego idea doczekała się realizacji 11 listopada 1920 r., w drugą rocznicę zakończenia wojny, kiedy szczątki nieznanego francuskiego żołnierza, wybranego losowo spośród tysięcy poległych w bitwie pod Verdun, złożono pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu.

Dyskusje i komitety

W Polsce Komitet Budowy Pomnika Nieznanego Żołnierza działał co prawda już od 1921 r., ale jego prace ugrzęzły pośród sporów o formę monumentu i miejsce, gdzie powinien się on znaleźć. Projekty upadały jeden po drugim. Tymczasem przypomniała o sobie zniecierpliwiona opinia publiczna. W grudniu 1924 r. u stóp pomnika księcia Józefa Poniatowskiego (stojącego wówczas na placu Saskim) ktoś położył płytę z piaskowca z napisem: „Nieznanemu Żołnierzowi, poległemu za Ojczyznę". Płyta i sam pomnik szybko stały się miejscem improwizowanych uroczystości ku pamięci obrońców ojczyzny. Zaczęły się tam gromadzić tłumy warszawiaków, z czasem pojawiły się delegacje z różnych części kraju składające kwiaty i wieńce. W stołecznej prasie krążył anonimowy wierszyk, napisany jakoby przez księcia Poniatowskiego, rozgniewanego na bezczynność urzędników: „Aby zbudzić niewdzięczne wasze serce/ i by Żołnierz Nieznany, dotąd w poniewierce/ miał wreszcie grób, na który czeka już lat cztery/ przynoszę wam ten kamień z dna rzeki Elstery!".

W marcu 1925 r. pierwszy w Polsce symboliczny pomnik (bez grobu) poświęcony bezimiennym żołnierzom powstał w Łodzi i w tym samym roku upamiętniające płyty położono w ponad 20 miastach. Jednak najbardziej wyczekiwano prestiżowego pomnika w stolicy – i to na nim była skupiona uwaga opinii publicznej. W styczniu 1925 r. zapadła oficjalna decyzja o jego ulokowaniu w kolumnadzie Pałacu Saskiego. Rozpatrywano również inne lokalizacje: m.in. stoki Cytadeli, Fort Legionów czy Krakowskie Przedmieście, ale plac Saski przeważył – to tam po odzyskaniu niepodległości organizowano uroczystości państwowe.

Zadanie wykonania pomnika powierzono rzeźbiarzowi Stanisławowi Ostrowskiemu. W centralnej części kolumnady Ostrowski umieścił masywną płytę nagrobną, na której wyryto słowa: „Tu leży żołnierz polski poległy za ojczyznę". Na otaczających grobowiec filarach zamieszczono cztery granitowe tablice z nazwami polskich bitew z lat 1914–20 i 1918–20.

Największe emocje budziła kwestia, skąd sprowadzić szczątki. Ogólne wytyczne mówiły, że powinny być to zwłoki z jednego z pobojowisk wojny z Rosją bolszewicką – z pola bitwy, gdzie zginęło najwięcej polskich żołnierzy. O zabranie głosu w sprawie poproszono gen. Stanisława Hallera, ówczesnego szefa Sztabu Generalnego, oraz gen. Mariana Kukiela, szefa Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Kryteria określono ściśle: musiało to być starcie zbrojne z wielką liczbą poległych, walka musiała być „zaszczytna" – to znaczy nie mogło być brane pod uwagę rozgromienie zaskoczonego oddziału, równe prawa miały zwycięskie natarcie i zawzięta obrona.

Ostatecznie wytypowano 15 miejsc. Pierwsze na liście było pobojowisko lwowskie, z przełomu lat 1918/19, kiedy Lwów był areną walk między Polakami i Ukraińcami. Wśród innych kandydatur znalazły się m.in. pola pod Radzyminem, gdzie 14 i 15 sierpnia 1920 r. zatrzymano bolszewickie natarcie na stolicę, Komarów, gdzie 30 sierpnia 1920 r. polska dywizja jazdy rozbiła 1 Armię Konną Budionnego w największej bitwie kawaleryjskiej tej wojny. Zwycięskie miejsce wyłoniono w drodze losowania, do którego doszło 4 kwietnia 1924 r. w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie. Piętnaście kartek z nazwami bitew trafiło do urny, z której losował odznaczony Virtuti Militari ogniomistrz Józef Buczkowski. „Kurier Poranny" tak relacjonował to, co się wówczas działo: „Podchodzi do urny i wyciąga z niej jedną z kart. Na sali robi się kompletna cisza, wśród której słychać twardy, żołnierski krok ogniomistrza Buczkowskiego, idącego z kartą do ministra spraw wojskowych. Gen. Sikorski odczytuje kartę i ogłasza, iż zwłoki Nieznanego Żołnierza wzięte będą z pobojowiska lwowskiego".

Choć wybór przyjęto z entuzjazmem, od razu pojawiły się wątpliwości. Wylosowana kartka mówiła o pobojowisku lwowskim z okresu listopad 1918 – marzec 1919 r. Niepokój wzbudzał fakt, że o miasto walczyli ze sobą wówczas mieszkańcy Lwowa i obecni obywatele II Rzeczpospolitej, co mogło przypomnieć o niezabliźnionych ranach w stosunkach między Polakami a Ukraińcami. Jednak losowanie było publiczne i wyników nie można było już zmienić.

Żołnierz ze Lwowa

29 października Cmentarz Obrońców Lwowa został otoczony przez kordon policji. Nikogo nie wpuszczano na teren nekropolii, a patrolowały go dodatkowo oddziały żandarmerii. Na cmentarz przyjechała komisja, która rozpoczęła ekshumacje. W jej skład wchodzili urzędnicy państwowi, duchowni, wojskowi oraz przedstawiciele firmy pogrzebowej. Na początek z nieoznakowanych grobów wydobyto trzy trumny. Narodowości pochowanych w dwóch z nich nie udało się ustalić, a w trzeciej spoczywał austriacki podoficer. Procedurę trzeba więc było powtórzyć. Wykopano kolejne trumny. Fragmenty umundurowania świadczyły o tym, że we wszystkich znajdowały się szczątki Polaków.

Wyboru jednej miała dokonać Jadwiga Zarugiewiczowa – matka Konstantego, młodego żołnierza, który w 1920 r. zginął w bitwie z bolszewikami pod Zadwórzem. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Zarugiewiczowa była we Lwowie znaną osobistością, ponieważ od lat działała na rzecz upamiętnienia poległych żołnierzy. „Wybrała trumnę najbardziej zniszczoną, z krzyżykiem najskromniejszym, bez żadnego napisu" – napisał dziennikarz „Kuriera Lwowskiego". Spoczywały w niej zwłoki żołnierza bez szarży, ubranego w mundur strzelecki z guzikami ▶

© NAC

eprasa.pl 11d96193c5

▶ z widocznymi orzełkami polskimi. Maciejówka wskazywała, że był to ochotnik (żołnierze regularnego wojska nosili rogatywki). Wstępne oględziny pozwoliły stwierdzić, że poległy żołnierz miał zaledwie kilkanaście lat i zginął od strzału w głowę. Druga kula zgruchotała mu lewą nogę. Ów anonimowy obrońca Lwowa stał się najsłynniejszym polskim „nieznanym żołnierzem".

W nocy trumna trafiła do kaplicy cmentarnej rozświetlonej pochodniami i świecami. Żołnierze zaciągnęli przy niej honorową wartę, a nazajutrz w uroczystym pochodzie przeniesiono ją do lwowskiej katedry. Ekshumacja stała się we Lwowie wielką manifestacją patriotyzmu. Miasto udekorowano kwiatami, a mieszkańcy wywieszali biało-czerwone chorągiewki w oknach. 1 listopada nieznany żołnierz wyruszył w podróż do Warszawy. Umieszczona na armatniej lawecie trumna jechała na wagonie z odkrytym pomostem, dzięki czemu zebrana wzdłuż torów publiczność mogła oddać jej cześć.

2 listopada 1925 r. złożenie szczątków nieznanego żołnierza do grobu skupiło uwagę całego kraju. Chętnych do wzięcia udziału w uroczystości było tak wielu, że na plac Saski – o wiele ciaśniejszy niż dziś z uwagi na trwającą rozbiórkę soboru św. Aleksandra Newskiego – wpuszczano tylko z odpowiednim zaproszeniem. Nazajutrz „Kurier Warszawski" zrelacjonował: „Zebrane rzesze ustawiły się w długie, ciągnące się kilkadziesiąt metrów szeregi, po kilka osób, i stopniowo posuwały się ku mogile. Przed samym grobem szeregi zatrzymywały się na kilkanaście sekund, poczem ustępowały miejsca następnym".



Plac Saski podczas okupacji był w niemieckiej dzielnicy rządowej

W akcie wieczystym włożonym do mogiły gen. Władysław Sikorski napisał, że państwo polskie chce „wyrazić wieczystą cześć dla tysięcy żołnierzy, którzy przelali krew z imieniem Polski na ustach". Uroczystości zakończyły się z chwilą, gdy prezydent Stanisław Wojciechowski złożył pod grobem wieniec od narodu, a następnie zapalił wieczny znicz. Z czasem podniosły nastrój otaczający grób ustąpił jednak miejsca codzienności. Jak donosił „Kurier Warszawski" z 28 stycznia 1926 r. ,przed grobem nie wystawiano już warty honorowej, a w bezpośrednim otoczeniu „często daje się zauważyć fakty zdradzające brak kultury, ludzie zbliżają się do samej płyty z papierosem w ustach i kapeluszach na głowie".

Ruina i odbudowa

Podczas drugiej wojny światowej plac Saski (przemianowany na Adolf-Hitler-Platz) był wykorzystywany przez Niemców jako miejsce defilad z okazji rocznicy najazdu na Polskę (każdego 1 września). I choć otaczały go hitlerowskie symbole władzy, dla Polaków Grób Nieznanego Żołnierza pozostał ważnym symbolem patriotyzmu. Czasami dokonywano tam nawet aktów małego oporu: 15 sierpnia 1941 r. ktoś złożył pod pomnikiem wieniec z napisem „Nieznanemu Żołnierzowi Rząd RP".

Punktem zwrotnym w dziejach monumentu było powstanie warszawskie i metodyczna destrukcja stolicy po jego stłumieniu. W grudniu 1944 r. Pałac Saski został wysadzony w powietrze przez wycofujących się z Warszawy Niemców. Ocalała tylko część arkad nad samym grobem. Fakt, że po wojnie w stojących wciąż filarach odkryto wywiercone otwory na ładunki wybuchowe, skłaniał do pytań, dlaczego nie wysadzono ich w powietrze z całą resztą. W jednej z audycji Polskiego Radia prowadzonej przez Małgorzatę Kandefer w 1983 r. Feliks Augustyn Ptaszyński, ówczesny konserwator zabytków Warszawy, przytoczył popularną pogłoskę, jakoby niemiecki saper, członek Sprengkommando, miał nie wykonać rozkazu w odruchu szacunku dla tego miejsca.

Po wojnie otoczenie grobu całkowicie się zmieniło. Kiedy morze ruin po Pałacu Saskim usunięto, na ziejącym pustką placu z ziemi wyrastały jedynie trzy środkowe arkady. Dzieło odbudowy powierzono architektowi Zygmuntowi Stępińskiemu, którego zamierzeniem było zmienić ruinę w symbol. Kiedy odbudowany pomnik odsłonięto w 1946 r., tylko nagie cegły pozostawione po obu stronach sklepienia przypominały, że był kiedyś częścią większej całości. Zmiana formy to nie wszystko – nastąpiły również zmiany w treści. Ze względów politycznych z tablic upamiętniających pola bitew żołnierza polskiego zniknęły te związane z wojną polsko-bolszewicką. W ich miejsce pojawiły się nowe, obejmujące lata 1936–45 (rok 1936 symbolizował udział Polaków w walce z faszyzmem podczas hiszpańskiej wojny domowej). Nowym elementem były również wazy z ziemią z 24 pól bitewnych, gdzie walczyli Polacy podczas drugiej wojny światowej.

Po przełomie politycznym 1989 r. na filary Grobu Nieznanego Żołnierza trafiły kopie tablic z 1925 r. Dodatkowo odsłonięto 14 nowych płyt upamiętniających wszystkie najważniejsze bitwy w historii Polski. Odtąd pomnik i jego otoczenie stały się centralnym punktem uroczystości państwowych z okazji odzyskania przez Polskę niepodległości czy świętowania rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Jako „pomnik patriotyzmu" Grób Nieznanego Żołnierza jest bardzo wrażliwy na zmiany polityczne, czego dowodzą modyfikacje dokonane w latach 2016 i 2017. To wówczas na kolumnach pomnika pojawiły się dwie nowe tablice: jedna poświęcona żołnierzom wyklętym walczącym po 1945 r. z komunistyczną władzą i druga upamiętniająca żołnierzy, którzy bronili Polaków przed ukraińskimi oddziałami z OUN i UPA podczas masakr na Wołyniu.

W nadchodzących latach w związku z odbudową Pałacu Saskiego pomnik przejdzie kolejną metamorfozę. Prawdopodobnie zostanie wkomponowany w kolumnadę Pałacu Saskiego, co zbliży go do formy, jaką miał przed wojną. Jedno jest pewne: historia Grobu Nieznanego Żołnierza jako symbolu wciąż nie jest zamknięta.

TOMASZ TARGAŃSKI

Korzystałem z: Joanna Hübner-Wojciechowska „Grób Nieznanego Żołnierza".

© CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 11d96193c5

Ruchome imperium

Marie Favereau, **Orda. Jak Mongołowie zmienili świat**, przekład Adam Bukowski, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2025, s. 432

Mongołowie cieszą się złą sławą krwiożerczych wojowników, którzy zostawiali po sobie zgliszcza. Taka opinia trwa w pamięci europejskich narodów, które zetknęły się z tymi najeźdźcami. Zamiast jednak epizodycznych i siłą rzeczy tendencyjnych relacji Marie Favereau patrzy na ordę od środka, z perspektywy samych Mongołów, którzy wcale nie chcieli „podbijać świata" ani budować tradycyjnie rozumianego imperium. Naprawdę dobre książki historyczne potrafią zmienić nasze myślenie o przeszłości. „Orda" jest jedną z nich, ponieważ autorce udało się pokazać, jak Mongołowie pojmowali kwestie podbojów, budowy państwa, handlu czy dystrybucji dóbr i jak bardzo ich koncepcje odbiegały od europejskich. Orda nie była tradycyjnym lądowym imperium ani monarchią dynastyczną. Była jedynym w swoim rodzaju ruchomym imperium, zbudowanym i zarządzanym z końskiego grzbietu. Na uwagę zasługują rozdziały poświęcone stosunkom ordy z Rusią, szczególnie Moskwą, której władcy czerpali korzyści z „tatarskiego jarzma", tak bardzo potępianego przez rosyjską historiografię. Wbrew podtytułowi Favereau nie dowodzi, że Mongołowie „zmienili świat" – pokazuje natomiast, że za pomocą własnych, wypracowanych na stepie instytucji stworzyli unikatowy system polityczny, który działał przez stulecia.

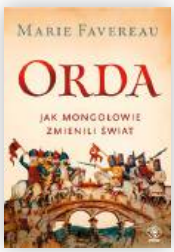

TOMASZ TARGAŃSKI

Kościół, który umiał liczyć

Kamil Janicki, **Dziesięcina. Prawdziwa historia kleru w dawnej Polsce**, Wydawnictwo Poznańskie, 2025, s. 444

Kamil Janicki lubi sięgać po tematy znane, ale takie, o których się milczy. Tym razem rozbiera na czynniki pierwsze ekonomiczne, społeczne i moralne podstawy potęgi Kościoła, pokazując, że duchowieństwo przez wieki funkcjonowało nie tylko jako wspólnota wiary, lecz także jako sprawnie działająca korporacja. Autor rekonstruuje z drobiazgowością archiwisty i temperamentem publicysty system opłat, przywilejów i nadużyć, który spajał plebanię z folwarkiem, a wiernych z obowiązkiem płacenia i posłuszeństwa. Na przykładzie biskupów krakowskich, którzy kontrolowali dziesiątki wsi, kopalnie, huty szkła i gorzelnie, Janicki pokazuje, że Kościół był jednym z największych przedsiębiorców przedrozbiorowej Polski. Beneficjum zapewniało duchownym osobisty dochód i luksusowy styl życia – od srebrnych kielichów po importowane wina. To nie był święty lud Boży, lecz hierarchia interesów, konfliktów i pokus, w której dziesięcina była narzędziem władzy. Janicki pisze potoczyście, z ironią, przeliczając – jak to robił już w książce „Średniowiecze w liczbach" – złote polskie na współczesne kwoty, bo historia majątku kleru to także historia władzy nad ludźmi. „Dziesięcina" to lekcja o tym, jak instytucja mająca nieść zbawienie nauczyła się doskonale liczyć.



AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Z Ewą w Barcelonie

Jan Stanisław Ciechanowski, **Pireneje – brama do wolności. Polska ewakuacja wojskowa przez Hiszpanię i Andorę w latach 1940–1944**, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2025, s. 282

Odtwórca roli Zagłoby w „Panu Wołodyjowskim" Mieczysław Pawlikowski latał w czasie drugiej wojny na Halifaxie. W sierpniu 1943 r., po awaryjnym lądowaniu w południowej Francji, przedostał się przez Andorę do Hiszpanii, a stamtąd do Anglii. Podobną drogę, również przez Lizbonę, Gibraltar bądź Afrykę Północną pokonało od czasu klęski Francji w 1940 r. do zakończenia wojny ponad 8 tys. polskich żołnierzy. Czyhały na nich niebezpieczeństwa: trudne warunki pogodowe w górach, hiszpańska straż graniczna, gestapo. Nie brakowało wpadek. Pechowcy trafiali do zorganizowanego przez Hiszpanów obozu koncentracyjnego w Miranda de Ebro. Dwa i pół roku spędził w nim Antoni Kępiński, po wojnie wybitny psycholog. To historia niesłychanego uporu tzw. turystów Sikorskiego, ale też walki wywiadów. Przerzutem zajmowała się placówka pod kryptonimem „Ewa" zorganizowana przez polski wywiad. Niemcy starali się utrudnić przerzut Polaków, uruchamiając kanały dyplomatyczne, wprowadzając agentów. To historia pasjonująca i mało znana. Opisał ją znawca stosunków polsko-hiszpańskich Jan Stanisław Ciechanowski, który przebadał ponad 30 (w tym rosyjskich i brytyjskich) archiwów.

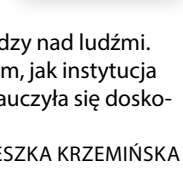

MARCIN ZAREMBA

Myśli i czyny

Michał Siermiński, Przemysław Witkowski, **Obywatel Michnik. Myśl polityczna Adama Michnika**, Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza, Warszawa 2025, s. 850

Ilekolwiek czasu poświęcić na studiowanie pisarstwa Adama Michnika, na wsłuchiwanie się w jego wywody i myśli, zawsze tego czasu będzie za mało. W każdym razie każde kolejne przybliżenie jest bezcenne, dostarcza nowych treści i przesłanek do poznawania i rozumienia tej niezwykłej postaci, tak silnie obecnej w dziejach PRL, a potem w III RP aż do dzisiaj. Na pewno wielkim osiągnięciem dwóch historyków idei, Michała Siermińskiego i Przemysława Witkowskiego, było zebranie i przygotowanie do druku ponad dwudziestu jego tekstów – powstawały w różnym czasie, przez wiele dziesięcioleci i układają się w konsekwentną myśl polityczną. Znakomita ich część jest wpisana w proces kształtowania się w PRL opozycji demokratycznej, który ewokował, prowadził do idei i doświadczenia Solidarności, do wolności, demokracji i niepodległości. Udział Adama Michnika w nakreślaniu strategii i poszukiwaniu „etapowych taktyk" opozycji był wybitny. Po 1989 r. teksty redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" – i te gorąco reagujące na współczesność, i te na pozór historyczne – zawsze miały stały skład wartości i zasad, zawsze były najbliższe aksjologii demokracji liberalnej. Antologię poprzedza obszerna rozmowa z jej autorem, świetna, bogata, w której widać integralność myśli i czynów obywatela Michnika.



WIESŁAW WŁADYKA

eprasa.pl 11d96193c5

Jerozolima musi wrócić do Oslo

30 lat temu zawarcie porozumienia pokojowego z Palestyńczykami zakończyło się śmiercią jego pomysłodawcy Icchaka Rabina. Jak to zmieniło Izrael, opowiada Shimon Sheves, najbliższy współpracownik nieżyjącego premiera.

AGNIESZKA ZAGNER: **– W nocy 4 listopada 1995 r. w Tel Awiwie rozległy się strzały. Był pan tam, na placu Królów Izraela, gdzie przemawiał premier Icchak Rabin i gdzie został postrzelony. Co pan pamięta?**

SHIMON SHEVES: – To była straszna noc. Nie chciałem wielkiej imprezy w Tel Awiwie, który jest oddzielnym światem,

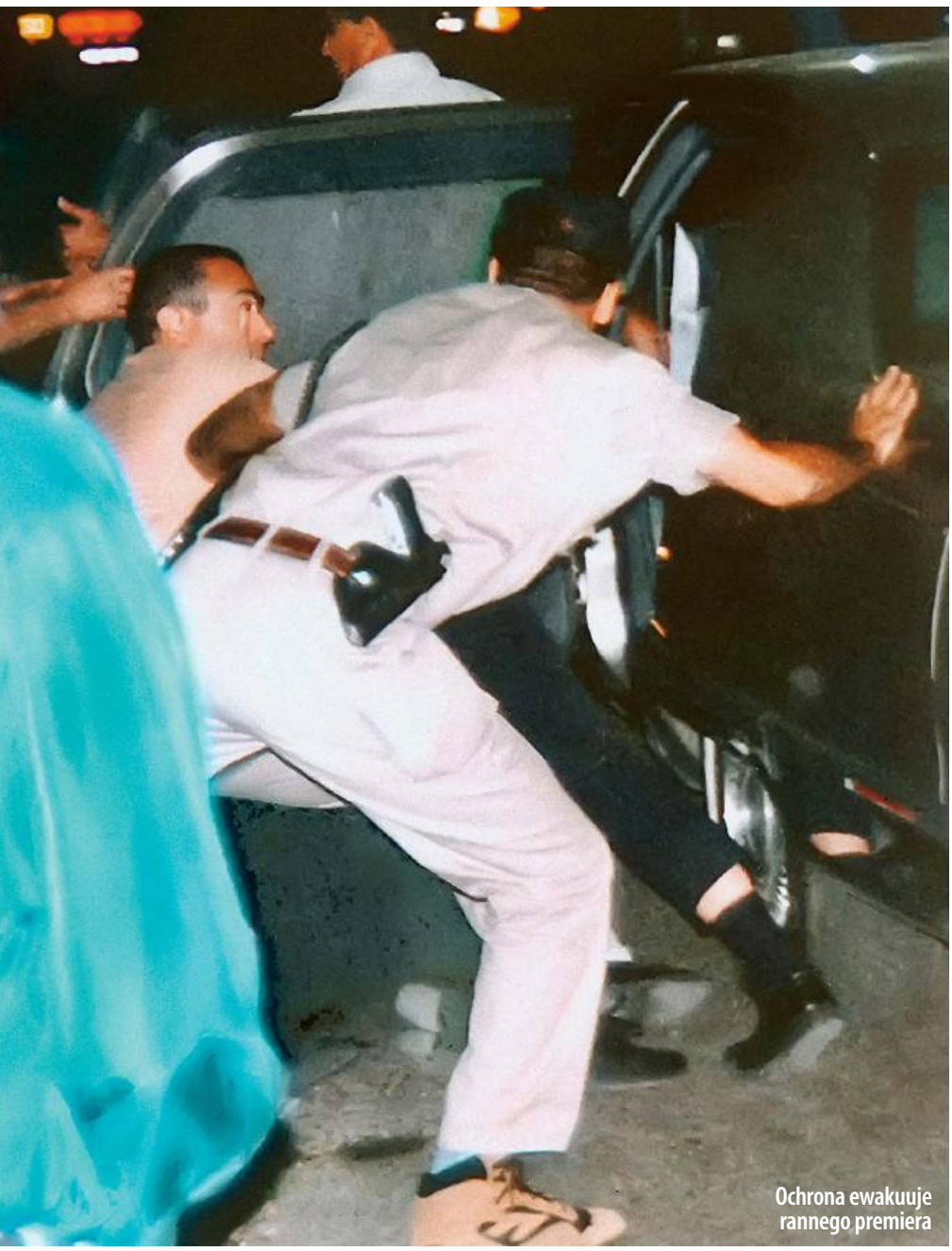

Ochrona ewakuuje rannego premiera





eprasa.pl 11d96193c5

gdzie większość to liberałowie i lewicowcy. Wolałem, żeby Rabin, przywódca lewicowej Partii Pracy, wyszedł poza tę swoją bańkę, przyciągnął ludzi spoza niej. Ale machina ruszyła, zaangażowałem się w przygotowania, wszystko było gotowe. Tamtej nocy Rabin też nie chciał być na placu Królów, choć z innego powodu niż ja – sądził, że przyjdzie mało osób. Hasło wiecu początkowo miało brzmieć: „Dla pokoju". Ja zaproponowałem: „Tak dla pokoju, nie dla przemocy". Dla mnie to było bardzo ważne, bo wtedy narastała ogromna fala nienawiści do nas. Rabina przedstawiano w mundurze SS, noszono jego trumnę na demonstracjach, ludzie krzyczeli, że jest zdrajcą.





© AFP/EAST NEWS, TOPFOTO/FORUM, CYNTHIA JOHNSON/GETTY IMAGES

Od góry: **szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Izraela Icchak Rabin** (w środku) **z ministrem obrony gen. Mosze Dajanem** (z lewej) **i lokalnym dowódcą idą do Ściany Płaczu w Jerozolimie podczas wojny sześciodniowej, czerwiec 1967 r.**

Symboliczny uścisk dłoni premiera Icchaka Rabina z Jasirem Arafatem w obecności prezydenta USA Billa Clintona przed Białym Domem, wrzesień 1993 r.

Jak on to znosił?

Cierpiał. Były momenty naprawdę niebezpieczne – pamiętam spotkanie koło Netanji. Agenci Szin Bet kontrolowali sytuację, ale rozwścieczony tłum był bardzo blisko. Już wtedy czuło się grozę. Na drogach i skrzyżowaniach co piątek i wtorek odbywały się gwałtowne demonstracje. Rabin zadzwonił wtedy do Beniamina Netanjahu, lidera opozycji. Powiedział mu, że musi powstrzymać swoich ludzi. Ale Netanjahu odmówił spotkania. Przez cały ostatni rok Rabin nie spotkał się z nim ani razu. Mówił: „On jest przywódcą tej nagonki".

Netanjahu rzeczywiście podsycał nienawiść?

Tak. Rabin prowadził tajne rozmowy z Palestyńczykami w Oslo zakończone umową z Jasirem Arafatem, przywódcą Organizacji Wyzwolenia Palestyny, podpisaną we wrześniu 1993 r. w Waszyngtonie. Po tym porozumieniu z Oslo zaczęła się fala oburzenia i przemocy. Zresztą po obydwu stronach: Arafata atakowali ekstremistyczni Palestyńczycy, Rabina – ekstremistyczni Żydzi.

Ale tamtej nocy przed siedzibą ratusza w Tel Awiwie wśród tysięcy ludzi panowała radosna atmosfera, tłum śpiewał z Rabinem „Pieśń o Pokoju".

Na początku wszystko wyglądało radośnie, ale coś mi się nie podobało. Dla mnie, jak mówiłem, to był zły wieczór od samego początku, poza tym miałem problemy ze stopą i nie mogłem wejść na scenę. Stałem więc pod nią i oglądałem przemówienie Rabina, a potem poszedłem do samochodu, który policja ze względu na moją nogę pozwoliła zaparkować blisko. Kiedy już byłem przy aucie, zadzwonili, że ktoś strzelił, ktoś został postrzelony, nie wiedzieli jeszcze kto. Domyśliłem się, że chodzi o Rabina. Pojechałem natychmiast do szpitala, samochód z premierem dotarł dosłownie dwie minuty przede mną. Wszedłem na izbę przyjęć, potem zaczęli przyjeżdżać inni – rodzina, Szimon Peres, razem z którym Rabin prowadził negocjacje w Oslo i dostał pokojowego Nobla, reszta zespołu z Partii Pracy. Po godzinie wyszedł do nas ordynator i powiedział: „Nie żyje. Nie udało się go uratować". Zaprosili mnie, Peresa i kilka osób, byśmy mogli się pożegnać. Stałem przy jego łóżku przez 15 minut.

Pamięta pan swoje emocje z tamtych chwil?

Byłem w szoku. Stałem jak sparaliżowany – i od razu zrozumiałem, co to oznacza dla kraju.

Wiedzieliście już wtedy, kto strzelał?

Wiedzieliśmy, że to Żyd. Policja podała tę informację bardzo szybko. Potem wyszedłem na zewnątrz, udzieliłem wywiadu w telewizji. Powiedziałem wtedy: „Straciłem swój kraj. Kraj, który istniał przed zabójstwem, już nigdy nie będzie taki sam". Izrael sprzed zamachu i Izrael po – to dwa różne światy. Rabin ucieleśniał Izrael – jako pierwszy premier tutaj urodzony i wychowany, żołnierz, szef sztabu, minister obrony, dwukrotny premier. Jeśli ktoś mówi „Izraelczyk", to ma przed oczami Rabina. I ten człowiek został zabity za swoje poglądy przez Żyda.

Dlaczego Igal Amir to zrobił?

Chciał zatrzymać proces pokojowy z Palestyńczykami. I to mu się udało. Proces pokojowy między Izraelem i Palestyną w formie, jaką wyobrażał sobie Rabin, zakończył się 4 listopada 1995 r. Idea Oslo zgasła. Rabin wierzył w rozmowy, w porozumienia. Od lat 70. uważał, że kluczowym problemem Izraela nie są Syria ani Jordania, lecz Palestyńczycy. Wielokrotnie w rozmaitych kampaniach powtarzał: „Jako Żyd mam świadomość, że mamy prawo do ziemi Izraela, bo jest to ziemia obiecana przez Boga. Ale jeśli chcemy, żeby Izrael był państwem żydowskim, demokratycznym i liberalnym, musimy pójść na kompromis z Palestyńczykami. To jest mój cel". Porozumienie z Oslo było narzędziem realizacji jego idei stworzenia bezpiecznego, suwerennego państwa żydowskiego, które nie będzie musiało kontrolować milionów Arabów. Wiedział, że nie uda się zmusić Palestyńczyków do emigracji z Izraela, nie da się represjami zwalczyć OWP. Dlatego zdecydował się na podpisanie układu o utworzeniu Autonomii Palestyńskiej. Nie wykluczał funkcjonowania dwóch państw. Dwa ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ tygodnie przed zamachem powiedział jasno, że jego planem jest „państwo palestyńskie minus". W wizji Rabina Izrael na zawsze miał pozostać w Dolinie Jordanu i na Zachodnim Brzegu. „Minus" oznaczało sferę bezpieczeństwa – granice i obrona miały pozostać w rękach Izraela. Cała reszta – ich sprawy wewnętrzne – miała należeć do Palestyńczyków.

Jak Rabin, zawodowy wojskowy, stał się człowiekiem pokoju?

Jego filozofia: „Silny w obronie, odważny w pokoju". Powtarzał często, że pokój wymaga więcej odwagi niż wojna. I to była jego największa spuścizna. Myślę, że dziś Izrael bardzo za tym tęskni. Za liderem, który miał wizję. Nie za kimś, kto walczy tylko o przetrwanie w sondażach. Kiedyś powiedział mi: „Nie jestem tutaj po to, żeby być popularny. Jestem tutaj po to, żeby coś zmienić". I naprawdę to robił. Czasami był zimny, szorstki. Nie był typem polityka, który się uśmiecha i przytula ludzi, ale był uczciwy. Słowo u niego coś znaczyło. Dzisiaj nie mogę już tego powiedzieć o nikim w rządzie.

Służył w armii jeszcze przed wojną o niepodległość, był w Haganie, w kompanii szturmowej Palmach, w sumie spędził w wojsku ok. 27 lat, miał stopień generalski. Był szefem sztabu, a nie politykiem. Ale w jego rodzinie dużo się o polityce rozmawiało. Matkę ludzie nazywali Czerwoną Rosą, prawdziwa socjalistka. Ojciec pracował w zakładach elektrycznych, działał w związku zawodowym, potem Rabin z siostrą mieszkali w kibucu Manara przy granicy z Libanem, gdzie też polityka była obecna.

W polityce znalazł się trochę przypadkiem.

Po odejściu z wojska zgłosił swoją kandydaturę na ambasadora w Stanach Zjednoczonych i chyba wtedy narodził się jako polityk. Zrozumiał, że prawdziwy wpływ na wydarzenia i siła polityczna mogą zmieniać świat. Był jednym z najważniejszych żydowskich dyplomatów swoich czasów. Podczas prezydentury Richarda Nixona nawiązał przyjaźń z Henrym Kissingerem – bliską aż do końca życia. Kissinger wiele go nauczył, wspólnie działali na rzecz Izraela. To za jego czasów powstała pierwsza organizacja, która zabiegała o amerykańskie wsparcie militarne dla Izraela. Przed 1968 r. głównym dostawcą broni była Francja, ale gdy Rabin został ambasadorem, całkowicie zmienił kierunek polityki zagranicznej – na Stany Zjednoczone. To on zbudował fundament dzisiejszego sojuszu izraelsko-amerykańskiego. Stworzył trwałe kanały współpracy między izraelskim ministerstwem obrony a Pentagonem, CIA, Departamentem Stanu i Białym Domem. I mimo wszystkich kontrowersji wokół Nixona trzeba przyznać, że był pierwszym prezydentem USA, który naprawdę poparł Izrael.

Jak bardzo dzisiejszy Izrael różni się od tego z wizji Rabina?

To całkiem inny Izrael. Wizja Rabina – państwa silnego, ale sprawiedliwego, odważnego, ale moralnego – powoli się rozmyła. 30 lat to długi czas dla narodu. Z dzisiejszych 10 mln obywateli Izraela tylko ok. 3–3,5 mln żyło wtedy. Większość to młodzi, którzy byli dziećmi. Dla nich to tylko historia. Po jego śmierci wszystko się załamało. Peres próbował kontynuować jego dzieło, ale nie miał tej siły. A potem przyszedł Netanjahu. I od tego momentu wszystko zaczęło się odwracać. Zamiast iść w stronę pokoju, zaczęliśmy się cofać. Zaczęły się manipulacje, kłamstwa, podziały. Zaczęliśmy nienawidzić siebie nawzajem. Lewica przeciw prawicy, religijni przeciw świeckim, Tel Awiw przeciw Jerozolimie. I dziś, kiedy patrzę na kraj, widzę dwa Izraele, nie jeden. Ten, który jeszcze wierzy w demokrację, w prawa człowieka, w pokój, w równość. I ten, który wierzy tylko w siłę, w nacjonalizm, w przemoc, w religię jako narzędzie władzy. I ten drugi, niestety, dziś rządzi. Likud pod rządami Netanjahu przestał być ruchem politycznym, stał się sektą. Nie ma tam debat, dyskusji. On sam decyduje o wszystkim. Połączył siły z ortodoksami i ekstremistami. Pierwszy raz w historii Izraela coś takiego się dzieje.

Nazwał pan prawicowych ekstremistów „żydowskim Hamasem".

I podtrzymuję te słowa, bo oni myślą podobnie. Fanatyzm jest ten sam, tylko macha inną flagą. Są groźni. Jeśli Netanjahu znów wygra, to będzie koniec izraelskiej demokracji. Z zewnątrz wszystko będzie wyglądać tak samo – Kneset, sądy, media – ale to będzie tylko wydmuszka, w środku to już będzie coś innego. To byłoby zaprzeczenie marzenia tych, którzy tworzyli Izrael w 1948 r. Jeśli nie dojdzie do oddzielenia od Palestyńczyków, czeka nas jedno państwo – a to oznacza katastrofę. Bo w takim państwie większość nie będzie żydowska. A jeśli pozbawimy Arabów praw wyborczych – to nie będzie demokracja, tylko apartheid. Ja nie chcę żyć w państwie apartheidu.

Jak mógłby wyglądać Izrael, gdyby Rabin nie został zamordowany?

Nie wiem, czy udałoby się nam do tej pory osiągnąć pokój, ale bylibyśmy bliżej niż kiedykolwiek. Za czasów Rabina była nadzieja. Ludzie zaczęli się uśmiechać. Naprawdę – było wtedy inne powietrze w Izraelu. Nie było tej nienawiści, jaką widzimy dzisiaj. Nie było tego podziału, tej goryczy. On chciał, żeby ludzie zrozumieli, że można żyć w tym państwie inaczej – nie tylko przez pryzmat wojny i strachu. Że można budować przyszłość na edukacji, gospodarce, technologii. Wtedy zaczęliśmy tworzyć to, co później stało się izraelską Doliną Krzemową. On wspierał naukę, inwestował w inżynierię, w badania. Dzięki niemu powstały setki start-upów, zanim ktokolwiek w ogóle używał tego słowa.

Czy jego marzenie umarło razem z nim?

W pewnym sensie nadal żyje. Każdy amerykański prezydent wraca do wizji Rabina dwóch państw. Nawet Donald Trump. Nawet on, konserwatysta, mówił o rozwiązaniu bardzo podobnym do porozumienia z Oslo. Choć plan Trumpa jest gorszy, bo zakłada zarządzanie odgórne, bez rozmów. Nie ma innego rozwiązania, innej drogi poza dwoma państwami: izraelskim i palestyńskim. Jeśli tego nie zrobimy, będzie katastrofa.

Przechodzi pan czasem obok miejsca, gdzie Rabin został zabity?

Tak, mieszkam niedaleko. Za każdym razem mam ciarki na skórze, nawet łzy w oczach.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA ZAGNER



© MP

Shimon Sheves (ur. 1952) – izraelski polityk, przez lata prawa ręka byłego premiera Icchaka Rabina, najpierw jako jego asystent, potem dyrektor generalny kancelarii premiera. Stał także na czele zwycięskiej dla Partii Pracy kampanii wyborczej w 1992 r. Po śmierci Rabina odszedł z czynnej polityki i zajął się biznesem oraz doradztwem rządom i przywódcom w Europie i USA.

eprasa.pl 11d96193c5



„Triumf śmierci", fresk sycylijski anonimowego autora, ok. 1445 r.

Śmierć wiecznie żywa

W dziejach ludzkości nie brakło śmiałków, którzy próbowali się targować ze śmiercią, sięgając po religię lub filozofię. Dziś zaprzęga się w tym celu naukę. Czy z lepszym skutkiem?

ADAM KRZEMIŃSKI

W Rzymie za zwycięskim wodzem szedł niewolnik, niosąc nad jego głową wieniec laurowy i mamrocząc „memento mori". „Pamiętaj o śmierci. Ty i twój triumf w proch się obrócą". Horacy, sielski poeta, przeczył temu, przekornie pisząc „non omnis moriar". „Niezupełnie umrę, pozostanie moja poezja". A jednak nie, odpowiadał mu w 1637 r. śląski poeta Andreas Gryphius, uchodźca do Gdańska i Leszna z ojczyzny pustoszonej w czasie wojny trzydziestoletniej: „Es ist alles eitel". „To wszystko próżność. Co człowiek dziś buduje, jutro ktoś inny zniszczy. Gdzie teraz miasta stoją, jutro będą ugory. Ani marmur, ani brąz nie są wieczne. Sławne czyny jak sen się rozwieją. To, co dziś tak cenimy, to tylko pył na wietrze. Nikt nie chce widzieć tego, co naprawdę wieczne".

Dusza żegna ciało

Świadomość przemijalności, lęk przed śmiercią i tym, co (być może) nastąpi potem, jest źródłem magicznego myślenia i religii. Ciało się rozpada. A dusza? Kto decyduje o śmierci człowieka akurat w tym momencie? Czy jest jakaś nagroda lub kara za dobre lub złe życie? U Greków bóg śmierci Tanatos odcinał kosmyk włosów umierającego. W Rzymie nić życia przecinały Parki. Ale istotą śmierci ▶

© UIG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 11d96193c5

▶ było oddzielenie ciała od duszy, która przez rzekę zapomnienia wchodziła do królestwa bezbarwnych cieni. Choć Sokrates szydził, że wypiwszy cykutę, będzie w Hadesie w świetnym towarzystwie, bo tam „wszyscy są szczęśliwsi niż tu i nieśmiertelni".

Inaczej w chrześcijaństwie, gdzie dusza w zaświatach odpowie za życie zmarłego. I to nie raz – według Augustyna, jednego z ojców Kościoła – bo najpierw tuż po śmierci na Sądzie Ostatecznym, a potem u kresu wszech czasów, gdy tylko nieliczni wstaną z grobów, a większość maltretowanych w piekle dusz pochłonie szatan i zniknie wraz z nimi. Dante dokładnie opisze surowych egzaminatorów, którzy jednych skazują na wieczne męki lub „poprawczak" w czyśćcu, a innych nagradzają zbawieniem. Ale i w niebie obowiązuje hierarchia: jedni trafiają do kręgu wewnętrznego miłości, która „wprawia w ruch słońce i gwiazdy". Inni tę światłość oglądają z dystansu odległych planet.

Także islam zna nieustające palenisko piekła. Ale muzułmański raj to ogród rozkoszy dość przyziemnej. Domy są z pereł i złota. Na mężczyzn czekają hurysy. Mężatki pozostaną z mężami. A niezamężnym Allah przydzieli odpowiedniego ślubnego. U Maorysów szaman szepcze noworodkowi imiona przodków. Osesek kichnięciem wskazuje, który z nich w nim powrócił. Z kolei buddyzm nie zna ani piekła, ani raju, ani podziału na ciało i duszę. Jest ciągłe przenikanie strumienia świadomości wchodzącego w nowe istnienia w zależności od karmy – postępowania w poprzednim wcieleniu. Wyzwoleniem od nawrotów udręki jest wyczyszczenie świadomości w nieistnieniu – nirwana.

Czy śmierć ma płeć

Chrześcijaństwo to jedyna religia, której symbolem jest narzędzie okrutnej śmierci – krzyż. Kult Męki Pańskiej ogniskuje teologię odkupienia i zmartwychwstania, do którego trzeba się przygotować za życia. Jak sobie za życia pościelisz, tak się po śmierci wyśpisz. Ale sztuka życia (ars vivendi) to tylko odwrotna strona – ważniejszej – sztuki umierania (ars moriendi). Średniowieczny medyk ustępował miejsca duchownemu, by ten rozgrzeszeniem i ostatnimi sakramentami poprowadził umierającego między lękiem przed potępieniem a nadzieją na zbawienie. Biologiczna śmierć była nieistotna, sekcja zwłok zakazana – nienaruszone miały zostać oddane poświęconej ziemi, najlepiej w kościelnej kruchcie, blisko relikwii, przygotowane do cielesnego zmartwychwstania.

Zgroza czarnej śmierci w XIV-wiecznej Europie oraz odrodzenie starożytnej filozofii natury podważyły tę teologiczną i medyczną wiedzę o umieraniu ciała i boskiej sprawiedliwości. Wraca zainteresowanie mechaniką śmiertelności ciała. Słabnie roztrząsanie nieśmiertelności duszy, szczegółów kary i zbawienia w zaświatach. W europejskiej sztuce znów pojawia się postać śmierci. Ale nie jako rzymska prządka, lecz kościotrup z kosą. W łacinie i niemczyźnie śmierć jest mężczyzną (mors, der Tod). U nas i we Francji – kobietą (la mort). Nasza kostucha to posępna odwrotność karmiącej matki, ciepłej żony czy kochanki. Często zakapturzona, bez twarzy, nie ma nic z rozwiązłych szkieletów, które w tańcach śmierci przeciągają przez sztukę europejską od późnego średniowiecza po barok.

Kartezjusz, świadom rzezi w wojnie trzydziestoletniej, był wiernym katolikiem. Boga uważał za ideę istoty doskonałej zaszczepioną przez nią w umyśle niedoskonałego człowieka. Zarazem jego zdaniem śmierć nie polegała na tym, że Bóg powołuje duszę do siebie. Po prostu ciało się psuje niczym zegarek z pękniętą sprężyną. Dusza istnieje jako duchowa substancja w mózgu, ale zależna od ciała. W czasach oświecenia zgroza śmierci słabnie.

W „Rozważaniach o historii śmierci" Philippe Ariès pokazuje, jak ceremonie żałobne stawały się coraz skromniejsze, a sztuka funeralna nabierała dyskrecji. Zamiast trupich czaszek na sarkofagach czy rozkładających się zwłok w malarstwie pojawiają się łagodniejsze symbole przemijania: przywiędłe gałązki, a na obrazach niedojedzona potrawa... Cmentarze przestaną lgnąć do kościołów. W XIX w. staną się nekropoliami miejskimi, a z czasem – narodowymi i państwowymi.

Traktując śmierć jako przypadłość natury, a nie bramę w zaświaty, powracano do starego pytania, czy człowiekowi wolno targnąć się na siebie. Według Augustyna – w żadnym wypadku. Judasz, wieszając się po zdradzeniu Chrystusa, jedynie powiększył swój grzech (Dante umieszcza go w samym jądrze piekła), bo tylko Bóg jest najwyższym sędzią w sprawach życia i śmierci. Nieprawda, odpowiadał na to w duchu oświecenia Hume, przywołując Senekę, rzymskiego stoika: mamy prawo skończyć z sobą, bo to część osobistej wolności. To nie tak, ripostował Kant. Wolność zobowiązuje. Samobójstwo jest niedopuszczalne nie dlatego, że Bóg tego zabrania, lecz ponieważ narusza godność człowieka odróżniającą go od zwierzęcia. Na co potem Hegel odparował: „Zwierzę nie może odrzucić swego życia, a człowiek może".

Bóg umarł?

Filozoficzne spory prowadzą do przetasowania pojęć. Istoty sprawy nie oddaje naznaczone stygmatem słowo „samobójstwo" (Selbstmord), lecz „śmierć dobrowolna" (Freitod), bo nie jest mordem, lecz wyzwoleniem. I tak to rozumiał pewien romantyczny poeta, który zastrzelił się wraz z kochanką, pozostawiając wiadomość: „Nam na tej ziemi niepodobna było pomóc". A co potem? Mniejsza z tym. Myślicieli XIX w. nadal absorbowały kwestie duszy, ducha, świadomości i siły witalnej człowieka, ale już bardziej tu i teraz niż w zaświatach. Hegel duszy zmarłego szukał w rodzaju ludzkim. Auguste Comte w „Katechizmie pozytywizmu" z 1852 r. postulował kult społeczeństwa jako Najwyższego Bytu. Nie trzeba ani raju, ani piekła. Sakramentem tej socjologicznej religii byłaby społeczna weryfikacja zmarłych siedem lat po ich śmierci. Ci wartościowi byliby przenoszeni do Świątyni Człowieczeństwa w Świętym Lesie. A ci pośledni? Mniejsza z nimi...

Potężny wyłom w myśleniu o śmierci wywołał darwinowski przewrót w biologii. Teoria ewolucji i naturalnej selekcji, w której nie tylko osobniki, ale także całe gatunki giną na rzecz silniejszych, lepiej przystosowujących się do zmiennych warunków, podważyła wyobrażenie o boskiej harmonii wszechrzeczy. Jakie miejsce w świecie bezwzględnej walki o byt zajmuje Istota Doskonała? „Bóg umarł" – wypalił Nietzsche.

Szalony postęp techniczny, uprzemysłowienie i skokowy rozwój nauk ścisłych i gospodarki zmieniły myślenie i odwieczne obyczaje. Masowe wprowadzenie zastrzyków morfiny uśmierzającej ból rannym i umierającym w czasie wojny francusko-pruskiej w 1870 r. szło w parze z budową pierwszych cmentarnych krematoriów – w 1878 r., akurat w katolickiej Austrii. Umieranie stało się łatwiejsze, a pogrzeb nabrał bardziej prywatnego i technicznego charakteru. Pod koniec XIX w. rozrastające się metropolie

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl 11d96193c5

zabronią konduktom żałobnym blokować przejazd automobilom.

Im bardziej podważano teologiczne wyjaśnienia życia i śmierci, tym bardziej pociągało zawierzenia tak rozsądkowi, jak intuicji, instynktom, popędom i niepohamowanej własnej woli. Niemniej filozofii siły witalnej i indywidualizmu towarzyszyło także poczucie schyłku i upadku. Zygmunt Freud łączył pochwałę przyjemności erotycznej z „popędem śmierci". A wybitny biolog, darwinista Ernst Haeckel w bestsellerze z 1904 r. „Cud życia" chwalił karę śmierci, bo zapobiega rozmnażaniu zbrodniarzy. Cenił Spartan za likwidację słabych noworodków. I proponował usypianie morfiną „obiektywnie niewartych życia" obłożnie i psychicznie chorych. Młody Hitler nie musiał czytać Haeckela. O eutanazji i tak było głośno. Kultowi siły witalnej towarzyszył także wstręt do zastałego, gnuśnego ładu i tęsknota za utopijnym lepszym światem, za przewrotem, rewolucją i wojną.

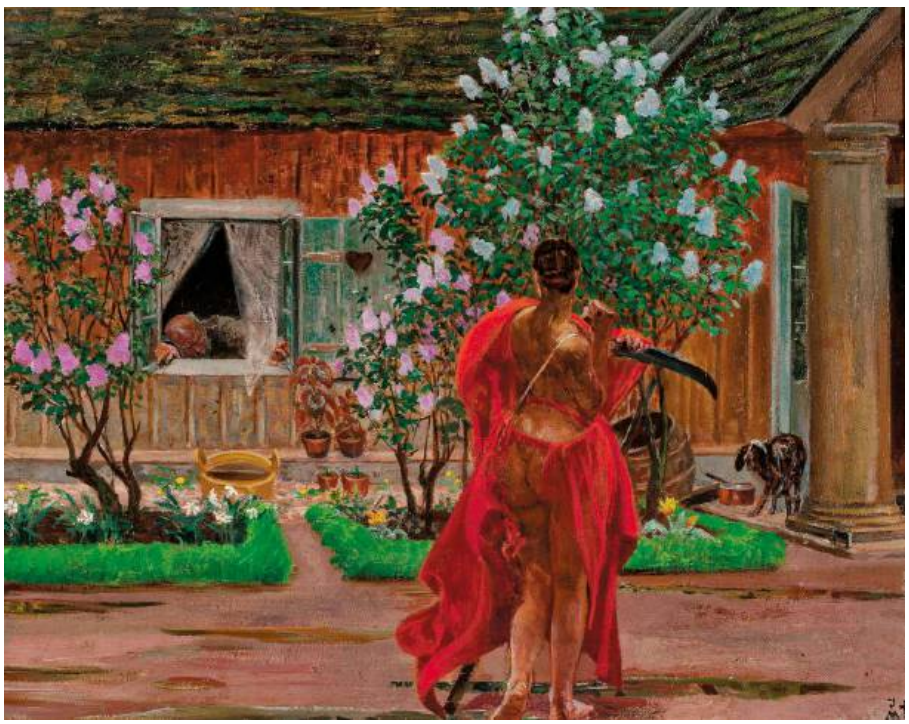

„Thanatos", obraz Jacka Malczewskiego, 1899 r.

Wojny uświetniają śmierć za ojczyznę, bo za nią – jak zapewniał ten sam sielski Horacy – „słodko i pięknie jest umierać". Tym bardziej że każdy uważa, iż „Bóg jest z nami". Ale wojna to zarazem trwoga na widok zniszczonych miast i stosów ofiar frontowej „maszynki do mięsa" pod Verdun, mrozu na stalingradzkim stepie czy najróżniejszych późniejszych „pól śmierci" metodycznie pomordowanej ludności cywilnej.

Na dwie wojny światowe europejska myśl odpowiedziała egzystencjalizmem. W 1927 r. Martin Heidegger głosił (nieco wymyślnym słowotwórstwem) „rzuconość" człowieka w życie, w którym bezosobowe „się" – jak w zwrotach „myśli się", „mówi się" – odbiera odwagę „bycia ku śmierci" i „wolności ku śmierci". Co niestety zakrawało też na wywyższanie tego, kto potrafi żyć „właściwie", ponad tych, którzy tchórzliwie odwracają „się" od własnej śmiertelności. Inaczej argumentował w czasie niemieckiej okupacji francuski adwersarz Heideggera Jean-Paul Sartre. Nie należy oceniać melodii poprzez jej koniec. Ja nie jestem „wolny ku śmierci", pisał, lecz wolnym śmiertelnym. Sarkastyczną puentą ich rozważań jest fakt, że jeden flirtował z hitleryzmem, a drugi ze stalinizmem...

A przecież „jak trwoga, to do Boga". Nie każda trwoga prowadzi do Boga – pisał w czasie pandemii w „Tygodniku Powszechnym" ks. Jacek Prusak. Bywa też przejawem płytkiej „katolickiej magii" w sytuacji niepojętego zagrożenia. Nie ma też przekonującej odpowiedzi na dławiące pytanie, gdzie był Bóg, gdy w komorach gazowych czy w Gułagu likwidowano miliony ludzi. Nie wystarczy samo odwołanie do Maksymiliana Kolbego, który dobrowolnie ofiarował się za współwięźnia. Auschwitz odczłowieczyło śmierć. Więzień jeszcze żył, ale już tylko jako „materiał do likwidacji". Nie tylko Auschwitz to miejsce przemysłowej produkcji i usuwanie zwłok w XX w., śmierci utechnicznionej, były nim także Gułag i Hiroszima. Nie tylko człowiek okazał się śmiertelny, lecz w śmierci atomowej cała ludzkość.

Do końca świata, a może dłużej

Pod koniec XX w. otwarcie mówiono o „odczarowaniu", a nawet „zaniku śmierci" jako mocy, z którą każdy będzie się zmagał. Dzięki postępom medycyny uwaga przesuwa się ku technicznie mierzalnemu „końcowi życia" – śmierci klinicznej, śmierci mózgu przy sztucznym podtrzymywaniu funkcji biologicznych ciała, które staje się rezerwuarem organów jako „części zastępczych" dla innych. Umieranie przestawało być kwestią metafizyki czy filozofii, stając się problemem psychoterapeutycznym – dzięki „prawu do humanitarnej śmierci" w hospicjach, gdy nie walczy się z chorobą „ku śmierci", a jedynie łagodzi jej przejawy. W Polsce wprawdzie 80 proc. ludzi chciałoby umrzeć w domu, ale w rzeczywistości jest to udziałem tylko 20 proc. Połowa kończy życie w szpitalach, a reszta w hospicjach.

Rozmowy amerykańskiej lekarki Elisabeth Kübler-Ross z umierającymi potwierdziły pięciostopniową regułę pożegnania z życiem. Nieprzyjmowanie do wiadomości, gniew, targowanie się („niech tylko doczekam" tego czy tamtego), rozpacz i wreszcie pogodzenie się z nieuniknionym. W czym pomaga własne wyobrażenie tego, co „będzie potem", oparte na wzorcach religijnych, literackich lub relacjach tych, którzy „powrócili" po śmierci klinicznej – albo też przekonanie, że „w przyrodzie nic nie ginie", a energia duchowa naszych zmarłych rozpływa się w kosmosie i może w jakiejś formie przetrwa nie tylko koniec kuli ziemskiej pochłoniętej za 5 mld lat przez stygnące Słońce, co będzie nie tyle apokaliptyczną karą za nasze grzechy, ile zwykłym porządkiem rzeczy. Pozostaje wierzyć, że siła witalna przetrwa także koniec obecnego wszechświata, by odrodzić się w następnym...

ADAM KRZEMIŃSKI

eprasa.pl 11d96193c5

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)



film

Przed apokalipsą 5/6

Dom pełen dynamitu (A House of Dynamite), reż. Kathryn Bigelow, prod. USA, 112 min, Netflix

To nie jest napakowane testosteronem kino akcji, chociaż ekstremalnych emocji w nim nie brakuje. Konstrukcyjnie czerpiąc inspirację z „Rashōmona" Kurosawy, Kathryn Bigelow z dokumentalną precyzją odsłania w „Domu pełnym dynamitu" mechanizm, który dosłownie w każdej chwili może zakończyć nasz świat. W napiętych czasach, gdy eskalacja zbrojnych konfliktów stała się codziennym newsem, a groźba nuklearnego szantażu z epoki zimnej wojny przestała być abstrakcją, oglądamy podzielony na trzy części spektakl, skupiający się na 19-minutowym procesie podejmowania decyzji o rozpoczęciu atomowej zagłady. Amerykańskie radary przeoczyły start międzykontynentalnego pocisku niewiadomego pochodzenia, który od strony Pacyfiku nieubłaganie zmierza w kierunku Chicago. Próba strącenia ładunku kończy się niepowodzeniem, za chwilę 10 mln ludzi zniknie z powierzchni ziemi – co w tej sytuacji należałoby zrobić? Każda decyzja jest zła, trwać w stanie gotowości, jak dotychczas, już się nie da, konsekwencje będą niewyobrażalne.

Od strony realizacyjnej film jest absolutnym majstersztykiem. Autorka „The Hurt Locker. W pułapce wojny" i „Wroga numer jeden" tym razem roztacza okrutnie prawdziwą, przerażającą wizję dezorientacji kluczowych, kompetentnych osób w państwie, więźniów własnych protokołów (służby, wojsko, prezydent). Nie wiadomo, co budzi większą grozę: ograniczone pole manewru czy deficyt informacji uniemożliwiający sensowną reakcję we właściwym momencie. Przechodząc od chwili totalnego zaskoczenia, Bigelow mistrzowsko obnaża, jak zawodzi technologia, pokazuje, co w takiej chwili rodzi się w głowach ludzi odpowiedzialnych za wydawanie rozkazów i jak łańcuch dowodzenia staje się pętlą na szyi cywilizacji. Widowisk na temat zbliżającej się wielkimi krokami apokalipsy było bez liku. „Dom pełen dynamitu" nie ma nic z satyrycznego zacięcia „Dr Strangelove" Kubricka, ale też wcale nie wydaje się przez to dziełem od niego gorszym.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Nieboska interwencja 3/6

Anioł stróż, reż. Aziz Ansari, prod. USA, 97 min, w kinach od 31 października

Drugorzędny anioł stróż Gabriel pilnuje ludzi, którzy piszą esemesy w czasie jazdy. Ratuje im życie, lecz swoją pracę traktuje jak rutynę. Ma znacznie większe ambicje, chce zmieniać ludzi na lepsze. Postanawia więc zamienić miejscami Arja, wiecznie bezrobotnego filmowca, który próbuje dorabiać jako kurier rozwożący jedzenie, i Jeffa, który zbił fortunę, inwestując w firmy technologiczne. Skutki okażą się przewidywalnie katastrofalne, a trójkę bohaterów – wliczając zdegradowanego za karę do pozycji człowieka Gabriela – połączy nieoczekiwana więź. Scenariusz może wydawać się znajomy, a to dlatego, że w mniej lub bardziej świadomy sposób czerpie z niezliczonych innych komedii, od „Michaela", poprzez „Nieoczekiwaną zmianę miejsc", po „Niebo nad Berlinem". Oczywiście pozbawiony jest ambicji i poetyckiej głębi dzieła Wendersa, a braku oryginalności nie próbuje nawet ukrywać. I choć trudno zapomnieć, że Aziz Ansari ochoczo brał pieniądze od reżimu Saudów za niedawny występ na festiwalu komedii w Rijadzie, „Anioł stróż" to film o szlachetnych intencjach, upominający się o społeczną równość, a przede wszystkim o prawa pracowników. Niestety, zbyt mocno oparty na powtarzalnych schematach i pustosłowiu. Zrealizowany rzetelnie, ale bez błysku. Ratują go aktorzy, zwłaszcza Seth Rogen i Keanu Reeves, który w roli Gabriela wyraźnie się relaksuje po latach spędzonych w brutalnym świecie Johna Wicka.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Keanu Reeves (jako Gabriel) i Sandra Oh (Martha)

© EROS HOAGLAND/NETFLIX, EDDY CHEN/LIONSGATE, MP, BROOKE PALMER, JEREMI DOBRZAŃSKI/ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

eprasa.pl 11d96193c5



scena

Jurek czy Sławek? 5/6

Pilch/Dzienniki, reż. Artur Więcek, Teatr Polski w Szczecinie

Ożywianie postaci nieżyjących, a znanych publicznie jest zadaniem z zasady trudnym. Od śmierci pisarza, laureata Paszportu POLITYKI i nagrody Nike, minęło pięć lat – są osoby, które znały Jerzego Pilcha prywatnie, pamiętają jego legendarne mieszkanie na Hożej, krakowską młodość, mityczną Wisłę. Ale nawet ci, którzy znali go tylko z książek, felietonów i wywiadów, mają zapewne utrwalony popkulturowy wizerunek pisarza. Reżyser Artur „Baron" Więcek, dramaturżka Agata Dąbek, scenograf Łukasz Błażejewski, kostiumografka Emilia Sarga stawiają na scenie (w spektakularnej nowej części Teatru Polskiego w Szczecinie, od ponad 30 lat kierowanego przez Adama Opatowicza) salon z Hożej, przez który przewija się korowód Pilchowych gości, postaci z życia i książek. W centrum tego mikroświata oglądamy brawurowego **Sławomira Kołakowskiego** – a może samego Jerzego Pilcha – w białych conversach, czarnej koszuli, charakterystycznych metalowych oprawkach okularów. Proza Pilcha gra na teatralnych deskach, jest dźwięczna, pełna humoru, ironii, zaskoczeń. Kołakowski wskrzesza Pilcha, ma jego gesty, maskowane parkinsonowskie drżenie rąk, wyraz twarzy, głos, ale także inteligentny dystans do siebie i roli. Uniwersalna opowieść o chorobie i odchodzeniu nie staje się banalna i czarna. „Wszystko jedno, czy ma się przed sobą sto lat, rok, czy tydzień, zawsze ma się przed sobą wszystko" – pisał Pilch. I do ostatniej sceny spektaklu te nadzieje, życie i jasność w Kołakowskim widać. Niezwykła rola, świetny teatr.

JERZY BACZYŃSKI

serial

Korzenie zła 4/6

To: Witajcie w Derry, twórca serii: Andy Muschietti, 8 odc., HBO Max



Gdy serial „Stranger Things" okazał się fenomenem na skalę światową, zaczęły się poszukiwania tematów, które pozwoliły ten sukces zdyskontować. Powieść Stephena Kinga „To" była naturalnym wyborem: po pierwsze, dla twórców „Stranger Things" była jedną z najważniejszych inspiracji; po drugie, uruchamiała podobne emocje; po trzecie, o jej wcześniejszej, telewizyjnej ekranizacji zrealizowanej na początku lat 90. mało kto już pamiętał. W 2017 r. historię grupy przyjaciół walczących z morderczym **klaunem Pennywise'em** na kinowy ekran przeniósł więc z powodzeniem Andy Muschietti, a dwa lata później domknął fabułę w sequelu. Teraz dostajemy serial, który ma ujawnić prawdziwe korzenie nękającego miasteczko Derry zła – jak wiadomo, Pennywise (tak jak w filmie grany przez Billa Skarsgårda) jest tylko jedną z jego manifestacji. Pierwszy sezon cofa się zatem do wczesnych lat 60. (zaplanowane dwa kolejne mają zaś sięgać jeszcze głębiej w przeszłość), gdy grupa uczniów próbuje odnaleźć zaginionego szkolnego kolegę, przy okazji odkrywając najmroczniejsze sekrety udręczonego miasta. W tle są jeszcze tajne wojskowe eksperymenty, rasowe napięcia, przemoc domowa: umiejętnie rozgrywany wachlarz amerykańskich strachów. Muschietti nie zapomina także o tym, że większość książek Kinga rozgrywa się w ramach jednego uniwersum, stąd w scenariuszu pojawiają się m.in. więzienie Shawshank czy bezpośrednie nawiązania do „Lśnienia".

JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Rozmowa tkanin 5/6

Abakanowicz. Bez reguł. Arrasy i abakany, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków, do 6 stycznia 2026 r.



Gdy w 2008 r. we wnętrzach i ogrodach Wersalu stanęły dmuchane, kolorowe zwierzątka Jeffa Koonsa, nie brakło głosów zdziwienia i oburzenia. Od tamtej pory publiczność na świecie się przyzwyczaiła, że w zabytkowych pałacach czy zamkach może natknąć się na sztukę nowoczesną, a nawet bardzo nowoczesną. My do tej fuzji dojrzewaliśmy powoli. Co ciekawe, w ostatnich latach z tego typu artystycznymi interwencjami najśmielej eksperymentuje placówka uchodząca przez dekady za ostoję konserwatyzmu – Zamek Królewski na Wawelu. Tym razem otrzymujemy „pigułę" aż trzech „nowoczesnych" interwencji w zabytkowe wnętrza. To skromna wystawa zbiorów sztuki współczesnej gromadzonych przez dekady na Wawelu i ciekawe zderzenie tzw. obrazów liczonych Romana Opałki z wizerunkami dawnych władców. Ale najciekawszy – wręcz spektakularny – okazał się pomysł konfrontacji najsłynniejszych zabytkowych tkanin ze współczesnymi. W Sali Senatorskiej zawisły więc obok siebie renesansowe arrasy z kolekcji Zygmunta Augusta i sizalowe „abakany" Magdaleny Abakanowicz. Dzieli je czas powstania, funkcja, walory estetyczne, technika i materiał, a jednak wchodzą ze sobą w zaskakujący, niemal metafizyczny i bez słów prowadzony dialog. Stanowią równocześnie dla siebie szczególne tło podkreślające siłę upływającego czasu.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 11d96193c5



Zmyślona prawda 6/6

Tim O'Brien, **To, co nieśli**,
przeł. Tomasz S. Gałązka, Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2025, s. 264

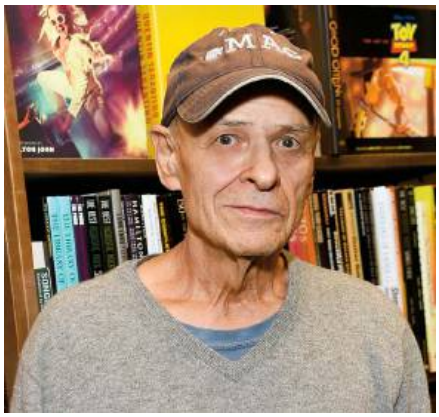

Jedna z najważniejszych książek, jakie powstały po wojnie w Wietnamie, przynajmniej tych pisanych z amerykańskiej perspektywy. Ukazywała się już w Polsce, i to pod dwoma różnymi tytułami, ale teraz doczekała się nowego, bardzo udanego przekładu. Krótkie formy, czasem gwałtowne i brutalne, kiedy indziej stonowane i nostalgiczne, układają się tu w mozaikę frontowych opowieści, kalejdoskop wydarzeń, postaci, śmierci i obrazów niekiedy tak wyrazistych w swoim okrucieństwie, że trudno wyrzucić je z pamięci. Tim O'Brien nadaje swojej książce głęboko osobisty charakter, ale to mistrzowska autofikcja. Kreacja, choć oparta na własnych przeżyciach (na długo przed tym zbiorem wydał wojenne wspomnienia, niestety nietłumaczone na polski). Nie ma przy tym znaczenia, że wydarzenia, o których opowiada, wyglądały inaczej. „Często prawdziwe są te kompletnie szalone wątki, a te normalne wcale nie, bo to, co normalne, było potrzebne, żeby uwierzyć w zaiste niewiarygodne szaleństwo" – pisze. „To, co nieśli" jest esencją wojennego doświadczenia, z całą grozą, absurdalnym okrucieństwem i niesprawiedliwością. Skrajne emocje, strach, euforię, gniew, tęsknotę, poczucie winy przerabia na prozę niemal fizycznie namacalną. To, co niosą bohaterowie tej prozy – broń, sprzęt, pamiątki, talizmany czy wyrzuty sumienia – przygniata także czytelnika. O'Brien unika przy tym komunałów: to nie jest antywojenny manifest ani patriotyczna agitka. Raczej podszyte wisielczym humorem epitafium: dla tych, którzy zginęli, lecz także dla tych, którzy przeżyli.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Masza musi 2/6

Masza Potocka, **Ja**, Czytelnik,
Warszawa 2025, s. 400

Podczas lektury nasuwa się pytanie: po co? Trudno być własnym adwokatem, rzecznikiem, recenzentem, bezstronnym kronikarzem. A Masza Potocka próbuje być nimi naraz. Przed rokiem wokół niej zawrzało, były oskarżenia o mobbing, sądowe wyroki, burzliwe rozstanie z MOCAK-iem. Pisze, że spotkała ją wielka niesprawiedliwość, choć słowo „mobbing" nie pada ani razu. I oczywiście nie musi, autorka-bohaterka sama dobiera tematy, przepuszcza fakty przez własny filtr. Opisuje przodków sybiraków, dzieciństwo w ukochanym Paczkowie i na probostwie (dziś jest „fanatyczną ateistką"), krewnych i mężów, sztukę, którą zajmowała się kuratorsko i sama uprawiała. Najciekawsza jest osobista ambicja, pochwała intelektu, choć idzie w parze z wyniosłością. Ktoś o niej powiedział: „Masza muszę". I Potocka ma niewątpliwie swoje zasługi. Choć o własnej twórczości opowiada dość pretensjonalnie. Z początku subtelnie i mimochodem, z czasem wprost autorka zdradza się z poglądami – na seks (po co?), postfeminizm, przyjaźń, mężczyzn. Wobec innych (obrywa m.in. Wilhelm Sasnal) bywa surowa i bezwzględna. Ton miał być zapewne skandalizujący i prowokacyjny, pozostaje wrażenie wendety i niesmaku. „Życie postrzegane i realizowane według schematów przeszłości zakrywa mgłą wgląd w pola destrukcji" – pisze, ale w polach destrukcji, które opisuje, tytułowe „ja" się nie mieści.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Życie w elicie 4/6

Cher, **Autobiografia. Część Pierwsza**,
przeł. Adam Tuz, Grupa Wydawnicza
Filia, Poznań 2025, s. 494

Książka kończy się na rozmowie Cher z Francisem Fordem Coppolą. Był początek lat 80., artystka miała już za sobą wieloletnie doświadczenie z udziałem w programie telewizji CBS „Sonny and Cher Comedy Hour" (za który otrzymała Złoty Glob), zmianę gustu muzycznego z popu na rock (efekt krótkotrwałego małżeństwa z Greggiem Allmanem), wiele sesji zdjęciowych w magazynie „Vogue", ale jej wielkim marzeniem stała się kariera filmowa. No i niedługo po rozmowie z reżyserem „Ojca chrzestnego" marzenie się spełni, co najpewniej zostanie skrupulatnie zrelacjonowane w części drugiej „Autobiografii". Na razie zadowalajmy się częścią pierwszą – jej wartką narracją, kilkoma zwrotami akcji, a przede wszystkim olbrzymią porcją szczegółów z życia bohaterki-autorki, córki okazjonalnej aktorki drugoplanowej i statystki, dzięki której Cher jeszcze jako mała dziewczynka zetknie się z wielkimi gwiazdami show-biznesu. I niezależnie od kaprysów fortuny ta obdarzona niebanalną urodą artystka szybko trafi do celebryckiej elity Ameryki – zarówno ze względu na swoje talenty piosenkarskie i aktorskie, jak i z powodu siły charakteru i determinacji w dążeniu do celu. Największym magnesem tej książki są oczywiście opisy kontaktów autorki z wybitnymi muzykami, menedżerami, producentami nagrań, aktorkami i aktorami, reżyserami, projektantami mody, fotografami. Dla mnie olbrzymim walorem tej książki są przede wszystkim te fragmenty, które rejestrują zmiany obyczajowe, koneksje świata estrady ze światem polityki, a wreszcie to, co działo się z muzyką popularną przez kilka wspominanych tu dekad.

MIROSŁAW PĘCZAK

© GARY GERSHOFF/GETTY IMAGES, LIAM DANIEL/NETFLIX. MP (7)

eprasa.pl 11d96193c5

festiwale

Dokąd zmierza Ameryka?

16. Tauron American Film Festival, Kino Nowe Horyzonty, Wrocław, 6–11 listopada



Polityka prowadzona przez Stany Zjednoczone od wielu miesięcy napawa niepokojem, na szczęście amerykańskie kino – zwłaszcza to realizowane poza hollywoodzkim systemem wielkich studiów – wciąż trzyma się znakomicie. Na wrocławskim festiwalu jak co roku nie zabraknie więc produkcji gigantów filmu niezależnego: Jima Jarmuscha („Father Mother Sister Brother"), Richarda Linklatera („Blue Moon", „Nowa fala") i Kelly Reichardt („Desperat"). Wśród tytułów bardziej niszowych wybija się świetna „Erupcja" Pete'a Ohsa, zrealizowana w całości w Warszawie z Leną Górą i popową gwiazdą Charli XCX (to jej bardzo udany aktorski debiut) w rolach głównych, wstrząsająca „Chronologia wody" nakręcona przez Kristen Stewart oraz „Olmo", którym do pełnego metrażu po ponad dekadzie przerwy wrócił uznany meksykański reżyser Fernando Eimbcke. Wydarzeniem będą też retrospektywne pokazy dwojga laureatów Indie Star Award, wręczanej każdego roku twórcom szczególnie istotnym dla kina niezależnego. Tym razem Susan Seidelman (autorka m.in. „Rozpaczliwie poszukując Susan") oraz szwajcarski dokumentalista Alexandre O. Philippe. A że na fabuły, które komentowałyby dzisiejszą rzeczywistość USA, jest jeszcze za wcześnie, będzie można poszukać analogii w klasyce kina politycznego. W ramach specjalnej sekcji pokazane zostaną m.in. „Czerwona linia" Lumeta oraz „Syndykat zbrodni" Pakuli. JD

muzyka

Ożywić maszynę 4/6

Omasta, **Jazz Report from the Hood**, Astigmatic



Kiedyś zaczynało się od Bacha, a w przypadku jazzu – od Gershwina, Ellingtona albo Coltrane'a. Teraz punktem startowym dla młodych jazzmanów może być J Dilla, przedwcześnie zmarły w wieku 32 lat amerykański producent hiphopowy i raper, który dokonał przewrotu kopernikańskiego w muzyce opartej na automatycznym beacie, wprowadzając do niej nierówności, niedbałości, słowem: czynnik ludzki. Młody krakowski skład Omasta czynnik ludzki – pomnożony przez pięć – ma na pokładzie, może więc tę mechaniczność sampli (masowo wykorzystywanych w rapie) ze swobodą przywracać żywemu graniu. Na debiucie Omasty pełno więc nawiązań do stylistyki jazzowo-funkowej z lat 70. czy tematów rodem z filmów kryminalnych. Sekcja rytmiczna gra z funkową dyscypliną, a tematy – szczególnie fantastyczne w „Burner" czy „Ankle Breaker" – wprowadzają głównie trębacz Paweł Kowalik i saksofonista Antoni Blumhoff. Zespół dał się poznać fantastycznymi występami na katowickim Off Festivalu i całym szeregiem singli. Album jest tylko potwierdzeniem, że mamy do czynienia z dużą nadzieją, nie tyle konkurencją dla grupy EABS czy bigbandowego wcielenia Skalpela, ile dalszym poszerzeniem sceny jazzowej. To pierwszy krok. Sądząc po koncertach, następny będzie nawet bardziej brawurowy.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Warszawski Festiwal Filmów o Tematyce Żydowskiej „Kamera Dawida", 3–9 listopada

W Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN – a także w kinie Luna i w JCC Warszawa – odbędzie się 23. edycja „Kamery Dawida". Obok dyskusji i warsztatów treścią imprezy są pokazy filmowe. Na szczególną uwagę zasługuje upamiętnienie postaci naszego redakcyjnego kolegi **Mariana Turskiego**. Podczas gali otwarcia festiwalu zostanie zaprezentowany poświęcony mu dokument, w którym wspomnienia łączą się z relacjami z codziennego życia, a cała narracja, pozbawiona zbędnego patosu, tym sugestywniej przekonuje, jak niezwykłym był człowiekiem. MP



Dyplomatka, sezon 3, twórczyni serii: Deborah Cahn, 8 odc., Netflix

Trzecia odsłona opowieści o wprawdzie potrzaskanej w życiu prywatnym, ale sprawnie współpracującej dyplomatycznej power couple, czyli o Kate i Halu Wylerach. Ta pierwsza, grana przez świetną **Keri Russell** („Zawód: Amerykanin"), zostaje mianowana ambasadorką Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii i wpada od razu w środek potężnej politycznej intrygi. Trzeci sezon na samym wstępie zamyka dotychczasowe wątki, ale zaskakujący zwrot akcji przynosi nowe napięcia. Jeśli ktoś tęskni za „House of Cards", nie znajdzie dziś lepszego zamiennika. BCH



The Necks, Warszawa, Pardon, To Tu, 3 listopada

W przypadku tej grupy wszystko jest długim trwaniem. To pozornie klasyczne trio jazzowe (Chris Abrahams, Lloyd Swanton, Tony Buck) z Australii działa już prawie 40 lat, rozwijając tę samą formułę: za każdym razem improwizują, na dodatek w powoli rozwijanych, wydłużonych formach. Na płytach utwory potrafią trwać ponad godzinę, a te koncertowe, jedyne w swoim rodzaju spotkania to wręcz medytacje nad dźwiękiem. The Necks mają niekoniecznie jazzową i rosnącą po każdym występie publiczność, która po kolejnym warszawskim koncercie z pewnością się poszerzy. BCH

eprasa.pl 11d96193c5

Goła paranoja



W nowym filmie Yorgos Lanthimos w szyderczy sposób rozprawia się z konspiracjonizmem, najtrwalszym aspektem życia politycznego w USA. Amerykańska demokracja jest tu martwa, choć nikt nie zauważył momentu jej śmierci.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Na pierwszy rzut oka film „Bugonia" wydaje się groteskową komedią o porwaniu, łączącą elementy horroru z tematyką kosmitów. Trochę „Misery", a trochę „Marsjanie atakują!". Tyle że film Yorgosa Lanthimosa, greckiego wizjonera lubującego się w obnażaniu cywilizacyjno-kulturowych kajdan ograniczających swobody obywatelskie, jest całkowicie nieprzewidywalny, obrazoburczy i wywrotowy. I niekoniecznie chodzi w nim o wizję przyszłości. – *Moim zdaniem mówi raczej o tym, co obserwujemy obecnie* – tłumaczy Lanthimos w rozmowie z POLITYKĄ. – *Jest wiernym odbiciem naszych czasów. Poczułem to już trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy przeczytałem scenariusz, a wraz z dojściem do władzy Trumpa niestety sprawy w nim podejmowane stały się jeszcze bardziej aktualne.*

W tym dekadenckim i zabawnym widowisku można się więc dopatrzyć m.in. odniesień do ruchu QAnon, widzowie z łatwością odkryją parodię antyszczepionkowców czy wellnessowych guru. „Bugonia" okazuje się gęstą tematycznie i niepokojąco okrutną kpiną z chaosu i dezorientacji poszukiwaczy logiki w świecie opanowanym przez spiski i nierówności klasowe. Radykalną satyrą na miarę epoki postprawdy.

– *Masowy, wykładniczy wzrost liczby sekt i różnorodnych teorii spiskowych ma bez wątpienia związek z gwałtownym*

eprasa.pl 11d96193c5



Emma Stone, od paru lat nieodłączna muza Lanthimosa. W „Bugonii" gra zimną szefową korporacji, która zostaje porwana.

przyspieszeniem rozwoju technologii oraz globalizacją. Komunikacja jest teraz natychmiastowa i bezpośrednia, niezależnie od jej wiarygodności. To wzmacnia izolację, pogłębia przepaść między różnymi grupami, nie zachęca do wychodzenia z baniek – mówi Lanthimos. I dodaje, że aby coś z tym zrobić, należałoby się wykazać większą odpowiedzialnością na poziomie indywidualnym. – *Trzeba by dokładniej weryfikować informacje, sprawdzać, w co wierzymy.*

Zadomowiony w Hollywood reżyser stawia w filmie sprawę na ostrzu noża. Liberalna demokracja, zachodnia cywilizacja, w sumie cały eksperyment pod hasłem „wolność, równość, braterstwo" wywodzący się z rewolucji oświeceniowej, powinien zostać przemyślany na nowo i rozliczony. – *Ludzie powinni w końcu wybrać właściwą drogę, bo inaczej nie wiadomo, ile czasu nam jeszcze zostało* – tłumaczy, ironicznie się uśmiechając. – *Musimy się zmierzyć się z konsekwencjami nowej technologii, rolą sztucznej inteligencji, wojnami, zagrożeniami wywołanymi zmianami klimatu i negowaniem tego wszystkiego. Chyba za bardzo staliśmy się na to znieczuleni.*

Kobieta wyniosła

„Bugonia" to remake koreańskiej komedii science fiction „Save the Green Planet!" z 2003 r., w reżyserii Joon-hwana Janga, o niezrównoważonym psychicznie miłośniku seriali święcie przekonanym, że kosmici wkrótce zaatakują naszą planetę. W wyniku przeprowadzonego śledztwa bohater upewnia się, że przywódca obcych już zadomowił się na Ziemi i dla niepoznaki odgrywa rolę prezesa dużej spółki chemicznej. Autorowi tego odkrycia wydaje się, że tylko on może zbawić ludzkość, dlatego decyduje się uprowadzić prezesa i w ten sposób ocalić zieloną planetę, nie dopuszczając do pełnoskalowej inwazji.

Ponieważ w pracę nad adaptacją koreańskiego pierwowzoru zaangażował się Will Tracy, współautor słynnego serialu „Sukcesja", element paranoi został w „Bugonii" odpowiednio wzmocniony i dostosowany do warunków amerykańskich. Oprócz smutnego portretu rodzinnego w rozkładzie dominuje temat patologicznej przemocy i władzy, a ostrze satyry dotyka w pierwszej kolejności obrzydliwie bogatych. Ale nie tylko. Centralną postacią „Bugonii" jest Emma Stone, aktorka będąca od paru lat nieodłączną muzą Lanthimosa (to ich czwarta wspólna produkcja). Tym razem gra szefową międzynarodowej korporacji farmaceutycznej, podejrzewaną przez niektórych pracowników o to, że jest kosmitką. – *Kocham materiały, które Yorgos wybiera, i światy, które chce eksplorować. Przeszliśmy wspólnie przez tyle podbramkowych sytuacji, że to wszystko tworzy solidną podstawę do komfortowej i bezpiecznej współpracy* – mówi aktorka. Zaprzecza jednak, by rola lodowatej jędzy o martwym wzroku, która trzyma autorytarne rządy w firmie, była dla niej wyjątkowo skomplikowana. – *Postrzegałam ją jako inteligentną królową: kobietę wyniosłą, czujną i wybitnie opanowaną, nawet w sytuacjach ekstremalnych.*

Postać grana przez Stone uosabia bezwzględną logikę brutalnego kapitalizmu. To perfekcyjna pracoholiczka: zimna, precyzyjna, pozbawiona współczucia, w pełni kontrolująca swoje emocje, wymagająca od podwładnych realizacji podjętych zobowiązań i przede wszystkim posłuszeństwa. Władza absolutna w czystej postaci, odgrodzona szklanymi ścianami od uległego personelu, skwapliwie korzystająca ze swoich praw, klasowego uprzywilejowania, moralnej wyższości. Jej rządy nie są przypadkiem, lecz konsekwencją systemu, którego ona jest narzędziem i symbolem jednocześnie.

– *Najbardziej wyczerpująca emocjonalnie była oczywiście scena golenia włosów* – przyznaje Stone. – *Gdy sobie to wyobraziłam, nie mogłam powstrzymać łez. Przypomniała mi się moja mama, która straciła włosy w wyniku chemioterapii. Lecz samo nagranie było technicznie proste. Po wszystkim poczułam ulgę.*

Adwersarzami bohaterki są dwaj stojący na samym dole drabiny społecznej incele: sfrustrowany magazynier zarządzanego przez nią zakładu farmaceutycznego Auxolith oraz jego chory psychicznie krewny – fanatyczni zwolennicy teorii spiskowych. Samozwańczy mesjasz oraz oddany mu uczeń żyją w położonej ▶

© FOCUS FEATURES

eprasa.pl 11d96193c5





Emma Stone w innych filmach Lanthimosa: w „Faworycie" jako Abigail Hill rywalizująca o względy królowej i w „Biednych istotach" w oscarowej roli Belli.

▶ na odludziu samotni przypominającej zaniedbany garaż, gdzie pokrętne zasady i absurdy przenikają się z etosem aktywistów planujących akcję ratowania świata. Wierzą, że środowisko naturalne jest stale zatruwane na skutek przestępczych działań elit, że światowy rząd ukrywa prawdę o masowym wymieraniu pszczół, że w ciała ludzi wszczepiane są nanoboty, dzięki którym wszyscy są permanentnie inwigilowani przez big techy.

Przegrywy z dark webu

Lanthimos nie przedstawia ich zrazu jako szaleńców. Wydają się godnymi współczucia nadwrażliwcami, z desperacji biorącymi sprawy w swoje ręce, próbującymi zawalczyć o godność w świecie, który marginalizuje i lekceważy pozycje takich przegrywów jak oni. Jesse Plemons wciela się w Teddy'ego, pszczelarza i internautę czerpiącego wiedzę z dark webu, niegdyś flirtującego z alt-prawicą, karmionego algorytmami z YouTube i Reddita, a jego kuzyn Don (Aidan Delbis) wierzy, że kosmici z sąsiedniej galaktyki Andromedy szykują się do zniszczenia Ziemi.

– *Znajomy polecił mi książkę Naomi Klein „Doppelgänger. Podróż do lustrzanego świata". Jako dobre uzupełnienie „Bugonii" i odtrutkę na szaleństwo internetowych stron poświęconych wyznawcom przeróżnych teorii spiskowych* – opowiada Plemons, dla którego zmierzenie się z tego rodzaju dziwactwem było – jak twierdzi – onieśmielające. – *Szczególnie jeden fragment książki Klein zapadł mi w pamięć: o niezabliźnionych ranach, nieprzepracowanych traumach jednostek i narodów, które wyjaśniają mechanizm, dlaczego często ofiary stają się potem katami. Lektura pomogła mi się uporać z przemocowością mojej postaci, zachowującej się niczym przywódca sekty New Age – zracjonalizować jej urojenia i ich nie osądzać.*

„Prokreacja to tylko pułapka bólu" – pszczelarz grany przez Plemonsa uspokaja swojego kuzyna podczas aktu chemicznej kastracji – wstrzykiwania obu substancji zabijającej popęd seksualny. Dzięki temu wydaje im się, że panują nad swoimi zmysłami i systemami nerwowymi, stając się panami samych siebie. Z zemsty za osobistą krzywdę, a trochę, żeby zapobiec kapitalistycznemu wyzyskowi, decydują się porwać i uwięzić w piwnicy prezeskę. To wtedy golą jej głowę, co w ich wyobrażeniu ma uniemożliwić jej nawiązanie kontaktu z tajemniczą bazą, czyli ze statkiem obcych, a ramiona, nogi i twarz smarują kremem antyhistaminowym, aby ją osłabić.

– *Ludzie zawsze poszukiwali sensu, akceptacji grupy oraz jakiejś wspólnej płaszczyzny porozumienia* – mówi Plemons. – *Teorie spiskowe odpowiadają na obawy i lęki, pozwalają oswoić to, że świat zmierza w złym kierunku, co jest naprawdę przerażające. Odnalezienie odpowiedzi i celu – bez względu na to, że dla kogoś innego to stek bzdur – daje poczucie komfortu. O wiele trudniejsze jest przyznanie się do niewiedzy.*

Enigmatyczny tytuł filmu Lathimosa nie jest surrealistycznym żartem. Bugonia, zgodnie z mitologią grecką, ale też tradycją staroegipską i minojską, to wiara, że pszczoły rodzą się z ciał martwych byków. Rytuał bugonii, opisany m.in. przez Wergiliusza w IV księdze „Georgik", miał powoływać bądź przywracać do życia pszczeli rój. Co w wymiarze religijnym łączy się z kwestią metempsychozy (z gr. wędrówką dusz), czyli pewnego rodzaju reinkarnacją, alegorią odrodzenia i symbolem wiecznego życia.

Rzymianie podziwiali organizację roju oraz pracowitość pszczół. Na przykład dla Pliniusza Starszego stanowiły wręcz wzór idealnego społeczeństwa godnego naśladowania. Platon raczej nie inspirował się pszczołami, pisząc swoje „Państwo", ale starożytni autorzy znajdowali podobieństwa między ustrojem platońskiej politei a pszczelim rojem – do czego twórcy filmowej „Bugonii" nawiązują.

Traktat o dezinformacji

Kino Lanthimosa od zawsze przypominało wiwisekcję ludzkiej cywilizacji, przeprowadzoną chłodnym, niemal laboratoryjnym skalpelem. Od „Kła" po „Biedne istoty" grecki reżyser badał, jak idee i systemy społeczne deformują człowieka, jak kultura tresuje nasze emocje, aż w końcu odbiera nam prawo do autentycznego doświadczenia świata. „Bugonia" idzie nawet krok dalej. To nie tylko szyderstwo, ale apokaliptyczny traktat o epoce dezinformacji, w której rzeczywistość rozpadła się na tysiące plemiennych narracji, a prawda stała się kwestią wiary.

W „Bugonii" Lanthimos splata elementy mitu, teorii spiskowych i współczesnej psychologii mas. Przedstawia dwóch samozwańczych odkupicieli przekonanych, że Ziemi zagraża anihilacja zaplanowana przez nieludzkie istoty – kosmitów podszywających się pod korporacyjny management. Ich język, pełen absurdalnych sloganów, mesjanicznych fraz i internetowych kłamstw, jest toksycznym ściekiem. Rozpaczliwie trzymają się pomysłu, że uratować ich może ucieczka z okupowanej planety,

eprasa.pl 11d96193c5

rytualny reset, jak w przypadku ginącego roju pszczół. Grek wyraźnie przeszedł tu od groteskowej metafory alienacji do bezpośredniego obrazu cywilizacyjnego bankructwa. W „Rodzajach życzliwości" odkładana w czasie apokalipsa była jeszcze jakoś emocjonalnie kontrolowana przez samotnych, neurotycznych osobników, którzy próbowali znaleźć niszę w świecie wypranym ze wspólnych wartości. W „Bugonii" ten świat już runął. Została jedynie paranoja – nowa religia ludzkości.

Martwe mocarstwo

Na pytanie, co się dzieje z człowiekiem, gdy przestaje wierzyć w rzeczywistość, odpowiedź Lanthimosa jest brutalna: wkracza przemoc. Bo gdy fakty stają się opinią, a opinia – dogmatem, społeczeństwo traci zdolność rozróżniania dobra i zła. Nie przypadkiem „Bugonia" rozgrywa się w realiach współczesnej Ameryki – kraju, który pod rządami Donalda Trumpa stał się laboratorium postprawdy. Lanthimos, Europejczyk, patrzy z zewnątrz na najpotężniejsze mocarstwo świata, jak antropolog badający wymarłą cywilizację. W jego filmie amerykańska demokracja jest martwa, choć nikt nie zauważył momentu jej śmierci. Zastąpiły ją algorytmy, sekciarskie grupy i medialne bańki, w których ludzie karmią się własnym lękiem.

Pod tym względem „Bugonia" prowadzi intensywny dialog z „Eddingtonem" Ariego Astera oraz z „Jedną bitwą po drugiej" Paula Thomasa Andersona, który również analizuje duchowy rozkład współczesnej Ameryki. Każdy z tych twórców – choć różnymi metodami – opisuje to samo zjawisko: społeczeństwo tracące zdolność wspólnego marzenia. U Andersona rozpad objawia się w mikroskali rodziny, u Lanthimosa – w totalnej katastrofie komunikacyjnej.

Grecki reżyser nigdy nie był moralistą. Jego kino nie udziela pocieszenia. To raczej laboratorium paradoksów, w którym eksperymentuje się na widzu. W „Bugonii" Lanthimos w ogóle się nie ogranicza, śmiało kwestionuje kierunek ewolucji oraz sprawczość gatunku ludzkiego. Zmusza do przyjrzenia się budowanemu od dziesiątków lat postępowi, rozwojowi kapitalizmu jako pułapki i nieudanego projektu homo sapiens.

W tym sensie „Bugonia" nie jest tylko filmem o końcu świata, lecz o końcu pewnego humanistycznego złudzenia. Ostatecznym pytaniem, które stawia Lanthimos, jest nie to, czy apokalipsa nastąpiła, lecz kiedy przestaliśmy ją brać na poważnie, bezskutecznie starając się poprawiać świat i urządzać go według nieludzkich zasad.

W epoce, w której wszystko stało się performansem – także polityka, religia i nauka – jego kino przypomina ostatni akt szczerości: desperacką próbę pokazania, że świat jest chory. Metafora pszczół rodzących się ze zwłok wołu (bugonia) sugeruje, że z gnijącego ładu narodzi się nowa forma życia, ale czy będzie lepsza?

Zdaniem Plemonsa, już typowanego do Oscara za jego kreację, siła filmu polega na zdolności wywoływania skrajnych reakcji. Jedni poczują się zdruzgotani, inni wyjdą z kina z nadzieją i spokojem w sercu. Na taką właśnie huśtawkę emocji trzeba być przygotowanym. – *Sposób, w jaki odbierzemy zakończenie* – twierdzi aktor – *powie więcej o nas i naszym stanie umysłu niż o tym, co tak naprawdę wyraża filmowe przesłanie.*

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© IMPERIAL-CINEPIX, 20TH CENTURY STUDIOS

REKLAMA



eprasa.pl 11d9[illegible]93c5



Polski Mann

Nowy, pierwszy od prawie stu lat polski przekład „Buddenbrooków” przywraca pytanie, dlaczego Thomasa Manna tak upodobali sobie polscy pisarze.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Kiedy na stół u Buddenbrooków wjeżdża ceglastoczerwona szynka w panierce i w kwaskowym sosie z szalotki, czytelnicy niemal czują jej zapach. Opisy Manna sprawiają, że zanurzamy się w powieściowy świat, który początkowo sprawia wrażenie stabilności, by potem, na naszych oczach, zacząć się rozpadać. „Buddenbrookowie. Upadek pewnej rodziny” w nowym polskim przekładzie Jerzego Kocha (wydawnictwo W.A.B.) to okazja, żeby porozmawiać na nowo o Thomasie Mannie, który u nas odgrywał rolę wyjątkową, ważniejszą niż jakikolwiek autor XX w.

Mann był ukochanym pisarzem polskich pisarzy. Jerzy Pilch czytał „Czarodziejską górę” na okrągło. Paweł Huelle napisał „Castorpa”. W obecności Wisławy Szymborskiej nie mówiło się „Tomasz Mann”, tylko „Drogi Pan Tomasz Mann”, bo inaczej trzeba było zapłacić 50 gr do skarbonki świnki. Nie mogła tylko zaszczepić tej miłości

© NAC

eprasa.pl 11d96193c5



Thomas Mann i polscy pisarze (m.in. Juliusz Kaden-Bandrowski, Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Ferdynand Goetel, Ludwik Hieronim Morstin, Julian Tuwim, M. Rentgen) w winiarni Fukiera, marzec 1927 r.

w Kornelu Filipowiczu. Obdarowany przez nią kompletem dzieł Manna, schował je na dno szafy i nie przeczytał. „Empuzjon" Olgi Tokarczuk jest bodaj ostatnim, polemicznym odwołaniem do „Czarodziejskiej góry" w polskiej literaturze. Warto też jednak pamiętać o ważnych scenicznych realizacjach tej powieści w ostatnich latach – spektaklu Krystiana Lupy czy operze Pawła Mykietyna.

Najważniejsza w polskim odbiorze była „Czarodziejska góra", choć wielbicieli Manna dzieli się podobno na dwa obozy: zwolenników „Góry" i takich, którzy najbardziej cenili właśnie „Buddenbrooków". Tłumacz Jerzy Koch podobno przeszedł do tego drugiego po ukończeniu nowego przekładu.

Klasyczny humanista

Liczba wznowień jego powieści i opowiadań pokazuje, że po wojnie był ciągle czytany i dyskutowany. Dlaczego Polacy tak kochali Manna? Był uosobieniem wielkiego humanisty i intelektualisty, autorytetem moralnym i tym Niemcem, który opuścił Niemcy faszystowskie i mobilizował swoich rodaków do oporu. Z kolei po wojnie można było u nas czytać Manna, bo zgodnie z wykładnią marksistowskiego filozofa Györgya Lukácsa był wprawdzie pisarzem burżuazyjnym, ale zarazem postępowym, pokazującym zmierzch mieszczaństwa i walczącym o wartości humanistyczne. A „Doktora Faustusa" odczytywano jako rozliczenie z najnowszą historią Niemiec.

Polska miłość trwała od początku, czyli od wizyty pisarza w Polsce w 1927 r., kiedy przyjechał na zaproszenie polskiego PEN Clubu. Było to wydarzenie rangi najwyższej. Na zachowanym zdjęciu z winiarni Fukiera otaczają Manna polscy pisarze tamtego czasu (pisarek nie ma na zdjęciu, ale i Nałkowska go witała, a Dąbrowska nawet narzekała, że był wyniosły). Dwa lata później Mann otrzymał Nobla – właśnie za „Buddenbrooków".

Sława tej debiutanckiej powieści Manna z 1900 r. dotarła już do nas wcześniej – tuż po jej ukazaniu się Stanisław Brzozowski pisał, że można by tę powieść nazwać „dziejami duszy kupieckiej w jej rozkładzie i upadku. Nie tylko bowiem istnieje dusza kupiecka, wojskowa, pracownicza, ale właściwie nigdzie poza duszą nie istnieje kupiectwo, wojskowość, prawo". Mann ukazuje nam jego zdaniem, „jak rodzi się inteligencja, artyzm przez praktyczne wyczerpanie się, zużycie danego typu".

Dla Henryka Berezy był Thomas Mann symbolem „klasycznych ideałów humanizmu", dla Tadeusza Konwickiego archetypem Europejczyka. Zapytany kilka dni przed śmiercią Gombrowicz zapewniał, że z pisarzy niemieckich wpływ na niego wywarli jedynie Goethe i Mann. Schulz odwoływał się do Manna i nawet pisywał do niego. Według Zbigniewa Herberta Mann był tym „prawdziwym pisarzem", którego współcześnie „trzeba szukać ze świecą".

Szczególne znaczenie miał Mann dla Marii Dąbrowskiej – pisarka nosiła się z zamiarem napisania powieści o polskości na wzór „Doktora Faustusa". Ten pomysł zrodził się prawdopodobnie po jej wizycie w Weimarze i po spotkaniu z Mannem w 1955 r. Pomysł polskiego Faustusa pisarka porzuciła kilka lat przed śmiercią. Andrzejewski z kolei zamierzał napisać powieść o samotności pisarza, którego wzorem miał być Mann. W 1975 r. wybuchł nawet spór o Manna: Barańczak opublikował w prasie szkic „Zmieniony głos Settembriniego", który wywołał burzliwą dyskusję. Barańczak pisał, że Settembrini po doświadczeniach obozów już nie wierzyłby w postęp i świetlaną przyszłość. Odpowiadał mu m.in. Adam Zagajewski, pisząc esej „Artysta bez właściwości". Mann był dla pokolenia Nowej Fali i dla kolejnych pokoleń przede wszystkim źródłem filozoficznych postaw, które można było sprawdzać we współczesności.

Koniec pewnego świata

Ciekawą zmianą optyki samej postaci Manna jest wydana niedawno powieść biograficzna „Czarodziej" Colma Tóibína, fikcja oparta na dziennikach i zapiskach niemieckiego twórcy. Widzimy w niej pisarza, który stał się sumieniem i autorytetem narodu trochę z przypadku, bo nie nadążał za swoimi czasami, nie do końca rozumiał pierwszą wojnę światową. Zapatrzony w ideę wielkich Niemiec, nie widział początkowo zagrożenia w Hitlerze, zwlekał z potępieniem nazizmu (w końcu napisał płomienne oświadczenie).

Nie miał przenikliwości politycznej, co nie znaczy, że nie są przenikliwe jego powieści. W funkcję publicznego intelektualisty został niejako wrzucony. Jego wyborem była praca, pisanie, najważniejsza przestrzeń wolności. Najmłodszy syn w powieści Tóibína pisze do niego list z oskarżeniem, że nie pojawił się na pogrzebie Klausa (drugi syn Manna, zmarł w 1949 r.), bo zawsze najważniejsze było dla niego tylko pisanie. Bardzo ciekawy jest tutaj obraz nieheteronormatywności tej mieszczańskiej rodziny i wątek pożądania homoseksualnego – Mann boi się, że jego dziennik pełen fantazji erotycznych trafi w ręce nazistów, którzy ogłoszą jego perwersje całemu światu.

„Mannowi zwykle przykleja się etykietkę wielkiego humanisty, wielkiego intelektualisty dwudziestego wieku, ze wskazaniem, że angażował się w obronę wartości humanistycznych i demokratycznych przed totalitaryzmem albo starej dobrej kultury przed barbarzyństwem. W odpowiedziach ▶

eprasa.pl 11d96193c5

▶ na pytanie: dlaczego Tomasz Mann »wielki był«? – dominuje perspektywa idei i postaw" – mówiła w wywiadzie w „Dwutygodniku" tłumaczka i eseistka Małgorzata Łukasiewicz, autorka książki „Jak być artystą na przykładzie Thomasa Manna", w której przyglądała się warsztatowi pisarza. „W »Buddenbrookach« – mówi Łukasiewicz – pisarz ukazuje koniec formacji kulturowej, w której się urodził i z którą się utożsamiał, i pokazuje jednocześnie narodziny sztuki, narodziny artysty z ducha mieszczaństwa. Zmierzch tradycyjnego mieszczaństwa zbiega się z karierą sztuki jako instancji o wielkiej mocy rażenia. W »Czarodziejskiej górze« też przedstawiony jest koniec pewnego świata, czego politycznym wykładnikiem dla Niemiec była wymiana cesarstwa na republikę, i znowu artysta – zdaniem Manna – ma tu wiele do zrobienia. W »Doktorze Faustusie« żywot nowoczesnego artysty nakłada się na upadek kultury niemieckiej w nazizm".

Inny etap języka

Mann miał w Polsce szczęście do tłumaczy – „Doktora Faustusa" przełożyli Maria Kurecka i Witold Wirpsza, „Czarodziejska góra" ma dwóch tłumaczy: pierwszy tom przełożył Jan Kramsztyk, drugi Władysław Tatarkiewicz (pod pseudonimem Jan Łukowski), a „Buddenbrooków" – Ewa Librowiczowa. To tłumaczenie ukazało się w 1931 r. Ale wiele jego aspektów – jak przyznaje autor nowego przekładu Jerzy Koch – sprawdza się i dzisiaj. Jednak po tylu latach tekst się w wielu miejscach postarzał. „Historia polskich Buddenbrooków zaczyna się od jej pionierskiej pracy, a nowa wersja nie unieważnia poprzedniej, tylko jest do niej swoistym dopowiedzeniem, po blisko stu latach, na innym etapie rozwoju polszczyzny" – czytamy we wstępie.

Jerzy Koch ciekawie opowiada o etapach finalnych pracy. Otóż pod koniec musiał porównać tłumaczenie z oryginałem: „Zabrało to sporo czasu, ale dzięki pomocy mojej żony, Magdaleny, udało się to zrobić sprawnie na dwie pary oczu i ust. Słuchając mojego tekstu czytanego przez nią i w ten sposób – za sprawą innego tembru głosu i odmiennej intonacji – poniekąd obiektywizowanego, nie tylko nabierałem niezbędnego dystansu do słów i sformułowań we własnym przekładzie, ale mogłem się skoncentrować na oryginalnym niemieckim tekście, szybko go zanalizować i dokonać szeregu korekt własnego tłumaczenia".

Potem Koch przesłuchał audiobook niemiecki, a na koniec audiobook polski, nagrany przez Leszka Teleszyńskiego z przekładem Librowiczowej. I jeszcze wracał do tekstu niemieckiego, by uniknąć potknięć. Jaki jest efekt tej wielkiej pracy? Wchodzimy w ten świat z przyjemnością. Machina powieściowa rozkręca się na naszych oczach, od pierwszych scen, od przyjęcia w nowym domu rodziny. Szczegółów garderoby, rozmów w salonie, spojrzeń, detali fryzury, „Mann podniósł zaprasowany kant spodni do zasady sztuki" – pisał Alfred Döblin i chodzi tu o maestrię stylistyczną. I ważna jest też typowa dla Manna ironia, która – jak drobny akcent – zmienia czasem wymowę i puentuje sceny.

Uwięzieni w życiu

W powieści nie pada nazwa miasta, ale można było się domyślać, że chodzi o Lubekę i ten obraz ma wiele wspólnego z domem rodzinnym Manna. Podejrzewano wręcz, że jest to powieść z kluczem, pamflet na lubeckie towarzystwo. Mann odpowiadał, że prawdziwa twórczość czerpie wzory z życia, ale wszystko przekształca. Pisał: „Nie o was jest mowa, w żaden sposób – bądźcie spokojni, mowa jest o mnie, o mnie...". Co nie znaczy, że rzeczywiście jest w centrum. Najwięcej ma wspólnego z postacią bardzo poboczną, z chłopcem Kaiem, który marzy o byciu pisarzem. Głównymi bohaterami powieści są Thomas i Tonia, rodzeństwo Buddenbrooków. Jest jeszcze Christian, ale on nigdy nie chciał być prawdziwym Buddenbrookiem, takim jak przodkowie, dźwigać ciężar tradycji kupieckiej.

Thomasa i Tonię rodzina i tradycja wsadzają w okowy. Wydaje się, że Thomas jest w swoim żywiole – jego celem jest pomnażać zyski i zapewnić firmie dobrobyt w przyszłości. I wszystko idzie wspaniale, aż do pewnego momentu, od którego zaczyna się równia pochyła. Jego syn Hanno widzi, że twarz Thomasa to maska, a pod nią kryje się zwątpienie. Wspaniała jest scena, kiedy Thomas czyta w nocy Schopenhauera i nagle on, który myślał, że jedynym jego celem jest kupiecki sukces, odkrywa siebie innego, pojawia się ta rysa, która pozwala mu wyjść poza maskę i ułudę. Thomas i Tonia są jak przeciwne bieguny – on wydaje się człowiekiem spełnionym i na swoim miejscu, tymczasem wewnątrz drąży go rozpacz, wzywa go śmierć.

A Tonia? Dokonuje samych złych wyborów w imię rodziny, wychodzi za oszustów, którzy wydają się korzystni dla interesów rodziny, a jednocześnie cały czas jest w niej radość, tętniące życie. Tonia ma swoje zdanie, nie pozwala się uciszyć. Nawet wtedy, gdy brat chce, żeby nie odchodziła od męża, choć przyłapała go na obściskiwaniu służącej i nazwał ją „plugawym ścierwem". Thomas bagatelizuje jego zachowanie, ale Tonia odchodzi z hukiem. Są jak przeciwne bieguny – Tonia to życie (jak pisze Łukasiewicz, w powieści przemawia ona głosem Nietzschego), Thomas – pragnienie śmierci. Ale łączą ich ukryte, odrzucone pragnienia – Tonia zrezygnowała z człowieka, który naprawdę ją pokochał, a Thomasa pamięta pewna kwiaciarka, którą porzucił, bo szukał dobrej partii.

Jest jeszcze syn Thomasa Hanno, dla którego istnieje tylko muzyka i którego przeraża perspektywa bycia Buddenbrookiem, nie ma woli życia. Mówi do swojego przyjaciela Kaia: „Ja nie potrafię chcieć". Między tymi chłopcami też istnieje jakaś nić pragnienia i – jak we wszystkich przypadkach w tej rodzinie – pozostaje niespełnienie. Człowiek u Manna jest uwięziony w życiu, w narzuconych rolach.

Jak pisze Łukasiewicz: „Powieść dla Manna to medium wyjątkowe, wybrane, wyposażone w szczególne możliwości. Przede wszystkim potrafi być wieloznaczna. Co za tym idzie, potrafi uporać się ze sprzecznościami, wśród których żyjemy i które generuje ludzka kondycja. Na przykład: jak się z czymś rozstać i zarazem to coś zachować, jak coś osądzić, ale nie odrzucić. To, co wyrażone w jednym zdaniu, mogłoby trącić tandetną dialektyką, świetnie się sprawdza w pojemnej formie powieści".

Oprócz kroniki schyłku formacji mieszczańskiej Thomas Mann pokazuje też to pęknięcie w człowieku, które sprawia, że może on zobaczyć, kim jest naprawdę. Dzisiaj, w czasie, kiedy trudno patrzeć w przyszłość bez niepokoju, ta powieść o wielu końcach dobrze koresponduje z tym, co nas otacza. A jednocześnie Mann pokazuje, że jest w nas coś więcej niż to, co wiemy o sobie. I czasem właśnie dzięki sztuce to coś w nas dochodzi do głosu.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 11d96193c5

Rajmund Ziemski wobec arsenałowego etosu sztuki

Debata zorganizowana w ramach Festiwalu Pracowni Historycznych, w 70. rocznicę słynnej wystawy w Arsenale.

Historia najlepiej karmi się spektakularnymi wydarzeniami. I tak obraz polskiej sztuki w pierwszej dekadzie po II wojnie światowej zdeterminowały dwie wystawy, obie zyskując z czasem status legendarnych. Pierwsza to Wystawa Sztuki Nowoczesnej, zorganizowana w Krakowie w 1948 roku. Druga miała miejsce w Warszawie w 1955 roku i mimo że pilnie filtrowana przez ideologiczne standardy, stała się – dla odmiany – symbolem końca stalinowskich porządków w kulturze. Jej oficjalny tytuł „Przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi" zanurzony był jeszcze w retoryce realizmu socjalistycznego, ale niósł już ducha nowych czasów. Dziś powszechnie zwana „Arsenałem" okazała się dużym przedsięwzięciem gromadzącym ponad 450 prac blisko 250 młodych, a także bardzo młodych artystów, malarzy, rzeźbiarzy i grafików. I właśnie to wydarzenie, a właściwie jego 70. rocznica, stało się pretekstem do spotkania w dawnej pracowni (dziś włączonej do sieci Warszawskich Historycznych Pracowni Artystycznych) wybitnego malarza Rajmunda Ziemskiego, którego początki twórczej drogi też połączyły z „Arsenałem".

W dyskusji udział wzięli kuratorka wystawy poświęconej Arsenałowi, zorganizowanej w 2010 roku w Muzeum Śląskim w Katowicach, Joanna Szeligowska-Farquhar, artysta malarz, twórca kolekcji poświęconej Arsenałowi w Muzeum Lubuskim w Gorzowie Wielkopolskim Jacek Antoni Zieliński oraz Katarzyna Ziemska z Fundacji Ziemski Art, opiekunka spuścizny artysty i inicjatorka wydarzenia. Jednym z dyskutowanych na spotkaniu wątków stała się odnaleziona niedawno praca magisterska Jacka Królaka z 1988 roku poświęcona owej pamiętnej wystawie i zawierająca pięć obszernych wywiadów z jego uczestnikami, a później uznanymi malarzami. Jacek przez wiele lat był szefem działu graficznego POLITYKI.

Królaka interesowało głównie to, czy można mówić o pokoleniu „arsenałowców" i co ów termin może znaczyć: wspólnotę postaw estetycznych, światopoglądowych? A także na ile udział w tamtej wystawie wpływał na losy twórców, kształtował ich kariery i malarstwo? W myśl zasady „od ogółu do szczegółu" zebrani przyjrzeli się drodze artystycznej wspomnianego Rajmunda Ziemskiego, która stanowi świetny przykład tego, jak znalezienie się w pewnym miejscu i w pewnym czasie (udział w Arsenale) może ukształtować człowieka i wyznaczyć jego dalsze życie.

Spotkanie odbyło się w ramach I Festiwalu Warszawskich Pracowni Historycznych. Impreza – dająca szansę zwiedzić oryginalnie zachowane pracownie artystyczne znanych warszawskich twórców – przyciągnęła tłumy, a o pomyśle na jej zorganizowanie więcej w znajdującym się niżej wywiadzie.

Rozmowa Piotra Sarzyńskiego z Aldoną Machnowską-Górą, zastępczynią prezydenta m.st. Warszawy.

Skąd pomysł na stworzenie w Warszawie programu wspierającego pracownie historycznych twórców, artystów?

Pomysł zrodził się w 2013 roku podczas I Festiwalu „Otwarte Mieszkania" organizowanego przez Towarzystwo Opieki nad Zabytkami. Wydarzenie to poświęcone było mieszkaniom-pracowniom, z których wiele miało już charakter historyczny. Jednym z kluczowych problemów, na które wówczas zwrócono uwagę, była potrzeba ochrony spuścizny po zmarłych lub bardzo wiekowych artystach – nie tylko ich dzieł, ale również miejsc pracy twórczej, które sami tworzyli i urządzali. Zachowane zbiory, przybory artystyczne, wystrój wnętrz – wszystko to często było zagrożone likwidacją w momencie sprzedaży lub wynajmu lokalu.

W odpowiedzi na te potrzeby rok później powołano w strukturach miasta Zespół ds. Warszawskich Historycznych Pracowni Artystycznych. Jego celem jest opieka nad pracowniami znajdującymi się w lokalach komunalnych.

Co decyduje o specyfice, charakterze tych miejsc?

Genius loci – duch miejsca, który tworzą elementy wystroju, najczęściej zaprojektowane przez samych artystów, ich warsztat pracy, dzieła, archiwa, a także przedmioty codziennego użytku. Historyczne pracownie nie są typowymi muzeami – łączą w sobie wnętrza pełne detali i pamiątek z przeszłości z wrażeniem żywej przestrzeni, w której sztuka wciąż się wydarza. To właśnie ta autentyczność sprawia, że odwiedzając je, przenosimy się w czasie.

Niezwykłą atmosferę tych miejsc współtworzą również ich opiekunowie – często są to sami artyści, członkowie rodzin lub uczniowie twórców. Gdy mamy do czynienia z tak bliską relacją, każde spotkanie w pracowni staje się unikalnym doświadczeniem.

Ile jest takich pracowni?

W tej chwili mamy 49 takich miejsc. Ta liczba się zmienia, bo średnio raz na kilka miesięcy przyjmujemy uchwałę o utworzeniu nowej pracowni.

Za nami pierwsza edycja Festiwalu Pracowni Historycznych – oddolnej akcji opiekunów pracowni. Wiemy, że cieszyła się ogromnym zainteresowaniem Warszawiaków. Czy istnieje wola, by stała się to impreza cykliczna?

Z całą pewnością. Było bardzo duże zainteresowanie i do niektórych pracowni w ciągu jednego dnia przyszło ponad 300 osób – większość z nich odwiedziła te miejsca po raz pierwszy. Jeszcze nie zapadła decyzja, kto będzie oficjalnym organizatorem wydarzenia, ale jest pewne, że miasto się w nie bardzo mocno zaangażuje. Chcemy, by to była impreza stała, odbywająca się co roku.

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

WARSZAWSKIE PRACOWNIE HISTORYCZNE

Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Fundacją

ZIEMSKI•ART

Zapis z debaty dostępny na:

eprasa.pl 11d96193c5



„Autoportret" (1952)



„Pajac na koniu" (1951)

Niewidoczne obrazy

We wrocławskim Muzeum Narodowym otwarto wystawę Waldemara Cwenarskiego. To świetny przyczynek do rozważań o twórcach niedocenianych, choć na uznanie zasługujących.

PIOTR SARZYŃSKI

W muzyce pop wymyślono w pewnym momencie termin „Klub 27" dla określenia artystów, którzy zmarli dokładnie w tym wieku. Myślano głównie o gwiazdach estrady: Janis Joplin, Jimim Hendriksie, Jimie Morrisonie. Z czasem owo tragiczne grono zasilili m.in. Kurt Cobain i Amy Winehouse. Jednak prekursorem można by obwołać właśnie polskiego malarza Waldemara Cwenarskiego, który zmarł tragicznie dokładnie w tym wieku i w niewyjaśnionych do końca okolicznościach.

Przedwczesna śmierć z reguły umacnia legendę, buduje mit artysty przeklętego przez los, niespełnionego, tragicznego. Tak niemal zawsze jest z muzykami, poetami, niekiedy też z malarzami – by wspomnieć Witolda Wojtkiewicza czy Andrzeja Wróblewskiego. Niekiedy jednak dzieje się na odwrót: twórca popada w zapomnienie i poza gronem dociekliwych badaczy praktycznie przestaje istnieć. W polskiej sztuce to przypadek m.in. Karola Larischa, Jeremiego Kubickiego, Henryka Wicińskiego, Henryka Morela czy właśnie Waldemara Cwenarskiego.

Można powiedzieć, że całe jego życie naznaczone było tragedią. Urodził się w 1926 r., wcześnie stracił ojca, brata i siostrę. Po wojnie pracował w fabryce porcelany w Wałbrzychu i dopiero w wieku 21 lat przeniósł się do Wrocławia, by uzupełnić wykształcenie i rozpocząć studia. Gdy umierał, był jeszcze studentem – i wówczas to wydarzenie niewielu obeszło, poza kręgiem najbliższych mu przyjaciół, wśród których był m.in. Józef Hałas, późniejszy wybitny malarz abstrakcyjny.

Swoje najciekawsze prace, niezgodne z oficjalnie panującą doktryną realizmu socjalistycznego, Cwenarski starannie ukrywał w domu, na zaliczeniach pokazując banalne martwe natury, pejzaże i portrety. Dla wykładowców był więc jednym z wielu studentów, który niczym szczególnym się nie wyróżniał. I właśnie dlatego nikt go specjalnie nie żegnał, nie było lamentów nad przedwcześnie zgasłym talentem. Do czasu.

© MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU (4)

eprasa.pl 11d96193c5

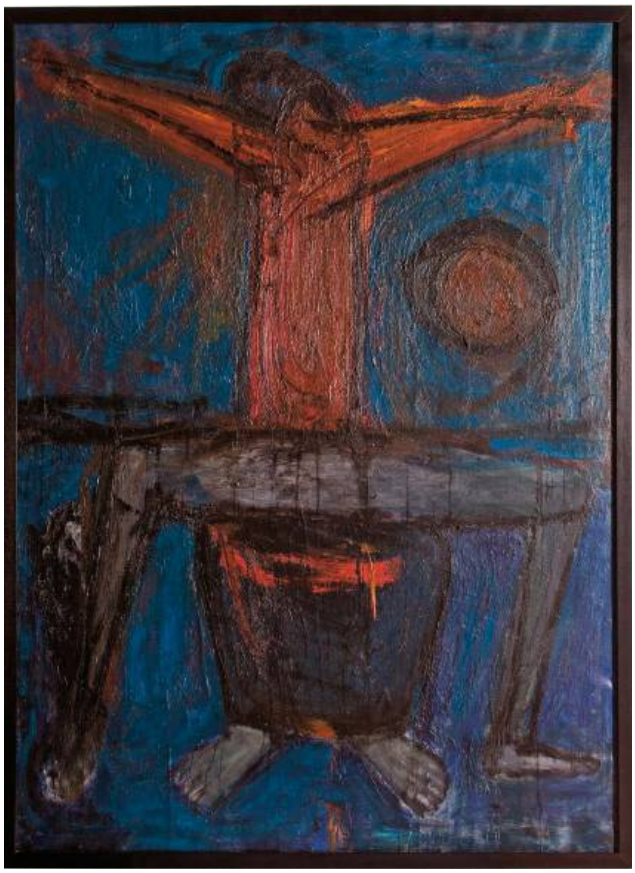

„Pieta" (1951)

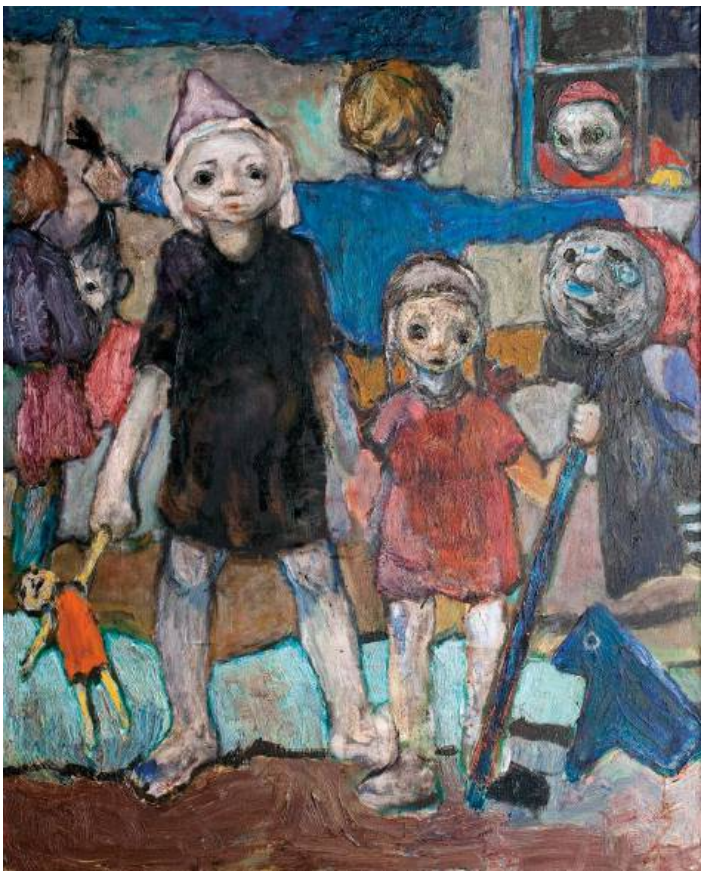

„Dzieci z Bałut" (1949)

Dzieła Cwenarskiego pokazano publicznie po raz pierwszy na legendarnej wystawie „Arsenał" w Warszawie w 1955 r. A później były kolejne, już indywidualne, ekspozycje we Wrocławiu, w Wałbrzychu, Łodzi, Szczecinie. Rosło zaciekawienie, a nawet fascynacja jego obrazami. Lata 60. to festiwal Cwenarskiego. Kolejne wystawy, wyśmienite recenzje, książka poświęcona jego dorobkowi. „To sztuka o wielkim rozmachu, potężnej wizji – niepojętej prawie u dwudziestoletniego studenta" – zachwycała się Bożena Kowalska. „Jest jakimś symbolem nowatorstwa sztuki" – wtórował Aleksander Małachowski.

W 1965 r. do Muzeum Narodowego we Wrocławiu trafiła niemal cała zachowana po artyście spuścizna – 81 prac malarskich i rysunkowych. I ów fakt okazał się dla zachowania pamięci o Cwenarskim równocześnie dobrodziejstwem i przekleństwem. Dobrodziejstwem, bo o prace zadbano, poddano je – niekiedy bardzo żmudnym – konserwatorskim zabiegom, opisano. A równocześnie pilnowano, by raz na jakiś czas (średnio co dwie dekady) przygotowywać mu dużą indywidualną wystawę oraz włączać jego prace do wystaw zbiorowych. A przekleństwem – bo poza Wrocławiem Cwenarski przestał być praktycznie obecny. W żadnym innym ważnym muzeum nie można zobaczyć jego dzieł, w budujących artystyczne hierarchie Warszawie i Krakowie Cwenarski jest dramatycznie zapoznany.

Obecna wystawa jest zatem kolejnym wołaniem o zwiększenie „współczynnika widoczności" Cwenarskiego w rodzimym życiu artystycznym. Próba ambitna, bo kuratorka Anna Chmielarz nie tylko zebrała niemal wszystkie dostępne prace artysty, ale też pokazała je na tzw. szerokim tle, konfrontując zarówno z dziełami innych artystów pokolenia „Arsenału" (m.in. Andrzej Wróblewski, Jan Lebenstein, Marek Oberländer), z profesorami i kolegami z uczelni, jak i ze współczesnymi malarzami, u których można odnaleźć podobieństwo stylistyczne lub tematyczne (m.in. Zdzisław Nitka czy Ryszard Grzyb). To szukanie kontekstów widać już w pierwszej sali, wystawę otwiera bowiem monumentalna praca Franciszka Starowieyskiego z cyklu „Teatr Rysowania", dedykowana właśnie Cwenarskiemu.

Dużych, skończonych płócien artysta pozostawił po sobie dramatycznie mało. To na pewno czerpiące z wątków religijnych, ale mające daleko szerszy humanistyczny wydźwięk „Pieta" i „Ukrzyżowanie", zanurzona w wojennych traumach „Pożoga" i „Dzieci z Bałut", przejmujący „Autoportret" czy nostalgiczna „Kompozycja" i namalowany na jej odwrocie wojtkiewiczowski z ducha „Pajac na koniu". A przecież jest jeszcze cykl ekspresyjnych i brawurowo swobodnie namalowanych „Etiud", które powstały ponoć w ciągu 48 godzin niemal nieustannego malowania. Wszystko to dzieła, obok których trudno przejść obojętnie, trudno się nie zatrzymać.

I wszystkie one nieustannie skłaniają do pytania: jak by się dalej potoczyły zawodowe losy tego artysty, gdyby nie głupia śmierć, za którą stał wypity w nadmiarze alkohol, być może nieszczęśliwy wypadek, a może młodzieńcza burda zakończona pobiciem? Bo to, że był nietuzinkowym talentem, nie budzi żadnych wątpliwości. I pytanie drugie: ilu jeszcze takich Cwenarskich moglibyśmy wygrzebać z dorobku polskiej sztuki, gdybyśmy zabrali się do tego systematycznie i uczciwie? ▶

eprasa.pl 11d96193c5



„Pożoga" (1951)

▶ Pierwsze z pytań, jeśli nie chcemy bawić się w efekciarskie gdybanie, musi pozostać bez odpowiedzi. Losy artystyczne wielu twórców były tak zawiłe, tak nieliniowe, tak pełne zwrotów, że o żadnych prawidłowościach mowy być nie może. Co by się stało, gdyby wielka Louise Bourgeois zmarła nagle ok. 50. roku życia? Zapamiętaliby ją nieliczni jako jedną z wielu rzeźbiarek, które niewiele osiągnęły. A gdyby tak Marcel Duchamp pożegnał się z tym światem przed czterdziestką, ok. 1923 r., tuż po stworzeniu „Wielkiej szyby"? Do dziś świat zachodziłby w głowę, jakimi kolejnymi szokującymi pracami by zadziwiał, i zapewniam, że nikt by nie przewidział, że przez kolejne cztery dekady, aż do śmierci, stworzy już tylko jedno dzieło, poświęcając czas głównie grze w szachy.

Bardziej intrygujące wydaje się pytanie drugie: o artystów niesłusznie niedocenionych. Nie ulega wątpliwości, że reflektor sławy najbardziej chaotycznie świeci po obszarach sztuki współczesnej, wśród żyjących, często przydając blasku artystycznym hochsztaplerom i efekciarskim projektom. Dziś „współczynnik widoczności" wyznaczają bardziej takie czynniki jak strategia marketingowa, relacje i znajomości, umiejętność schlebiania estetycznym gustom aniżeli warsztat, oryginalność i głębokość wypowiedzi, nowatorstwo itd. Kręci się karuzela uznania, jedni nieoczekiwanie wirują coraz wyżej, inni gwałtownie spadają na łeb na szyję. W salonie odrzuconych spotkać można wielu twórców wybitnych, którzy znajdują się poza mainstreamem z najprzeróżniejszych powodów, karani za zbyt dużą niezależność artystyczną, ale też za niewłaściwe wybory towarzyskie czy polityczne.

Im dalej zapuszczamy się w przeszłość, tym bardziej obraz się normalizuje, czas bowiem niezgorzej weryfikuje hierarchie, przywracając honor tym, którzy na to zasługują, i strącając z piedestału tych, którzy tam się niezasłużenie wdrapali. Oczywiście czasami na dziejową sprawiedliwość czekać trzeba dość długo. Ogromną rolę odgrywają tu retrospektywne wystawy we wpływowych, ważnych galeriach lub muzeach. To głównie dzięki nim w ostatnich latach radykalnie polepszył się „współczynnik widoczności" takich twórców jak Teresa Tyszkiewicz, Marek Włodarski, Erna Rosenstein, Maria Anto, Stanisław Szukalski czy Jerzy Ryszard „Jurry" Zieliński.

Ale zdarza się nadrabianie dużo dawniejszych zaległości. Czyż nie jest dziwne, że dopiero zorganizowana kilka lat temu w Muzeum Narodowym we Wrocławiu wystawa Bartłomieja Strobla była pierwszą monograficzną prezentacją tego niezwykłego XVII-wiecznego malarza? A przecież to jedyny polski twórca, którego praca znajduje się w ekspozycji stałej muzeum Prado w Madrycie. Nadto nie byle jaka, bo jest to licząca sobie blisko 3 × 10 m „Uczta u Heroda".

A kto jeszcze z nieżyjących XX-wiecznych polskich twórców zasługuje na to, by oświetlił go reflektor, jeśli nie sławy (tej mogą dostąpić nieliczni), to przynajmniej widzialności i uznania? Pomimo wyraźnej mody na powojenne malarstwo abstrakcyjne, swego czasu rozkręconej umiejętnie przez Wojciecha Fibaka, ciągle jeszcze pozostają twórcy, o których należałoby się upomnieć, jak Jan Chwałczyk, Jan Berdyszak czy Kajetan Sosnowski. Wydaje się, że na więcej cały czas zasługuje Władysław Hasior. Z innych estetycznie półek: Andrzej Urbanowicz, Stefan Krygier czy Zbylut Grzywacz. Podobnie rzecz się ma z intensywnym dowartościowywaniem w ostatniej dekadzie sztuki kobiet. Na swój moment czekają jeszcze m.in. ciekawie uprawiająca op-art Halina Wrzeszczyńska, Hanna Krzetuska, Aleksandra Jachtoma. Listę można by wydłużać, a każdy miłośnik sztuki z pewnością dorzuciłby do niej swoich niedocenionych twórców.

Co do Cwenarskiego, jego nazwisko praktycznie nie istnieje na rynku sztuki, który dziś bardzo mocno determinuje współczynnik widzialności. A przez ostatnie trzy dekady na aukcjach nie pojawiła się żadna jego praca. Po wrocławskiej wystawie większość dzieł wróci do muzealnego magazynu, a w stałej ekspozycji pozostaną zapewne 3–4 prace świadczące o ogromnym potencjale artystycznym, jaki w nim drzemał. Nigdy nie będzie miał szansy na osiągnięcie, nawet w niewielkiej cząstce, uznania, jakim cieszy się dziś choćby Andrzej Wróblewski. Tragicznie zmarły cztery lata po Cwenarskim i starszy od niego w chwili śmierci tylko o trzy lata. Cóż, los często bywa niesprawiedliwy dla twórców. Nawet gdy już odeszli.

PIOTR SARZYŃSKI

Waldemar Cwenarski. Czułość. Powroty i poszukiwania, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, wystawa czynna do 18 stycznia 2026 r.

© MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

eprasa.pl 11d96193c5



Chopin jazzu

Skąd ten przydomek? Jestem liryczny, więc czasami zahaczam o melodykę słowiańską – mówi Włodzimierz Nahorny, który przy okazji nowej płyty opowiada o swoim długim artystycznym życiu.

Włodzimierz Nahorny (ur. w 1941 r.) – pianista, saksofonista, flecista, kompozytor i pedagog. Współpracował z teatrami (słynny „Bim-Bom") i kabaretami, ale już od końca lat 50. działał na scenie jazzowej. Grywał m.in. z Andrzejem Kurylewiczem, Andrzejem Trzaskowskim i Janem Ptaszynem Wróblewskim, a także z zespołem Breakout. Jest autorem utworów jazzowych i znanych piosenek (m.in. „Jej portret"). Interpretował też utwory Karola Szymanowskiego, Mieczysława Karłowicza i Fryderyka Chopina. Temu ostatniemu poświęcił też rozprawę doktorską.

JERZY CHROMIK: **– W prezencie na 84. urodziny wydał pan dla siebie i melomanów nową płytę zatytułowaną „Bliskość ciszy".**

WŁODZIMIERZ NAHORNY: – Tak się szczęśliwie złożyło. Wyszła 17 października.

Data-symbol. To takie pańskie Wembley po długiej walce o życie?

Jak mawiają sportowcy: dałem z siebie wszystko. A nawet więcej. Po pracy nad płytą trafiłem na OIOM. I sporo czasu tam spędziłem. Za dużo. Potem doszła długotrwała rehabilitacja. Nie dawano mi wtedy zbyt dużych szans na przeżycie, było więc blisko Ciszy. Wiecznej. A ta tytułowa „bliskość ciszy" jest oczywiście wzięta od Jonasza Kofty.

Na szczęście wrócił pan do grania.

Po długiej przerwie znowu próbuję koncertować. Początkowo ostrożnie sprawdzałem, czy palce jeszcze pamiętają klawisze. Ale niedawno byłem w Piwnicy pod Baranami, a potem w Czarnolesie. Będą jeszcze Tychy i Wrocław.

Miałem 15 lat, gdy za kieszonkowe kupiłem na Ostrowieckiej w Radzyniu Podlaskim „Karate" Breakoutów, swoją pierwszą płytę gramofonową.

Ale czy ja na niej grałem? Wątpię.

Nie, pana nazwisko jest na innych: „Na drugim brzegu tęczy", „70A"…

Jestem bodaj na trzech albo czterech longplayach Breakoutów. Czasami przychodzili do mnie po autografy. Mówię: „Ale ja tu przecież nie gram!". A oni pokazują mi palcem, że jednak grałem. Breakouci wydawali płyty złożone z nagrań koncertowych i radiowych. Takie składanki, na których siłą rzeczy byłem, bo często występowałem na tych koncertach.

Aż przyszła do zespołu Mira Kubasińska i nagrała z nim płytę „Ogień". To był koniec pana współpracy z Nalepą?

Tak, Tadzio wyraźnie mi powiedział – zresztą napisał to w książce – że przestał ze mną współpracować, bo ludzie przed koncertem pytali go, czy będę dzisiaj grał, czy nie.

Nahorny był więc dla przychodzących na koncerty nierzadko ważniejszy niż Nalepa? Ale to jego nazywano polskim królem bluesa.

Też nie wiem z jakiego powodu, bo, jak pamiętamy, blues jest formą jazzową, ale z tekstem o pracy i smutkach społeczności Afroamerykanów, jak to się teraz mówi. A przecież „Kiedy byłem małym chłopcem" nie ma z tym nic wspólnego ani tekstowo, ani w zasadzie melodycznie. Trudno ten utwór nazwać bluesem. ▶

© PIOTR GRUCHAŁA

eprasa.pl 11d96193c5

▶ Niby wszystko można podciągnąć, bo w końcu bluesa każdy rozumie, jak chce. Dla nas jest to forma dwunastotaktowa, o harmonii przejrzystej, złożonej z trzech czterotaktowych fraz. To jest zrozumiałe dla każdego jazzmana.

Z kolei o Włodzimierzu Nahornym mówią: „Chopin jazzu".

Tak jak Tadzio był królem polskiego bluesa, tak ja jestem „Chopinem jazzu"? Na takie określenie bardziej zasłużył Andrzej Jagodziński, bo to on pierwszy nagrał jazzowego Chopina. Potem każdy sobie coś tworzył, zwłaszcza w okolicach dwusetnej rocznicy urodzin wielkiego kompozytora. Skąd ten przydomek? Napisałem coś, co trącało mazurkiem albo czymś podobnym. Jestem liryczny, więc czasami zahaczam o melodykę słowiańską.

Dzieciństwo spędził pan w Kwidzynie. Od Radzynia Chełmińskiego to jest tylko 50 km, ale... pan urodził się w innym Radzyniu. Tym Podlaskim.

Może nawet pod Radzyniem, gdzieś w stodole, w Bedlnie.

W tym Bedlnie, blisko stacji kolejowej oddalonej 7 km od centrum miasta, pracował ponoć pana ojciec?

Zaczepiał się tam, gdzie wtedy mógł. On był zawsze związany z lasami. Jeszcze w Ukrainie pracował w majątku Edmunda Radziwiłła i zajmował się oceną drzew, które kwalifikują się do wycięcia. Był brakarzem, tak się nazywał ten fach w tamtych czasach. Gdy miałem kilka lat, wyjechaliśmy z Radzynia i długo jeździliśmy po Polsce, aż tata został kierownikiem tartaku pod Kwidzynem.

A jak rodzice trafili do Radzynia? Najkrótszą drogą z terenu obecnej Ukrainy?

Rodzice do Radzynia dotarli pieszo. Jak już ta wojna wisiała na włosku, to podjęli trudną decyzję o ewakuacji. Zawsze bardzo dobrze traktowali wszystkich dookoła, więc byli lubiani. Któregoś dnia przyszła do nich kobieta ze służby, nazywana posługaczką, i ostrzegła, że jeżeli tej nocy nie uciekną, to ich będą „riezać". To było dosłownie tak powiedziane – będą „riezać" i koniec! No więc uciekli tak, jak stali. Na pewno pomieszkiwali w stodołach. Bo gdzie? Przecież nie w hotelu. Nie znam szczegółów i trochę żałuję. Zawsze to wszystko zostawiałem siostrze. Znała imiona wujków, ciotek, nazwy miejscowości. Była takim rodzinnym kronikarzem. Podobno rodzice poruszali się z grupą znajomych. Nie wiedzieli, dokąd pójść, ale ktoś zdecydował tak, a nie inaczej, i trafili do Radzynia. Tam siostra znalazła sobie męża, syna miejscowego lekarza. Nazywał się Jan Sitkowski. Wtedy był jeszcze studentem.

A jaki był układ wiekowy rodzeństwa?

Siostra była najstarsza, brat – rok od niej młodszy, a ja byłem od niego jakieś 13 lat młodszy. Ona całe życie narzekała, że musiała mi matkować. Powtarzała często: wszystkie randki mi popsułeś. Tak mi mówiła, jak już dorosłem, a ona była mężatką. Pomieszkiwałem u nich w Gdańsku. Kiedy byłem w liceum i jeszcze potem, już na studiach.

Szwagier był melomanem, miał olbrzymią kolekcję płyt, z której korzystałem. Był współzałożycielem pisma „Jazz", razem z Józefem Balcerakiem. A to było jedyne takie pismo w Europie Wschodniej. Balcerak mieszkał przed wojną w USA i miał znajomości. Tam zainteresował się jazzem. I kiedy spotkał mojego szwagra, to się zmówili. Tak wspólnie zaczęli wydawać pismo. Pamiętam, że długo miałem dwa pierwsze numery „Jazzu". Tam w stopce oni dwaj byli wymienieni. Później Balcerak zajął się tylko jazzem i pismem, a szwagier skupił się na zajęciach na politechnice. Był specem od silników spalinowych, dziwna specjalizacja, ale umiał nawet zagrać boogie-woogie na pianinie.

A my w Kwidzynie też mieliśmy pianino w mieszkaniu. Warunkiem pozostawienia go w nim było jednak to, by ktoś umiał grać. Siostra poszła więc do szkoły muzycznej, a potem ja... Wiele lat później, jak wynajmowałem lokum w Konstancinie, to były nawet dwa pokoje z pianinem. Ale jak prosiłem, żeby mi jeden udostępnili do ćwiczeń, to mówili, że niestety jest już zajęty. Pytałem wprost – a czy ktoś gra? Nie, ale trzymają tam alkohol.

Dowcip z brodą: „Czy grasz na fortepianie? Nie, bo karty się ślizgają".

No, pianino do kart jest kiepskie. Ale fortepian też nie lepszy, bo z niego jeszcze łatwiej karty spadają.

Pana edukacja muzyczna zaczęła się w Kwidzynie?

Tam była podstawowa szkoła muzyczna, w której uczyłem się gry na fortepianie. Złożyłem papiery do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie. Powiedzieli, że na pewno się nie dostanę, bo tam jest zawsze dużo chętnych na jedno miejsce. No i faktem jest, że nie dostałem się na ten wymarzony fortepian, ale na szczęście oni wtedy sobie wymyślili taki wydział instruktorski – żeby kształcić młodzież w kierunku artystycznym. Wiadomo, że pianisty z takiego nie będzie, ale może poprowadzić jakiś zespół w domu kultury. Jeżeli ktoś zdał teorię i miał ten tak zwany „słuch", to uznawali, że może być z niego jakiś muzyk, chociaż pianista na pewno nie. Tak mnie przyjęli na ten wydział. Było takie odgórne zalecenie, że każdy z nas musiał sobie wybrać inny instrument, na którym będzie się uczył przez te lata. I to były wyłącznie instrumenty dęte, bo mnożyły się orkiestry, w każdym mieście wojewódzkim takowa musiała być. Potrzebowano grających na puzonach, trąbach, ponieważ było ich bardzo mało. To trudne instrumenty, bo do pianina to każdy siądzie i sobie coś tam odbębni. I jeśli chce grać, to później może zagrać na przyjęciu czy weselu. A na puzonie to co zagra?

Czyli tak to z tym pana saksofonem, konkretnie altowym, było?

A skąd, to się zdarzyło dużo później! Dostałem przydziałowo klarnet. I zostałem magistrem klarnetu. Ale chciałem kontynuować naukę, tym razem z fortepianem. Spotkałem się z dziekanem, asystentem wspaniałego prof. Śliwińskiego, który jak dostał pracę w Sopocie, to namówił wszystkich studentów na Śląsku i przeprowadził ich nad morze. I ten asystent, Jurek Sulikowski, przygotowywał mnie, żebym po skończeniu uczelni na klarnecie mógł zacząć uczyć się na fortepianie. I tak by było, gdybym nie pojechał na dwa tygodnie do Warszawy, do „Dziekanki". Bo kiedy przyjechałem na dwa tygodnie w lipcu, to usłyszałem, że w wakacje fajnie można tu zarobić. I tak wyszło, że do dzisiaj tu siedzę. Zacząłem od mieszkania w akademiku. A później, kiedy już skończył się sezon, to skończyła się i praca. Przeprowadziłem się z kolegami do Wawra.

Byliście więc znowu blisko siebie.

Piękna okolica, piękna przyroda, tyle że daleko do centrum. Nie mieliśmy też często na kupienie węgla do pieca. Wszyscy gdzieś graliśmy, ale nie w jednym miejscu. Jak się schodziliśmy do mieszkania, to trzeba było się ciepło ubrać i od razu do łóżka.

Albo rozgrzać się czymś mocnym.

Ja w środowisku miałem taką złą opinię – że nie da się ze mną napić.

Nie tylko w światku artystycznym było to jak wyrok. Niepijący? To na pewno donosi...

W moim otoczeniu mało było niepijących. Jak tylko była okazja, to od razu

eprasa.pl 11d96193c5



Festiwal Jazz Jamboree, Warszawa 1969 r., i grupa Włodzimierza Nahornego (trzeci od lewej; flet)

© MAREK KAREWICZ/PAP

był alkohol do rana. Musiałem się przez to wyprowadzić z Wawra.

Sam kiedyś uważałem, że noc to moja pora.

Też byłem nocnym markiem. Mówiono, że prawdziwy artysta może komponować, pisać, wymyślać tylko po północy. I ja tak robiłem. Jak mieszkałem na Starówce, to zawsze czekałem, aż ucichnie ruch, bo mieszkałem na parterze, na Piekarskiej. Do północy nigdy nie byłem pewien, czy ktoś nie zajrzy. Blisko była piwnica z wyszynkiem. Wszyscy wychodzący pukali w okno, sprawdzali, czy mogą do mnie przyjść. Oczywiście przychodzili bez względu na moją odpowiedź. Przybora, który mieszkał trzy piętra nade mną, wspominał, że bardzo często mylili okna i pukali do sąsiadki. Ta później z płaczem przychodziła i żaliła się: „Panie Włodzimierzu, niech pan łaskawie poprosi kolegów, żeby pukali w pana okno, a nie o drugiej w nocy do mnie, bo ja już śpię".

Z kolei w ciągu dnia pod moim otwartym oknem stawały wszystkie wycieczki. Przewodnik klarował im, że za chwilę zobaczą pomnik Kilińskiego, który bardzo zasłużył się Warszawie. Musiałem o tym Kilińskim wysłuchiwać do znudzenia. No, ale to było moje pierwsze takie w miarę samodzielne mieszkanie, chociaż wynajmowane. Mieszkałem tam tak długo, jak tylko mogłem.

A czy był w pana życiu taki czas, że czuł się pan bogaczem i mógł sobie na wszystko pozwolić?

Dzięki muzyce? Był taki czas, że mogłem się czuć bogatym, jak już dostałem się do grona, które nagrywało muzykę do filmów, grało koncerty, robiło dużo rzeczy. Myśmy mieli takie grupy, np. Tomek Stańko grał i u Andrzeja Trzaskowskiego, i u Komedy. Jasiu Muniak grał głównie u Trzaskowskiego, ale też grywał u Komedy. Ja miałem swój zespół i też grałem u Trzaskowskiego. Były wtedy trzy firmy: Trzaskowski, Kurylewicz i Komeda. Ale z koncertów nie odkładało się nawet złotówki. Nikt z nas nie miał konta, łatwiej było to przepić, przehulać. Mnie wódka nie bawiła, a wtedy chodziło się do knajp, by się napić. Choćby do Kameralnej. Ja jednak nigdy do niej nie trafiłem.

Ale Jana Himilsbacha pan jednak poznał.

Tak. Jasiu był uroczy, niepodrabialny. Zadzwonił, że muszę zagrać na pogrzebie jego przyjaciela Zdzisia Maklakiewicza. I to na organach. Podczas mszy w kościele. Mówię szczerze: „Jasiu, ja nie umiem grać na organach". „Co tam nie umiesz, umiesz. Nauczysz się". Było mu wszystko jedno, co zagram, bylebym tylko zagrał. Umówiłem się z miejscowym organistą, że zmieni barwy instrumentu. Wyciąga się szufladki i można z organów zrobić nawet orkiestrę symfoniczną. Umówiliśmy się, że on będzie obsługiwał ręcznie te szufladki. A ja tylko będę grał na klawiaturze i będę mówił, co chcę, nawet głośno. I tak wyglądało to moje ostatnie pożegnanie Maklakiewicza.

Wzruszające.

A później powstała legenda, że Jasiu zostawił mu w grobowcu rodzinnym pół litra, tak na wszelki wypadek, gdyby się jednak Zdzisiu obudził.

Podobno Himilsbach długo nie wytrzymał w żałobie.

Po kilku dniach zadzwonił do żony Maklakiewicza: „Czy mogę ze Zdzichem?". A ona na to: „Od kilku dni dzwonisz, a wiesz doskonale, bo byłeś przecież na pogrzebie, że umarł". „To on cały czas nie żyje?".

I dzięki takim anegdotom Himilsbach jest wiecznie żywy.

Później, jak umarł, to miałem też zagrać na jego pogrzebie, ale nie zagrałem. Wtedy pracowałem na statku i byłem gdzieś na drugiej półkuli. Jego Basica zadzwoniła do mojej żony. Żona nie znała Jasia, więc tym bardziej nie znała Basicy. Ta jednak długo przekonywała ją, że Jasiowi bardzo zależało, żeby Nahorny grał na jego pogrzebie.

Zazdroszczę też panu znajomości z Cybulskim.

Zbyszek był wspaniałym kolegą, nigdy nie zadzierał nosa. Przeciwieństwo Bogumiła Kobieli. Razem pracowali, razem kierowali tym Bim-Bomem, razem reżyserowali. Też tam grywałem, ale byłem rezerwowym. Na występy mieli prawdziwego pianistę.

Niedaleko pańskiego Radzynia, bo w Międzyrzecu Podlaskim, urodziła się Sława Przybylska.

Byłem kiedyś ze Sławką dwa miesiące w Związku Radzieckim. Razem z orkiestrą radiową. Jeździliśmy po południu Rosji. Pierwsza rzeczą, o jaką pytaliśmy po przyjeździe, było: gdzie jest targ. Danusia Rinn niemal w każdym większym mieście robiła przyjęcie dla całego zespołu solistów. Gotowała świetnie. Tylko musiała jeszcze sama zdobyć wiktuały. Dlatego nasze pobyty zaczynały się zawsze w rynku. Lubiła i potrafiła zrobić przyjęcie z niczego. Jej stół nie przypominał pokoju hotelowego. Krzesła były, zastawa, różne potrawy. Znakomicie to zawsze wyglądało.

Przy okazji 80. urodzin powiedział pan, że do płyty „Okruchy dzieciństwa" warto dodać część literacką. W trosce o... „korespondencję sztuk", bo muzyka powinna iść razem z tekstem literackim.

I ta brakująca część już powstała. Książka ma się ukazać przed końcem roku. Nula Stankiewicz, która na mojej najnowszej płycie śpiewa teksty Kofty, Osieckiej i Wołka, miała bardzo dobry pomysł, by poszczególne rozdziały nie były autobiograficzne ani nawet chronologiczne. Każdy z nich ma tytuł mojej kompozycji. A ja do tego dodałem tylko wspomnienia. Nie tylko okruchy z dzieciństwa.

ROZMAWIAŁ JERZY CHROMIK

eprasa.pl 11d96193c5



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Joanna Krupa wyznała, że była gnębiona w amerykańskiej szkole za to, że jest Polką. Koledzy rzucali w nią i jej siostrę jajkami. Zgadza się. Przeciętny Amerykanin wyrzuca przeciętnie 0,5 kg żywności dziennie.

Do sieci wyciekło zaproszenie na ślub Kasi Cichopek i Maćka Kurzajewskiego. Impreza odbyła się 25 i 26 października. Słowa te piszę 23 października i to informacja ciekawsza niż poprzednia.

Patronem tegorocznego Krynica Forum został Kanał Zero. Wystąpią m.in. Duda, Bosak i Morawiecki. Szkoda mi najbardziej Tomka Kammela. Gdziekolwiek pójdzie, to zawsze ląduje w partyjnej telewizji.

Daniel Martyniuk szokuje kolejnymi wpisami: „W Boga nie wierzę" – donosi Plejada. Nie dziwię się Danielowi. Patrząc na jego życie, można zakwestionować wszystkie cuda.

Plotek.pl tradycyjnie z dużym profesjonalizmem wziął się do klasy fortepianu. „Rafał Trzaskowski typuje, kto może wygrać Konkurs Chopinowski. Miał już nosa co do finalistów". Szczególnie w drugiej turze.

Małgorzata Rozenek rusza z programem „Bez kompleksów", w którym przez osiem miesięcy wraz ze specjalistami będzie tworzyć spektakularne metamorfozy uczestniczek. Premiera 1 listopada. Czas metamorfozy ostatecznej.

Podkast Biznesowy na YouTube przeanalizował wywiad Janusza Palikota u Żurnalisty i wyszło im, że ten rodzaj wybielacza chodzi u niego po 30–40 tys. zł.

„Maja Hyży zobaczyła paragon i się przeraziła. Tyle wydaje tygodniowo na jedzenie", donoszą media. To kwota 500 zł. Super. Nareszcie jest coś, w czym Maja odnosi sukcesy.



© MARIA LAURA ANTONELLI/AGF/SIPA/EAST NEWS

Obsadzenie Kasi Smutniak w roli Maryi w „Pasji 2" Mela Gibsona spotkało się ze sprzeciwem prawicowej części naszego społeczeństwa. Nie dziwię się. Gibson skończył się na „Uciekających kurczakach".

Grzegorz Krychowiak będzie występował w Mazurze Radzymin, klubie klasy okręgowej. Może przybliżę sylwetkę. Grzegorz to polski piłkarz.

Gazeta.pl na pierwszej stronie informuje, że Iwona Burnat z programu „Żony Hollywood" nadała psu imię Żabka. Na cześć sieci sklepów. Autora tego tekstu nazwałbym Gniotpol. Na cześć tej firmy.

Peja pochwalił się wspólnym zdjęciem z prezydentem Karolem Nawrockim. Raper kiedyś rymował: „Mój wzrok nie dosięga tam, gdzie politycy kradną, eksterminują ludzi, pociągają na dno". I tym zdjęciem swoje słowa potwierdził.

Popek pochwalił się w TVN, że na kokainę wydał w swoim życiu 17 mln zł. W numerologii 17 oznacza duchowe przebudzenie. Dużym zaskoczeniem jest fakt, że w ogóle się przebudził.

Joanna Kurska wypowiedziała się o Paulinie Smaszcz: „Nieszczęśnica, która nikogo nie interesuje". Taki jest chrześcijański twist, kiedy nauki przedmałżeńskie zaliczałeś w TVP.

Sylwia Bomba zdradziła, że obecnie waży 60 kg przy wzroście 170 cm. A wszystko to osiągnęła w 38 lat. I pomyśleć, że Michał Anioł skończył malowanie sufitu Kaplicy Sykstyńskiej w zaledwie cztery.

Mateusz Damięcki zapowiedział kontynuację kontynuacji „Furiozy", czyli „Drugiej Furiozy", w postaci „Trzeciej Furiozy". Napisanie tego zdania w przypadku „Czwartej Furiozy" będzie znacznie trudniejsze.

eprasa.pl 11d96193c5

FELIETON

Chutnik Plebanek



Futerkowa hipokryzja

Na lotnisku było gorąco. Tłum kłębił się mimo wczesnej pory, ludzie w długaśnych kolejkach nerwowo przestępowali z nogi na nogę. Kobieta stojąca przed Grażyną co chwila zdejmowała i wkładała futro. Widok niecodzienny, bo mało kto już paraduje w odzwierzęcych kurtkach. Po pierwsze, nie w październiku ani nawet w grudniu, bo gdzież te dawniejsze zimy. Po drugie, naprawdę nie wypada. Nie dziś, kiedy mamy tyle nowoczesnych technologii, dzięki którym możemy ubrać się ciepło. Nie dziś, kiedy wiemy, ile ten obciachowy produkt kosztuje cierpienia.

A jednak są jeszcze kokietki, którym pomyliły się wieki. Niczym w 1925 r. przystrajają się w sierść lisów, norek, nutrii, które obdarto ze skóry po tym, jak rażono je prądem. Bo na tym polega „pozyskiwanie" futra – wtyka się przerażonej istocie diody do pyska i odbytu. Jeśli przeżyje, dobija się pałką czy co tam kat ma pod ręką. Inteligentne, rodzinne, lubiące zabawy stworzenia rozmnaża się i trzyma od małego w klatkach, w ścisku i bez możliwości ruchu. Hoduje się na śmierć. Żeby osoba o zerowym EQ (inteligencja emocjonalna) mogła na lotnisku kompulsywnie zsuwać i zakładać futro, naiwnie sądząc, że wywoła podziw. Tymczasem wzbudza wściekłość.

Obywatele i obywatelki od dawna mówili „dość" męczeniu zwierząt. Teraz wreszcie zjednoczyli się politycy.

Obywatele i obywatelki od dawna mówili „dość" męczeniu zwierząt. Teraz wreszcie zjednoczyli się politycy.

Przytłaczającą większością głosów Sejm przegłosował zakaz hodowania zwierząt na futro. Stworzył też zachęty do zamykania tzw. ferm futrzarskich: im szybciej właściciele mordownię zlikwidują, tym wyższe dostaną odszkodowanie. Za osiem lat ta makabryczna działalność ma być w Polsce nielegalna. O ile Senat poprze tę inicjatywę. O ile podpisze prezydent.

Bardzo liczymy na ich empatyczne odruchy. Lobby hodowców zwierząt futerkowych nie jest wcale liczne, tylko bardzo głośne, jak znienawidzeni powszechnie myśliwi. Oba barbarzyńskie rodzaje działalności nie cieszą się żadnym społecznym poparciem. Nie dysponują też nawet jedną tysięczną finansowych takich możliwości lobbowania, jaką mają big techy. Przyjdzie im zatem zamilknąć. Ale nie mówmy hop, bo ciężka praca Małgorzaty Tracz, posłanki z ramienia partii Zielonych, która jest autorką projektu zaaprobowanego przez Sejm, trwa. Tak jak działania organizacji Otwarte Klatki, Viva i innych ludzi, którym na sercu leży dobro zwierząt. Może w następnym ruchu pod ochronę wzięte zostaną też króliki, które teraz zostały z niej wyłączone?

Kilka tygodni temu odbył się Wschodnioeuropejski Festiwal Cyrku Współczesnego Cyrkulacje. Próżno było tam szukać klasycznych przedstawień, tym bardziej tych z udziałem zwierząt. Za to zobaczyć można było walkę z grawitacją, ujarzmianie ognia, hipnotyzującą grę światłem, a wszystko to opowiedziane gestem, ruchem i siłą ludzkiego ciała. Bez wykorzystywania innych istot, bez tresury i przemocy. Nawet ostoja tradycyjnego kabaretu, czyli paryski Moulin Rouge, zrezygnowała w 2023 r. z występów z wężami. Nic dziwnego, widzowie nie chcieli oglądać popisów spanikowanych gadów. Kiedy kilka lat temu Sylwia była na jednym z przedstawień, po wniesieniu akwarium wśród widowni przeszedł szmer oburzenia – odzwyczajamy się od rozrywki, która jest męczarnią dla żywych istot. Wreszcie.

Widać to było również w polskim parlamencie w 2020 r., gdy poparto tzw. piątkę dla zwierząt: zakaz hodowli zwierząt na futra, wykorzystywania ich w cyrkach, ograniczenie uboju rytualnego oraz surowsze kary za dręczenie i (przegłosowany ostatnio) zakaz trzymania psów na łańcuchach. Wydawało się, że wszystko idzie ku dobremu. Napisałyśmy nawet felieton na ten temat, jedyny raz chwaląc Jarosława Kaczyńskiego za determinację w obronie praw zwierząt. Tylko że ustawa nie weszła w życie i cała historia z lobbowaniem musiała rozpocząć się na nowo. Niezmordowane organizacje pozarządowe znowu przekonywały, że warunki hodowli zwierząt futerkowych to skandal. Te same argumenty, komisje sejmowe, rozmowy i wyroki. Wreszcie – w 2025 r. – mamy to. Oby na zawsze i oby w rozszerzonej formie. Te zmiany są dowodem na poszerzanie świadomości ludzi oraz zmianę barbarzyńskich przyzwyczajeń, takich jak „użytkowe" traktowanie zwierząt i odmawianie im prawa do godnego życia.

Nie tylko my, pisarki, ale i wszystkie osoby używające języka polskiego mogą zmieniać go tak, by odejść od instrumentalizowania zwierząt. Powoli czasownik „umrzeć" wypiera „zdechnąć" w odniesieniu do czworonożnych. Zeszłoroczna polemika z profesorem Bralczykiem pokazała kierunek zmian. Oby kolejnym krokiem było wyrzucenie z obiegu takich pieszczotliwych określeń, jak „kotlecik", „nereczki", „flaczki" czy „móżdżek". Wystarczy pokazać, jak się to „mięsko" produkuje, żeby ochotę na tatara zastąpił odruch wymiotny. A wracając do futer – co za paradoks, że choć sami na wszelkie sposoby się wygładzamy, nasza wydepilowana kultura wciąż toleruje cudzą sierść na ludzkim ciele.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 11d96193c5



Wiwat Wiki!

Napisałem wiele krytycznych tekstów na temat Wikipedii. Dziś muszę jednak przyznać, że na tle ogólnego staczania się internetu Wikipedia lśni jakością, niczym podwodna skała, która wyłoniła się na wysychającym akwenie. Głównym zarzutem wysuwanym wobec niej (nie tylko przeze mnie!) kilkanaście lat temu było to, że z anarchicznego pospolitego ruszenia, w którym mógł wziąć udział każdy ochotnik, przekształciła się w zbiurokratyzowaną strukturę. Teoretycznie nadal każdy może dołączyć, ale po kliknięciu w guzik „edytuj to hasło" zostanie skierowany do poczekalni (do jakiej i na jak długo – to zależy, czy chodzi o hasło „ludobójstwo w Strefie Gazy" czy też „morfologia stułbi płowej").

Wtedy cały internet wydawał się zdominowany przez działania oddolne, spontaniczne, niekomercyjne. Nie zastanawialiśmy się, do kogo to wszystko należy – wydawało nam się, że do nas. W 2006 r. tygodnik „Time" na Człowieka Roku wybrał „ciebie". Na okładce słowo „you" widniało na ekranie komputera, bo chodziło o „nas, internautów". Wszyscy staliśmy się Człowiekiem Roku, bo internet przyniósł nam masową równość, demokrację i emancypację (nie umiem teraz powstrzymać śmiechu, ale wtedy naprawdę tak myśleliśmy!).

> Elon Musk ma swoją armię wyznawców, którzy na jego rozkaz mogą zabić hejtem wskazaną ofiarę. Ale nie Wikipedię.

Na tym tle Wikipedia wydawała się biurokratycznym reliktem. W ówczesnej krytyce podkreślano różnicę statusu między jej działającymi społecznie twórcami a profesjonalizującą się administracją Fundacji Wikimedia. Po co komu jakaś taka staroświecka czapa? Wtedy się wydawało, że w internecie panuje nieograniczona wolność słowa. Na forach i blogach (kto to dzisiaj pamięta?) można było pisać, co komu ślina na klawiaturę przyniosła. Wielu rozczarowanych pionierów Wikipedii kilkanaście lat temu opuściło więc ten serwis, szukając prawdziwej wolności gdzie indziej.

Co do meritum, to wszystko w zasadzie prawda, tylko że dzisiaj oceniamy to inaczej. Ktoś, kto u zarania Wikipedii był dzieckiem albo jeszcze nie było go na świecie (mam takich czytelników!), przede wszystkim jest dziś zdumiony, że byliśmy wtedy tak głupi, że wierzyliśmy w „oddolny internet należący do nas". No cóż, byliśmy. Na nasze usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że nie byliśmy pierwszym pokoleniem w historii, któremu zauroczenie utopijnym projektem odebrało rozum.

Utopia „internetu należącego do wszystkich" zmieniła się w korporacyjną dystopię. Ówczesne „wolnościowe" serwisy albo zniknęły, albo nie są już wolnościowe (YouTube, Twitter, Facebook...), w dodatku należą do jakiegoś oligarchy, który steruje wszystkim żelazną ręką, podczas gdy „biurokraci" z Fundacji Wikimedia biorą wynagrodzenie, ale zwyczajne, nie na poziomie Marka Zuckerberga, i do samej Wikipedii się nie wtrącają.

Pieniądze są tu ważne, bo od kilkunastu miesięcy z Wikipedią wojuje najbogatszy człowiek świata, Elon Musk. Nie podobało mu się to, jak jest w niej opisany, więc najpierw próbował ją kupić, potem zniszczyć, aż w końcu ogłosił ofertę wpłacenia miliarda dolarów na fundację pod warunkiem zmiany nazwy na Dickipedia (Kutasopedia) i... został ze sflaczałą ofertą w garści.

Ten fakt jest zdumiewający i media poświęcają mu moim zdaniem za mało uwagi (poza specyficznym światem felietonów, bo w mediach nie bardzo jest miejsce na teksty typu „coś się nie wydarzyło"). Technologiczni oligarchowie działają zgodnie z założeniem, że każdego mogą albo kupić, albo zniszczyć. W większości przypadków, niestety, mają rację, ale nie w przypadku Wikipedii. Elon Musk ma na Twitterze swoją armię wyznawców, którzy na jego rozkaz mogą zabić zmasowanym hejtem wskazaną ofiarę. Ale nie Wikipedię. Tutaj atakująca armia kończy we wspomnianej poczekalni. W dzisiejszych czasach bez takich zabezpieczeń nie da się merytorycznie rozmawiać o stułbi, nie mówiąc już o Gazie.

A co z możliwością wrogiego przejęcia? Fundacji nie można kupić jak spółki giełdowej, ale niektóre przyciągają hojnych sponsorów „platynowym statusem" gwarantującym miejsce w zarządzie. Można więc je przejąć. Tak skończyło kilka głośnych fundacji działających w świecie technologii – na początku były szlachetne hasła o wolnym oprogramowaniu, a wyszła służba platynowym korporacjom. Nie chcę tu żadnej pokazywać palcem, w każdym razie Fundacja Wikimedia do nich nie należy. Inaczej już byłaby Muskopedią vel Kutasopedią.

Prawnicy piszący statut Fundacji Wikimedia 20 lat temu uodpornili ją na scenariusze, które wtedy wydawały się skrajnie nieprawdopodobne. Zbudowana przez nich biurokracja dobrze zniosła próbę czasu, zapewniając Wikipedii odporność na ataki miliarderów. Elon Musk może tylko bezsilnie miotać wulgaryzmami. Dziś taka odporność to skarb. Wikipedia jest może nie jedynym, ale na pewno największym serwisem, który nie boi się korporacji i oligarchów. To wystarcza, by odwołać niegdysiejszą krytykę i nisko pokłonić się wikiprawnikom, wikibiurokratom i wikiedytorom, co niniejszym czynię.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 11d96193c5

FELIETON

Koziołek



Ziemia obiecana za późno

Przecież tam jest więcej ruin niż w Warszawie po powstaniu – powiedziała sąsiadka wyraźnie wstrząśnięta fotografią w telefonie.

– Na pewno, prawie wszystkie domy są zniszczone albo uszkodzone – przytaknąłem ponuro.

– Nie mogę na to patrzeć i nie mogę przestać. Dokąd oni wszyscy zmierzają? – pytała, nie oczekując raczej odpowiedzi.

– Do Ziemi Obiecanej oczywiście, przecież Gaza to część biblijnego Kanaanu – ironizowałem bezradnie.

– Ta ziemia nie jest ani obiecana, ani święta, ale przeklęta – gniewnie odparła sąsiadka.

Serial „1883" wyleczył mnie ostatecznie z dziecięcego obrazu Dzikiego Zachodu. Ale też uprzytomnił trwałość mitu założycielskiego amerykańskiego społeczeństwa, czyli bycie ludem w drodze do ziemi obiecanej. W pierwszym odcinku widzimy imigrantów, jak czekają stłoczeni w jakiejś szopie w Forth Worth. Myślałem o moich śląskich i galicyjskich przodkach – uchodźcach do Ameryki w XIX w. Uciekli z Europy przed biedą, pogromami, z piętnem pańszczyzny. Nie mówią po angielsku, nie znają geografii; zdani są na łaskę oszustów i przestępców. Muszą więc jak najszybciej wynająć kogoś, kto ich stamtąd wyprowadzi. Nieważne dokąd, wszędzie będzie lepiej niż tam, skąd przybyli, i tu, gdzie utknęli. Nie będzie, ale i tak mają szczęście, że poprowadzą ich Shea (Sam Eliott) i Thomas (LaMonica Garrett) – prawi ludzie i byli żołnierze. Legendy o tych, którym pionierzy powierzali swoje życie i wyładowane wozy w drodze do nowego życia, stanowią być może źródło każdej politycznej obietnicy w Ameryce. A brzmi ona: „Ja was stąd wyprowadzę". Ale dokąd? I tu kryje się tragiczna pułapka Ziemi Obiecanej.

> Każdy podbój ziemi, na której ktoś już żyje, odwołuje się do przeszłości: byliśmy tam pierwsi albo mamy prawo od Boga.

W starotestamentowej Księdze Liczb Bóg wytycza granice krainy, którą przeznacza na ojczyznę Izraelitom wyprowadzonym przez Mojżesza z niewoli egipskiej. Niestety, Ziemia Obiecana ma już swoich mieszkańców w postaci licznych plemion zwanych Kananejczykami, których trzeba wysiedlić, zniewolić lub zabić. I którzy mają słuszne powody, aby się bronić. Ojczyzna nie jest więc prostą nagrodą za cierpienia niewoli i 40 lat tułaczki. Trzeba ją sobie podbić. Jak to się robi, opowiada Księga Jozuego – równie przerażająco, co doniesienia z Gazy.

Czy pokój zawarty po czymś takim może być trwały? Wojna o Ziemię Obiecaną będzie się odnawiać przez kolejne 3 tys. lat, a jej czynnych i biernych uczestników przybywało. Wbrew aktualnemu rozejmowi końca nie widać. Słuchałem niedawno rozmowy Husseina Aghi i Roberta Malleya, którzy kawał życia spędzili na negocjacjach między Izraelem a Palestyną i odegrali ważną rolę w doprowadzeniu do spotkania Jasera Arafata i Ehuda Baracka w Camp David w 2000 r. Obaj mówią z goryczą o farsie, w której uczestniczyli, i o zmarnowanych latach swoich wysiłków na rzecz pokoju. Nie tylko nie wierzą w ideę dwóch państw, ale przewidują radykalizację nienawiści w następnych pokoleniach – i to po obu stronach.

Irytuje mnie łatwość stwierdzenia, że współczesna polityka to emocje i bez ich uznania nie da się jej zrozumieć. Ale właśnie uznanie wagi wzajemnej nienawiści i brzemienia historii ostatecznie przekreśli możliwość rozwiązania tego konfliktu. „Nie możesz być emocjonalny. Musisz być racjonalny. Musisz zachować spokój. Ale racjonalność i spokój nie mają nic wspólnego z tym konfliktem" – mówi Hussein Agha. Bo przecież nie chodzi jedynie o prostokąt ziemi 40 na 10 km, na którym mieszka 2 mln ludzi zamkniętych granicami z Egiptem, Izraelem i Morzem Śródziemnym. Chodzi o prawo do życia na tej ziemi jako swojej. I nie stanowi o tym dowód zakupu. Dlatego każdy podbój ziemi, na której ktoś już żyje, odwołuje się do przeszłości: byliśmy tam pierwsi albo mamy prawo od Boga.

Kolonializm amerykański nie mógł używać tego argumentu, oparł się więc na odnowionej idei ziemi obiecanej, którą miał być Nowy (czyli lepszy) Świat. Osadnicy, którzy przypłynęli do Ameryki na „Mayflower" w 1620 r., zakładali swoją kolonię z pobudek religijnych, a nie handlowych. Kierowali się purytańskimi zasadami wiary, starając się stworzyć społeczeństwo sprawiedliwsze od tych w Europie. Kłopot w tym, że w Nowej Anglii żyli od wieków Indianie. Pół wieku później wybuchła krwawa wojna, w wyniku której plemiona Wampanoagów i Narragansettów praktycznie straciły swoje ziemie. A koloniści uświadomili sobie, że skoro dokonali tego własnymi siłami, nie są już Anglikami, lecz Amerykanami – ludem w drodze do Nowego Świata. Bo „w drodze jest nadzieja. To produkt uboczny pędu przed siebie. Poczucie, że możliwości rozciągają się tak szeroko jak sam kraj" (Jessica Bruder, „Nomadland", przeł. Martyna Tomczak). Wydaje się to zużytą mitologią, a jednak prezydent Trump nadał jej nazwę MAGA i używa z powodzeniem. Nawet wobec tych prawie 20 mln Amerykanów, którzy mieszkają w przyczepach.

Izrael i Ameryka – dwa ludy ziemi obiecanej za późno. Zawsze już będą w niej jacyś Kananejczycy albo Palestyńczycy, Indianie albo imigranci.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 11d96193c5



Obietnice na niski procent

Donald Tusk wyjaśnił, że ponieważ partia, na której czele stoi, otrzymała w wyborach jedną trzecią głosów, on jako premier zrealizował jedną trzecią złożonych obietnic. Wywołał tym falę krytyki, moim zdaniem niesłusznej; koncepcję, żeby spełniać tyle procent obietnic, ile ma się procent poparcia, uważam za spójną i logiczną.

Jestem pewien, że wszystkie obietnice Tusk zrealizuje wtedy, gdy uzyska poparcie wszystkich wyborców. „Z mojej sytuacji jestem zadowolony" zapewnia premier. Niektórzy jego wyborcy nie są zadowoleni z tego, że jest zadowolony, ale wiadomo, że wszystkich się nie zadowoli.

Czy polityk ma obowiązek realizować 100 proc. programu, skoro nie popiera go 100 proc. wyborców? Uważam, że nie ma. Wątpię, czy wyborcy potrzebują polityka, który już wszystko zrealizował. Odpowiedzialny polityk nie może lekkomyślnie wszystkiego realizować choćby dlatego, żeby dać wyborcom nadzieję, że w przyszłości jeszcze coś zrealizuje. Mógłby rzecz jasna wymyślić nowe obietnice. Niestety, wymyślanie sensownych obietnic nie jest łatwe, o czym świadczy złożona na manifestacji PiS obietnica zrzucenia na Polskę napalmu w celu likwidacji chwastów i niemieckich agentów.

Zrealizowanie wszystkiego mogłoby być uznane za popisywanie się i awanturnictwo. Mogłoby także doprowadzić do niebezpiecznej eskalacji realizacji obietnic. Na razie politycy mnóstwo rzeczy obiecują i na tym się kończy. Ale pesymiści ostrzegają, że gdyby Tusk nagle zrealizował wszystko, co obiecał, PiS po wygraniu wyborów mógłby pójść w jego ślady. Eksperci zapewniają, że Polska takiej licytacji nie wytrzyma.

Gdyby Tusk, mając jedną trzecią poparcia, zrealizował trzy trzecie tego, co obiecał, uzyskałby dwie trzecie nadwyżkowej realizacji, z którą zostałby jak Himilsbach z angielskim. Tymczasem nie realizując 60 proc. obietnic, zrealizował oczekiwania tych wyborców, którzy na niego nie głosowali, dlatego że są za tym, żeby już niczego nie realizował. W ten sposób, spełniając zaledwie jedną trzecią obietnic, Donald Tusk zadowolił aż dwie trzecie wszystkich wyborców, co należy uznać za duży sukces.

Koalicjanci Tuska są w dużo lepszej sytuacji, bo nie muszą realizować żadnych obietnic. Przy ich wynikach sondażowych nie ma to żadnego sensu. Dlatego doceniam fakt, że Szymon Hołownia, który obiecał, że przestanie być liderem Polski 2050 i wycofa się z polityki, pragnie tę obietnicę zrealizować. A koleżanki i koledzy zamierzający wystartować w wyborach na nowego szefa Polski 2050 mocno trzymają kciuki, żeby mu się udało.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prasa Print Lupa passion process technology

eprasa.pl 11d96193c5



© LESZEK ZYCH

Nagroda im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego

W ostatnią środę wręczyliśmy w naszej redakcji Nagrodę Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego – po raz pierwszy w nowej podwójnej formule. Nagrodę im. Jerzego Zimowskiego za Dzielność Obywatelską otrzymała redakcja **Orientuj.się** – za upowszechnianie wiedzy o współczesnym świecie w sposób kompetentny i odpowiedzialny, a zarazem przystępny dla młodego pokolenia. Natomiast Nagroda im. Janiny Paradowskiej za Dzielność Publicystyczną przypadła **Jarosławowi Kurskiemu**, byłemu pierwszemu zastępcy redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" – za wierność etosowi dziennikarskiemu i demokratycznym wartościom, za autorską i redaktorską niezależność.

W materiałach wideo Orientuj.się młodzi prowadzący rozmawiają z politykami i o polityce. Jak mówił w laudacji prof. Andrzej Rychard, „oprócz refleksu, wykazują się refleksją". „Grupa młodych osób postanowiła skierować się do odbiorców takich jak oni i opowiadać o polityce. W ich przypadku wygląda to wiarygodnie" – podkreślał profesor.

„Nie lubimy mówić, że tłumaczymy młodym świat. Mamy potrzebę wprowadzania świata polityki do świata młodych. Zadajemy politykom pytania i absurdalne, i poważne" – tłumaczyła Aleksandra Walczak, odbierając wraz z zespołem nagrodę.

Laudację na cześć Jarosława Kurskiego wygłosił redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński. „Dobra publicystyka jest koroną dziennikarstwa, jest czymś, do czego dochodzi się po latach praktyki, a i tak nie wszystkim to jest dane" – zaznaczał. I podkreślał: „Jarosław Kurski, jak wcześniej Marian Turski, przypomina, by nie być obojętnym. Mówi: »Nie ma fatalizmu polskich dziejów, są dzieje głupoty w Polsce«. To jest opis, przestroga, wyzwanie. Dobra publicystyka jest jak łyk zimnej wody. W przypadku Jarka kubeł zimnej wody".

Laureat zadeklarował, że utożsamia się z poczuciem obywatelskiej troski o państwo, jakie pielęgnowała patronka nagrody nasza nieodżałowana redakcyjna koleżanka Janina Paradowska. „Polityka to nie event, widowisko, narracja, marketing, machiawelizm przedstawiany jako cnota. Nie, to poważna sprawa" – mówił. Dodawał też, że: „Zaprzeczeniem dzielności jest symetryzm. Uśpiony bakcyl symetryzmu jest w nas samych. A faszyzm nadchodzi, bo liberalna demokracja mu na to pozwala".

Więcej informacji o Nagrodzie, jej laureatach i Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego na: ***jankajerzyfundacja.pl***

(J. HALC)

Katarzynie Kaczorowskiej
wyrazy ogromnego współczucia
z powodu śmierci **Mamy**
składają
przyjaciele z POLITYKI

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

25 lat temu



A konkretnie w numerze 44. z 2000 r. Joanna Podgórska w okładkowym artykule „Uwolnić słonia! (i małpę)" opisywała udrękę zwierząt w ogrodach zoologicznych.

„Zoo uczy, bawi, wychowuje – tablica z tym napisem witała jeszcze niedawno gości warszawskiego ogrodu zoologicznego. Kogo bawi i czego uczy widok zwierząt w niewoli, często zamkniętych w małych klatkach, znudzonych, apatycznych? Jaki jest sens trzymania w więzieniu małp człekokształtnych? Czy to naprawdę przyjemne i pożyteczne oglądać w centrum Europy drepczące niedźwiedzie? Są nowoczesne i kosztowne ogrody, które potrafią ocalić ginące gatunki, prowadzą badania naukowe. Ale część służy prymitywnej, anachronicznej rozrywce. Gdy przyjrzeć się publiczności przed klatkami, fosami, wybiegami, to rzadko na rozbawionych obliczach daje się zauważyć pasję poznawczą. Raczej wątpliwą uciechę, bo małpa się drapie, a słoń trąbi. (...)

W Warszawie fatalnie wygląda także sytuacja średnich kotów: pum i lampartów, zamkniętych w małych klatkach bez wybiegu. Warszawa i Wrocław to jedne z lepszych polskich ogrodów, o gorszych strach wspominać. Niedługo dojdzie także problem szympansów, bo lada dzień mają wejść w życie przepisy zabraniające przetrzymywania małp człekokształtnych w klatkach bez wybiegu, a tak wygląda sytuacja w większości polskich ogrodów, z warszawskim włącznie. (...)

Ogrody zoologiczne mają jeszcze niewidoczną dla publiczności stronę. To, czego nie widać, to zwierzęta przetrzymywane w małych, ciemnych pomieszczeniach, czasem po kilka lat, bo nie ma dla nich miejsca. (...) Trudno oczywiście wymagać, żeby tygrysa lub pytona karmiono marchewką, ale opisy z listów pracowników zoo ocierają się o horror: »Co tydzień jest transport królików i kurcząt. Ilość tych zwierząt jest zwykle wyższa niż aktualne potrzeby. Sam transport pozostawia wiele do życzenia: połamane łapy, poduszone kurczęta, półżywe króliki. Skrzynki z nimi są rzucane, kopane, bo przecież to i tak na zabicie. Dalej po dotarciu na konkretne działy, tak króliki, jak i kurczęta są zabijane w bestialski sposób. Tyle, ile akurat potrzeba, reszta na potem. I ta reszta czeka na śmierć nawet tydzień do następnego transportu. Czeka zwykle bez jedzenia, bez wody, w ciasnocie, często w skrzynkach, gdzieś na schodach, zdychając z głodu i pragnienia lub dusząc się z braku powietrza. No i oczywiście wędruje do śmieci, bo już tego nic nie zje«".

eprasa.pl 11d96193c5



TREND

Ze spadku po dziadku

Dziś nosimy zegarek lub torebkę po babci – niekoniecznie własnej. Zjawisko estate sales, czyli wyprzedaży przedmiotów po osobach zmarłych, to modowy hit zza oceanu.

Gdy po tej stronie Atlantyku – a nawet Bałtyku – rząd wprowadza zmiany dotyczące podatku od darowizn i od spadków, po tamtej w siłę rośnie trend związany z dobrami dziedzicznymi. Estate sales, czyli po prostu wyprzedaż wszystkiego, co znajduje się na terenie posiadłości osoby zmarłej, przyciąga coraz więcej zetek, tiktokerów i wszelkiej maści „miłośników okazji". Zasada jest szalenie prosta: trzeba się zapisać, odczekać swoje w kolejce, a potem starać się nie przekroczyć limitu na karcie kredytowej. Na TikToku i Instagramie roi się od filmików dokumentujących takie wyprzedaże. Hasztag #estatesales wypluje na tej pierwszej platformie ponad 80 tys. wyników, na drugiej – ponad pół miliona.

Myszkując w cudzych garderobach i salonach, autorki tych relacji pokazują a to torebkę Diora sprzed dekad, a to Rolexa czy klapki Chanel. Wszystko za ułamek ceny, którą płacili pierwsi właściciele, oraz ułamek tego, co trzeba zapłacić za takie rzeczy nawet w second handach. W bonusie dostajemy też opowieść związaną z danym przedmiotem – bo *estate sale* to dla organizatorów często też okazja do wspominania i uhonorowania zmarłych właścicieli. A to coś, czego w anonimowych lumpeksach nie uświadczymy. Tam w gratisie dostaniemy co najwyżej trudny do wywabienia sztynk detergentów...



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Poza markowymi ubraniami i biżuterią największym zainteresowaniem cieszą się na takich wyprzedażach meble (szczególnie z epoki wiktoriańskiej), serwisy, sztućce i naczynia. Najzasobniejsi zaglądają też do bibliotek po pierwsze wydania książek czy rękopisy oraz do garaży po samochody. Są też obiekty specjalistyczne: maszyny rolnicze albo narzędzia. Wyprzedają się dobra anonimowych bogaczy i nieco mniej anonimowych hollywoodzkich reżyserów – jak Delmera Davesa, który zostawił nam w spadku choćby „15:10 do Yumy". Warto jednak dodać, że akcje spod znaku *estate sales* nie ograniczają się do enklaw takich jak Beverly Hills czy Hollywood. Gdy przyjrzymy się temu zjawisku za pomocą Google, zobaczymy, że akcje mają miejsce także w mieścinach Alabamy czy Tennessee.

Na dobrą sprawę do kupienia można wystawić też majątek za życia, chociaż jest to już zjawisko zbyt bliskie pospolitym garażówkom, więc nie jest aż tak warte uwagi. Firma Everything But the House (Wszystko Poza Domem), zajmująca się prowadzeniem sprzedaży majątku ruchomego, zanotowała w ubiegłym roku aż 28-procentowy wzrost obrotów. Jeden z jej szefów, Jeff Ferguson, podaje na łamach „USA Today", że najszybciej rośnie zainteresowanie ich ofertą wśród klientów między 25. a 35. rokiem życia, czyli wśród zetek oraz późnych milenialsów. „Mamy nawet specjalną nazwę dla tych rzeczy, które są zupełnie innej jakości i często są dużo mniej zużyte czy znoszone niż te współczesne: »wcześniej kochane«" – tłumaczy.

Wogóle to nie dziwi. Wszak to właśnie młodzi są najbardziej zainteresowani rzeczami z drugiego obiegu – przede wszystkim ze względów ekologicznych. Zrównoważona, etyczna moda jest bliska ich zielonym sercom, ale także nieokrzepniętym portfelom. Przypomnijmy przy okazji, że przemysł modowy jest nieprzyjazny środowisku, tworzy ok. 90 mln ton śmieci rocznie. A większość ciuchów i dodatków produkowanych przez sieciówki jest zrobiona ze sztucznych materiałów, które rozkładają się przez kilkaset lat.

Skoro mowa o czasie: *estate sales* są modnym zjawiskiem, ale nie nowym. Tyle że poprzednio były one zamknięte dla szerokiej klienteli; pojawiała się na nich głównie rodzina zmarłego i krąg jego najbliższych przyjaciół. Wówczas chodziło nie tyle o zarobek na sprzedaży rzeczy, ile o przekazanie ich w godne klasowo ręce. Patrząc na trend z tej perspektywy, kupno za grosze przedmiotu z tradycją lub odpowiednim logo to nie tylko świetny interes, ale też symboliczna próba przeskoczenia o klasę wyżej. Jeśli nie jesteśmy z „dobrej rodziny", teraz możemy się w nią po prostu wkupić. ■

© CRAIG F. WALKER/THE BOSTON GLOBE/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, TIKTOK/@HUMOURCOINCOIN, YOUTUBE.COM/@PAYMESKRILLA

eprasa.pl 11d96193c5

WIRAL

Złole w Luwrze



Reakcje na zuchwałe włamanie do paryskiego muzeum pokazują, jak bardzo popkultura wpływa na ludzką świadomość. Kradzież historycznych klejnotów z Luwru, do której doszło w niedzielę 19 października, trwała tylko siedem minut. Pod muzeum zaparkowano lawetę z drabiną, po której na balkon dostali się zamaskowani złodzieje wyposażeni w piły tarczowe. Za ich pomocą dostali się do galerii, ukradli osiem XIX-wiecznych artefaktów, po czym uciekli na skuterach.

Zamiast powszechnego oburzenia, widzimy jednak entuzjazm internetu – to akcja niczym z filmów, w których wszak sprytni i sprawni włamywacze zawsze budzą sympatię widzów. No, może nie z każdego filmu – ktoś zauważył, że w amerykańskim *heist movie* przygotowanie arcyskomplikowanej akcji zajęłoby miesiące, a tu wystarczyło wejść i zwiać na motorku. „Już wiemy, kto za tym stoi!" – donosili inni, wrzucając kadry z przygód Lupina: zarówno nowego francuskiego serialu, jak i japońskiej animacji „Lupin III", od dekad śledzącej perypetie wnuka słynnego włamywacza (raz ukradł, a jakże, samą „Mona Lisę"). Jednym z podejrzanych o kradzież były żółte potworki **Minionki**, złole z animowanego serialu „Miraculum: Biedronka i Czarny Kot" i innych francuskich animacji. Ktoś sprokurował (za pomocą AI) zestaw „Playmobil" do zabawy we włamanie.

Balkon, przez który złodzieje weszli do środka, z miejsca stał się atrakcją turystyczną i miejscem wygłupów: oto tiktoker stoi pod muzeum z wielką torbą i opowiada, co sobie „nakupował" w Luwrze. Inni prezentowali „stylówkę na włam", jeszcze inni odtwarzali scenę „jak to musiało wyglądać", skradając się do muzyki z „Różowej Pantery". Starsza pani nagrała, jak jedzie paryskim metrem i wyciąga z torby replikę (miejmy nadzieję!) skradzionego naszyjnika; inny senior nagrał – w koronie na głowie – filmik, na którym przeprasza za zamieszanie.

Najbardziej ucieszyli się Amerykanie: pierwszy raz od dłuższego czasu media, zamiast na kolejnych ekscesach Donalda Trumpa, skupiły się na zupełnie innym wydarzeniu.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

67 albo nic



Piłkarze Warty Poznań wyszli niedawno na murawę, żeby... nagrać tiktoka o młodzieżowych słowach roku. W opublikowanym filmie wyraźnie sugerują, co powinno wygrać: 67. Owszem, to propozycja na słowo roku. I nie chodzi tu o numer koszulki Mesuta Özila w klubie Fenerbahçe, który wybrał tę liczbę ze względu na kod pocztowy (rozpoczynający się od 67) miasteczka, z którego pochodziła jego rodzina. Chociaż mogłoby chodzić i o to.

„67" to pojemne zjawisko i mieści się w nim np. uwielbienie dla koszykarza NBA Lamelo Balla, który mierzy 6 stóp i 7 cali. Całe to tegoroczne szaleństwo wywołał jednak raper **Skrilla**, który na wydanej w lutym płycie umieścił utwór „Doot Doot (67)", odnoszący się do jego adresu w Filadelfii (67. Ulica) oraz do kodu policyjnego oznaczającego w USA zgłoszenie dotyczące śmierci. Od tamtej pory o liczbach 6 i 7 śpiewano już rozmaite piosenki, nagrywano wiralowe filmiki, kiedy ktoś dostał 67 na 100 z testu albo gdy pierwszy weekend września wypadał na 6. i 7. dzień miesiąca.

Gdy na demonstracjach w Belgii krzyczano, by nie podnosić progu emerytalnego do 67. roku życia, zdjęcia z nich stały się popularne na całym świecie, i to wśród młodzieży, a nie ludzi w wieku przedemerytalnym. Można tak dalej: sprawdzić, co się dzieje w tym wydaniu POLITYKI na stronie 67, albo czy właśnie nie wykupiliśmy lotu na 6 lipca. Te dwie cyfry mają dziś nawet konkretnego ambasadora: młodego chłopaka, nagranego na meczu koszykówki i wymachującego do góry rękami z okrzykiem „6-7". To oficjalny „67 kid", dla niektórych – twarz pokolenia.

Wydaje się, że „67" jest raczej nowym memem niż nowym słowem. Analogicznie do opisywanego przez nas (POLITYKA 50/22) hasła „cztery cztery" z wiralowego filmu o betoniarzach z Polski, w którym to 44 odnosiło się niby do numeru kierunkowego Wielkiej Brytanii, ale zaczęło oznaczać dosłownie wszystko. Czyli zarazem nic konkretnego. Zapoznanie się z fenomenem 67 to dobre przygotowanie do rozstrzygnięć plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku – jako wiedza mało pożyteczna, ale przynajmniej raz do roku bardzo aktualna.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Nie palę zazy, bo i tak mam sporo rozkmin,
Na sobie ślady noszę już bycia dorosłym
Avi feat. Pezet, Jan-rapowanie, Imago, 2025 r.
zaza – marihuana
rozkmina – przemyślenie

eprasa.pl 11d96193c5

PODRÓŻE

Wizyta w pępku

Tureckie Göbekli Tepe, najstarsze sanktuarium świata, przyciąga tłumy. Razem z Karahantepe i zieloną Şanlıurfą tworzy trasę łączącą podróżniczą przygodę z opowieścią o początkach naszej cywilizacji.

Göbekli Tepe, czyli Pępkowe Wzgórze, nie leży na szlaku tanich czarterów. To głębia lądu, tuż przy granicy z Syrią. A jednak przyciąga coraz więcej turystów – w ubiegłym roku było ich 700 tys. Od 2018 r. widnieje na liście światowego dziedzictwa UNESCO, dlatego coraz częściej mówi się, że odwiedzić to wzgórze to kolejny turecki „must", obok Stambułu, Troi czy Efezu.

To także efekt rosnącej mody na neolit, epokę, która w dziejach ludzkości wywołała największą zmianę: porzuciliśmy zbieractwo i łowiectwo, zaczęliśmy uprawiać rolę, hodować zwierzęta, mieszkać w osadach, budować struktury władzy. Z tym że kamienne kręgi wznosili jeszcze łowcy-zbieracze. „Odkrycie w latach 90. XX w. Göbekli Tepe przewróciło do góry nogami rozumienie narodzin cywilizacji" – twierdzi David Wengrow, archeolog i współautor „Narodzin wszystkiego". I rzeczywiście, nie mieści się ono w prostej narracji „od jaskiń do miast". Monumentalne, miejscami sześciometrowe stele w kształcie litery T pokryte wizerunkami dzików, lwów, drapieżnych ptaków i węży stoją od prawie 12 tys. lat, a tureccy archeolodzy lubią mówić o nich „ground zero w dziejach".

Do sanktuariów nie wchodzi się dziś wprost – ogląda się je z pomostów pod lekkim zadaszeniem. Dzięki temu najlepiej widać układ kręgów i monumentalne filary, efekt i tak jest piorunujący. Skalę tych stel najlepiej zaś poczujemy, zaglądając do nowoczesnego muzeum w Şanlıurfie, gdzie stoją ich repliki.



Agnieszka Krzemińska – archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI. Autorka czterech książek popularnonaukowych. Najnowsza z nich, „Homo (nie tylko) sapiens. Inna opowieść o naszych przodkach", właśnie się ukazała.



Od jakiegoś czasu wiemy, że Göbekli Tepe było jednym z pierwszych, ale nie jedynym takim miejscem. W najlepiej przebadanym i dostępnym już dla turystów stanowisku Karahantepe archeolodzy odkryli osadę pierwszych pasterzy z kamiennymi kręgami, a w tym roku także liczącą 10 tys. lat miniaturową „opowieść trójwymiarową": figurki lisa, sępa i dzika zamknięte w kamiennym „naczyniu w naczyniu". Zwierzęta były w tym uniwersum kluczowe, lecz z czasem zaczęto w kamieniu przedstawiać także ludzi – kreowanych na „władców natury". Ich twarze, przypominające maski można także obejrzeć w muzeum w Şanlıurfie. A skoro już tu będziemy, koniecznie wybierzmy się na spacer, wszak uchodzi za jedno z najpiękniejszych miast Anatolii. Choć Şanlıurfę otacza półpustynia, biją tu źródła krasowe, które od starożytności tworzą oazę ogrodów i parków. To także miasto trzech religii. Dla Żydów – miejsce narodzin Abrahama. Dla chrześcijan – dawna Edessa, stolica królestwa, w którym rządziła arabska dynastia wyznająca chrześcijaństwo. Dla muzułmanów – miasto proroków i świętych, z licznymi meczetami wokół parku Balıklıgöl z sadzawką świętych karpi Nimroda.

Z kolei wizyta w Haleplibahçe Mosaic Museum, gdzie zgromadzono jedne z najpiękniejszych rzymskich i bizantyjskich mozaik w Turcji, przypomina, że Şanlıurfa była nie tylko miastem proroków, lecz także kwitnącym ośrodkiem grecko-rzymskiej kultury. Wizytówką jest pełna detali, barwna mozaika polujących Amazonek z królową Hippolitą na czele. Ten „powidok" mitu silnych kobiet działa jak kontrapunkt wobec znalezisk w sanktuariach i osadach wczesnych rolników – miejsc arcymęskich, pełnych symboliki fallicznej, pozbawionych elementów kultu Bogini-Matki, który chętnie łączyliśmy z początkami neolitu. Co podważa kolejne stereotypy.

Mając zaś dodatkowy dzień na zwiedzanie, warto pojechać na południowy wschód – do Mardinu, zawieszonego na zboczu nad Mezopotamią, słynącego z kuchni pogranicza (arabsko-kurdyjsko-ormiańsko-asyryjskiej). Po drodze nie zaszkodzi zatrzymać się w Dara Antik Kenti, dawnej rzymsko-bizantyjskiej twierdzy, gdzie czeka wykuta w klifie nekropolia z V–VI w. zwana „skalnym apartamentowcem śmierci", ponieważ wielopoziomowe nisze i katakumby przypominają mieszkalne kondygnacje, tyle że dla zmarłych.

Jadąc do Şanlıurfy, pierwsze kroki skierujcie jednak na Pępkowe Wzgórze – miejsce, które samo podsuwa metaforę: kręgi Göbekli Tepe są przecież niczym mityczny *omphalos*, pępek świata, z którego wybiega nasza opowieść. Na pomostach nad sanktuariami – które wciąż nie wiemy, do czego służyły – ma się wrażenie, że właśnie tu zapisano jeden z pierwszych jej rozdziałów. ■

© MICHAŁ MUTOR/AGENCJA GAZETA, SHUTTERSTOCK (2), RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 11d96193c5

Konkurs Chopinowski za nami. Obok wspaniałego święta muzyki (z elementami zawodów sportowych i Eurowizji) był też okazją do powspominania „naszego Fryderyka”. Nie zabrakło akcentów gastronomiczno-alkoholowych.

Toby pił... Ale co?



WINO

Warszawskie restauracje, na czele ze znakomitą Nolitą, w ostatnich tygodniach prześcigały się w proponowaniu „menu chopinowskich”. W mediach zaś przypominano, co mistrz lubił zjeść i wypić – toruńskie pierniki, wiejski chleb ze zsiadłym mlekiem, strudel po wiedeńsku, ostrygi. Był przecież nieodzownym dzieckiem swych szczególnych czasów: schyłkowej arystokracji i emancypującego się mieszczaństwa. Bywał zatem nie tylko w eleganckich salonach, gdzie jako pianistę otaczał go niemal boski nimb, lecz również w popularnych kawiarniach – jak warszawska Honoratka czy paryski Tortoni – wiedeńskich gospodach czy najmodniejszych restauracjach stolicy Francji.

Skąd o tym wszystkim wiemy? Sam Chopin pozostawił sporą korespondencję, ale w sprawach podniebienia nie był zanadto wylewny. Przygotowując jednak książeczkę „Chopin Gourmet”, wydaną przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, dotarłem do wielu innych źródeł, w których bliscy, przyjaciele i wielbiciele Fryderyka zdradzili dużo więcej. Na przykład kompozytor Józef Brzowski odwiedził Chopina w Paryżu i tak opisał jeden ze wspólnych wieczorów w restauracji: „Zaczęliśmy od ostryg – wyborne! Następująca zupa, krem z dziczyzny, wyśmienita! Z kolei podano matlota [rybę w czerwonym winie – WB]. Danie to, wyrównywające samej ambrozji, doskonałym sporządzeniem i wykwintnym smakiem zdawało się z całą dumą chcieć nam przypominać, iż w Rocher de Cancale obiadujemy. Zastawiono potem szparagi – nie do wychwalenia. Później inne przysmaki, a przedziwny szampan szumnie wszystkiemu towarzyszył”.

Szampan lał się w tamtych czasach strumieniami, choć nie przypominał wina, które pijamy dzisiaj – był mętny, bo jeszcze nie nauczono się usuwać z butelki osadu drożdżowego, i słodzono go łyżeczkami cukru. Ciekawy zbieg okoliczności: do dziś działają dwie manufaktury szampana o nazwisku Chopin (i nie mam na myśli paskudnego wina musującego Frederic Chopin, które to zlewki można kupić u nas za 30 zł). Co prawda o Didier Chopin nie wypada dziś dyskutować, bo właściciela nakryto na podrabianiu wina i poszedł siedzieć, ale szampany Julien Chopin znawcy bardzo wychwalają, podobnie jak burgundy z Domaine Chauvenet-Chopin i Domaine Arnaud Chopin & Fils. Ród Chopinów ma bowiem we Francji wiele gałęzi...

Zatem, jak mówi zabawne powiedzenie, gdyby Chopin żył, toby pił: szampana, czerwonego burgunda, słodki tokaj (w sierpniu 1841 r. pisał do swojego sekretarza Juliana Fontany: „Idź do Rotha z listem, który przeczytaj i zapieczętuj. Jeżeli Ci powie, że może mi się Tokaya wystarać, spytaj się po czemu, i zaraz mi napisz. Poślę Ci pieniądze z instrukcją wysłania owego Tokaya do Marsylii”), wina orleańskie powstające nieopodal Nohant, gdzie spędzał miesiące letnie...

Wiele podróżował i pijał wówczas wina miejscowe, jak opisała to po ich wyprawie na Majorkę George Sand: „Na Majorce, tak samo jak w Wenecji wina likierowe są bardzo bogate i wyśmienite. Na co dzień pijaliśmy muszkatel równie wyborny i tani, co wina cypryjskie, spotykane na adriatyckim wybrzeżu. Natomiast wina czerwone, których wytwarzanie jest prawdziwą sztuką, Majorkańczykom nieznaną, są ciężkie, ciemne, palące, mocne od alkoholu i droższe od najpośledniejszych win francuskich”.

Najciekawsze świadectwo o piciu wina z Chopinem zostawił jednak malarz Eugène Delacroix: „O trzeciej trzydzieści [7 kwietnia 1849 r. – WB] towarzyszyłem Chopinowi w przejażdżce powozem; chociaż zmęczony, byłem szczęśliwy, że mogę mu się na coś przydać. Pola Elizejskie, Arc de l'Étoile; butelka wina przy szynkwasie; przystanek przy rogatce. W ciągu dnia mówił mi o muzyce i to go nieco ożywiło. Zapytałem, co stanowi o logice w dziele muzycznym”. Dwaj wielcy artyści na stojąco, przy barze wypili bordeaux i rozmawiali o sztuce – tak jak my dzisiaj. ■



Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment”.

Royal Tokaji Sweet Szamorodni 2018, 54,99 zł (winnicalidla.pl)
Domaine du Salvard Les Petits Silex Blanc 2024, 79 zł (winecorner.pl)
4 Kilos Mallorca 12 Volts 2020, 98 zł (marekkondrat.pl)
Château Labégorce Margaux Zédé 2019, 125 zł (wina-mp.pl)
Julien Chopin Champagne Carte Verte Brut, ok. 45 euro (internety zagraniczne)

eprasa.pl 11d96193c5

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Mówi Kwaśniewski

Aleksander Kwaśniewski był gościem Karoliny Lewickiej w podkaście POLITYKI „Temat tygodnia". Poruszyliśmy nie jeden, ale wiele tematów tygodnia, miesiąca i lat. Były prezydent ocenia relacje polsko-ukraińskie, wysiłki Trumpa na rzecz pokoju, Amerykę (czy istnieje naprawdę?) i Rosję (czy może być demokratyczna?). Mówi też o wyzwaniach dla polityków w epoce AI i o tym, jaka będzie Polska, gdy Tusk i Kaczyński zejdą już ze sceny. Całość na YouTube – warto.

Holland o Kafce



W studiu POLITYKI gościliśmy też wybitną reżyserkę Agnieszkę Holland. W podkaście „Kultura na weekend" zajrzeliśmy za kulisy „Franza Kafki", jej najnowszego dzieła, polskiego kandydata do Oscara. Co Holland w Kafce ujęło, dlaczego traktuje go nieomal jak brata, jaki był pomysł na ten film? Reżyserka zdradza też pewną tajemnicę z planu zdjęciowego. W praskiej synagodze zdarzył się mały cud. Jaki – tu oczywiście nie zdradzimy, posłuchajcie sami.

W co gra Konfa



„Polskie demo" to nasz najmłodszy podkast, wspólny projekt POLITYKI (Michał Tomasik) i Fundacji im. Batorego (Anna Materska-Sosnowska i Krzysztof Izdebski). Mówimy o polskiej polityce, bo „demo" to zarówno „demokracja", jak i „demos", czyli lud. Skojarzenia z grami też są uprawnione. W nowym odcinku rozmawiamy m.in. o tym, w co grają Konfederacja i Grzegorz Braun. Kolejna odsłona podkastu – ze specjalnym gościem – już w najbliższy piątek.



Czasowa niemoc

Dyskusja o reformie zmiany czasu trwa już... szmat czasu. Dokładnie siedem lat. Cezary Kowanda na polityka.pl wyjaśnia, dlaczego w UE nadal nie ma jednomyślności. Takich zmian nie da się wprowadzić z dnia na dzień. Trzeba się też zdecydować, czy zostajemy przy czasie letnim, czy zimowym. I na nowo poukładać mapy stref czasowych. Odważnych nie ma, a my znów przestawiliśmy zegarki. Jedno jest pewne: temat wróci w marcu.



Trump budowniczy

Donald Trump znów zaprowadza porządki. Teraz oznajmił, że wyburzy Wschodnie Skrzydło przy Białym Domu, by wznieść nową budowlę z salą balową dla tysiąca gości. Nowy gmach ma być jak pałac w Wersalu. „Burzenie starego budynku East Wing stało się swego rodzaju metaforą całej prezydentury Trumpa. Jej istotą jest destrukcja wszystkiego, co mu się nie podoba lub stoi na przeszkodzie", pisze z Waszyngtonu Tomasz Zalewski.

© LESZEK ZYCH (3), MALVESTIDA/UNSPLASH, JACQUELYN MARTIN/AP/EAST NEWS

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 11d96193c5

Potrzebuję wyjątkowej jesieni. Potrzebuję Szwajcarii.



Jesień z **Rogerem Federerem** i **Halle Berry**. **Obejrzyj!**

Więcej o jesieni w Szwajcarii na:

MojaSzwajcaria.pl

swi+zerland

Szczyt Muottas Muragl, Gryzonia © Engadin St. Moritz Tourismus AG / Fabian Gattlen

epresa.pl/11d9c19365

PERSKI DYWAN DZIEJÓW



KUP TERAZ

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 11d96193c5